



JOANNA  
OPIAT-BOJARSKA

Młody mężczyzna wypada z balkonu.  
Ojciec nie wierzy w samobójstwo syna.  
Pojawiają się kolejne ofiary.

**ZAUFAJ MI,  
ANNO**

JOANNA  
OPIAT-BOJARSKA

ZAUF AJ MI,  
ANNO

FILIA

*Niebezpieczeństwo jest piękną rzeczą,  
jeśli się jej świadomie poszukuje.*  
Ernest Hemingway

## ROZDZIAŁ 1

### 45 dni do walentynek

Z trudem wciąga nosem kolejne porcje powietrza. Mieszanina gazów i aerozoli jest bladozielona. Mógłby przysiąc, że widzi dwuatomowe cząsteczki tlenu, krążące wśród azotu. Zachwycałby się nimi dłużej, gdyby nie rosnąca temperatura otoczenia.

Bladozielona chmura drażni jego skórę. Musi koniecznie wyjść na zewnątrz, by uniknąć poparzenia. Dokładnie w tej chwili ruszyć nogą! Jedną. Zmobilizować organizm. Od czegoś powinien zacząć. Skupić się i otworzyć balkon, zanim temperatura wzrośnie na tyle, by bez problemu stopić tytan.

– Powietrza...

Na twarzy czuje języki ognia. W myślach ocenia ich wartość: tysiąc sześćset stopni Celsjusza. Nie chce otwierać ust i dzielić się tym odkryciem z kumplami.

W końcu w takiej chwili każdy myśli tylko i wyłącznie o sobie.

Skupienie. Prawa noga unosi się i opada kilkadziesiąt centymetrów dalej. Po chwili dołącza do niej lewa. Znowu prawa. Dłoń z wysiłkiem poszukuje celu wyprawy. Klamka, którą chce złapać, bawi się z nim w „kotka i myszkę”. Za każdym razem kiedy wyciąga rękę, by jej dotknąć, ona w ostatniej chwili przeskakuje w bok i śmieje mu się w twarz. Odpowiada rechotem. Jest przecież o wiele inteligentniejszy od klamki. W końcu ją oszuka. Pomaga sobie drugą ręką i ostatkiem sił osiąga cel.

Tak muszą czuć się himalaiści w drodze na szczyt.

Kolejna myśl napawa go dumą. Pokonuje swoje granice. Dotyka niemożliwego. Za chwilę osiągnie swój Mont Everest.

Okno balkonowe się otwiera, a on z bólem głowy robi duży krok. Zrobiłby jeszcze jeden, ale zatrzymuje go stalowa balustrada.

– Pię...knie tu!

Morska bryza przyjemnie chłodzi rozgrzane policzki. Soczysta zieleń powala go na kolana. Jest wszędzie. Na dachach, balkonach, parapetach, podwórku i samochodzie, który stał w miejscu niedozwolonym.

– Grzechu? Co robisz? – dochodzą głosy z wnętrza mieszkania.

Nie potrafi ich rozszyfrować. Są męskie czy damskie? Znajome czy obce? Czy to ma w ogóle jakieś znaczenie? Nie będzie ich słuchał. Będzie żył, jak chce, oglądał, co chce, i wdychał, co wdycha.

Kuca i z bliska przygląda się balkonowej posadzce. Nigdy nie widział takiej trawy. Puszystej jak pianki marshmallows.

– Grzechu! Chodź tu!

Nie wie, dokąd miałyby iść, bo nie wie, gdzie się znajduje. Zagubił pojęcia „tu” i „tam”. Dobrze mu z tym. Przyjemnie i pięknie. Tak właśnie odczuwa słowo „relaks”.

Trawa rośnie nawet na krawędzi balustrady. Intensywna zieleń zachęca, aby się odprężyć. Wytarzałby się w niej.

– Przepraszam mnie i będziemy kwita, OK?

– Co? – mówi, zdziwiony, bo mężczyzna zadający pytanie pojawia się w zasięgu jego wzroku.

Nie rozpoznaje go, ale się boi. Tylko czego? Że nieznajomy zdepta wypielegnowaną trawę? Że zużyje jego tlen?

– Przepraszam mnie, a ja zapomnę...

– Sam się przeproś! – warczy. – Spieprzaj. Zamknij drzwi. Gorąco tu leci.

Kolejna myśl go zadziwia. Ktoś musi dbać o tę trawę, by w takim upale zachowała żywy kolor.

## ROZDZIAŁ 2

### 33 dni do walentynek

– Dla milionów Polaków rozpoczął się nowy rok: czas postanowień i szans na lepsze życie. A dla pana?

W takich sytuacjach Anna Rogozińska czuła się jak krokodyl w wodzie. Nabierała szybkości i zwinności. Z kamer i światła reflektorów czerpała życiową energię. Odbijała ją i wzbogacała światło swoim niepowtarzalnym wdziękiem. Annę kochali nie tylko widzowie i szefowie stacji Primo TV, lecz także kamery. Lubiła tak myśleć.

Obiektywna prawda nieznacznie różniła się od subiektywnych odczuć. Widzowie powoli oswajali się z nazwiskiem „Rogozińska”. Kojarzyli je z sensacyjnymi wiadomościami prezentowanymi w programach informacyjnych oraz z pewnym głośnym wywiadem. Rozmową, która pozwoliła dziennikarce wspiąć się na kolejny szczebel zawodowej drabiny.

Odczucia szefów telewizji mogłyby stanowić przedmiot kilkustronicowej analizy psychologicznej. Najkrócej rzecz ujmując, można powiedzieć, że były ambiwalentne. Szef poznańskiego oddziału Primo TV, szef programowy, szef finansowy i wreszcie szef wszystkich szefów. Każdy z nich darzył ambitną pracownicę zupełnie innymi uczuciami. Było z czego wybierać. Od fascynacji, przez podziw i obawę... aż po uprzedzenie.

– Dla mnie w jednej chwili wszystko straciło sens. Po co robić postanowienia? Walczyć o lepsze życie? W sylwestra umarł mój syn. – Rozmówca panował nad emocjami. Trzeźwym wzrokiem wpatrywał się to w dziennikarkę, to w kamerę. Słowa wyrzucał z siebie z prędkością karabinu maszynowego, ale jednocześnie wyraźnie akcentował kropki i przecinki. Cisza była równoprawnym składnikiem jego wypowiedzi. Jakby za pomocą kontrastu wypowiedzi z ciszą chciał wyrazić część towarzyszącej mu żałoby. – Syn. Jedyny i ukochany. Świat zawalił mi się na głowę.

Szczerłość bijąca z wyznania mężczyzny kłuła w uszy. Dziennikarka nie spodziewała się takiego rozwoju wypadków. Przygotowała się na rozmowę z mężczyzną mającym pretensje do wszystkich, kierującym oskarżenia wobec policji, prokuratury, pogotowia ratunkowego lub budowlańców. Zamiast tego w studiu pojawili się szpakowaty polityk w średnim wieku oraz ona. Jego żałoba. Polityk siedział na fotelu, a ona stała obok. Przybrała ludzką postać. Była potężna, zgarbiona i podpierała głowę rękoma opartymi na brzuchu.

Rozmówca nie wstydził się towarzystwa żałoby. Otwarcie manifestował jej obecność. Jakby publiczne ujawnienie uczuć miało mu pomóc zaakceptować obecny stan rzeczy, złagodzić intensywność doznań.

– Zdążyliście sobie złożyć życzenia? – Z wyczuciem zadała kolejne pytanie.

Kontrolowała wszystkie aspekty programu telewizyjnego. Zaufanie rozmówcy.

Wiedziała, jak je zdobyć i utrzymać. Praca z kamerą. Kontrola mimiki i gestów. Dostosowanie się do uwag realizatora, rozbrzmiewających od czasu do czasu w jej uchu. Nie było rzeczy, które sprawiałaby jej trudność.

Posiadała jeszcze jedną umiejętność, która pozwalała jej awansować. Doskonale wyczuwała odbiorcę. Wiedziała, że światem rządzą słupki oglądalności. Miliony par oczu, które trzeba czymś zainteresować i którym trzeba na bieżąco dostarczać krwawych szczegółów, by nie poszukiwały doznań w konkurencyjnych stacjach.

– Nie. Grzegorz zginął w tragicznym wypadku kilkanaście minut przed północą. Nie jestem w stanie opisać bólu, który przeszył moje serce. Trzydzieści lat opieki nad dzieckiem. Oczekiwałem, że to on pochowa mnie, nie ja jego. Nocą nie mogę spać, chodzę po domu i słyszę płacz mojej żony.

Głos Ksawerego Króla przebiegał niespostrzeżenie przez przewody słuchowe telewizorów, obijał się o mózg i docierał do serca, po czym się w nie wgryzał. To była przejmująca rozmowa trafiająca do wszystkich ludzi mających dzieci lub odrobinę wyobraźni. Wywiad gwarantujący wysoką oglądalność. Publiczne babranie się w bólu. Cudze emocje. To one pozwalają mediom rosnać w siłę.

Miliony Polaków wpatrywało się w swoje telewizory. Patrzyli na Annę Rogozińską. O tym marzyła, kiedy studiowała dziennikarstwo. Wizualizowała sobie te chwile podczas wykonywania nic nieznaczących zleceń w pierwszych miesiącach pracy w poznańskim oddziale ogólnopolskiej telewizji.

Ojciec wyśmiewał wizje przyszłego życia córki i nazywał je mrzonkami. Ona tylko wzruszała wtedy ramionami, bo miała świadomość, że sukces sam do niej nie przyjdzie. Musi na niego zapracować, a im wcześniej zacznie, tym szybciej poczuje się spełniona.

– Małżonki nie ma z nami...

– Nie. – Król zamilkł i spuścił głowę. Przez chwilę wydawało się, że nie powie nic więcej. Jednak po teatralnej pauzie się odezwał, ale unikał wzroku dziennikarki. – Nie jest jeszcze w stanie... normalnie funkcjonować. Ja sam walczę z bólem wewnętrznym, poczuciem straty i zwyczajnym ludzkim odruchem ukrycia się przed światem. Zgodziłem się jednak porozmawiać z panią z ważnego powodu. Chciałem przestrzec innych. Chciałem powiedzieć rodzicom, by nie odkładali niczego na później. By kochali swoje dzieci bez względu na to, w jakim są wieku. Nikomu nie życzę, by spotkał się z taką niesprawiedliwością jak ja. Mój syn był dla mnie wszystkim!

– Czy możemy przez chwilę pomówić o Grzegorzu? Jakim był człowiekiem?

– Grześ miał trzydzieści lat. Skończył w marcu. Odebrał staranne wykształcenie. Ukończył studia... Był dobrym dzieckiem, dobrym obywatelem. Miał pracę. Był rozsądny, wykształcony i ułożony. Nie lubił ryzyka. W życiu nie wychylałby się z balkonu tak, by spaść. Kiedyś, gdy był małym chłopcem, mimo ostrzeżeń żony

szalał na huśtawce tak bardzo, że w końcu z niej spadł. Plecami uderzył o ziemię. Płakał wtedy bardzo głośno. Na długo zapamiętał tę lekcję. Nie był lekkoduchem. Nie szukał wrażeń.

– Jednak w sylwestra wypadł z balkonu.

– Byłbym wdzięczny, gdyby trzymała się pani faktów. – Mężczyzna, mimo że opowiadał o intymnych i bolesnych szczegółach życia swojego syna, zachowywał trzeźwość umysłu. Skarcił dziennikarkę spojrzeniem. – Prokurator nadal prowadzi śledztwo. To, że wypadł z trzeciego piętra przez nieuwagę, jest tylko jedną z hipotez.

– Pan w nią nie wierzy?

– Nie. Grześ nie wychylałby się niebezpiecznie z balkonu znajdującego się tak wysoko.

– Ale to był sylwester, mógł wypić troszkę za dużo...

– Co też pani insynuuje? Grześ był zbyt odpowiedzialny. Nie zaprzeczam, pewnie wypił piwo... jedno lub dwa, ale na miłość boską, nie był głupi! Wiedział, że nie jest Supermanem, że nie umie latać. Nie wyskoczyłby specjalnie. Nie chciał popełnić samobójstwa. Nie miał powodów, by zakończyć życie w takim momencie.

– Nie miał – powtórzyła Anna, aby sprowokować gościa do wyznania, które będzie mogło funkcjonować w mediach przez kolejne dni. – Czyli jak pan myśli: co się stało tej feralnej nocy?

– Nie wiem. Wiem, że Grześ nie wypadł przypadkiem. Będę to podkreślać w każdej rozmowie z mediami. Nie wypadł przypadkiem!

\*

Anna współczuła swojemu rozmówcy. Widać nieszczęście nie przebiera w ofiarach. Nie puka do drzwi. Wyważa je i nic sobie nie robi z protestów zdziwionych gospodarzy. Wchodzi bezczelnie do biednych i bogatych, do niewykształconych i uczonych, do nieporadnych życiowo i świetnie ustawionych.

Ksawery Król, czołowy polityk rządzącej partii, odczuwał taką samą pustkę po śmierci syna jak bezrobotny ojciec, którego dziecko zmarło nagle i niespodziewanie.

– Do jutra! – Głos operatora kamery wychodzącego ze studia przywrócił ją do rzeczywistości.

– Pa! – odkrzyknęła i sięgnęła po płyn do demakijażu.

Zmywaniu profesjonalnego makijażu, będącego kwintesencją jej zawodu, towarzyszyło poczucie zadowolenia. Kolejne warstwy podkładu, bazy silikonowej, korektorów, pudru i różu, nadające cerze Anny Rogozińskiej jednolity odcień, pozostawały na płatkach kosmetycznych. Skóra stawała się różowa, a miły dreszcz ekscytacji drażnił zmysły.

Dziennikarka mogła być z siebie dumna. Po raz kolejny – w profesjonalnej masce,



ukrywającej jej prawdziwą, nie zawsze doskonałą twarz – pokazała, na co ją stać. Teraz Ania Rogozińska, kobieta żadna sukcesów, mogła pozwolić sobie na małą przyjemność.

Basen. Tak. Miała ochotę na reset. Oczyszczenie umysłu. Uwolnienie napięcia mimowolnie magazynowanego w mięśniach.

Wyrzuciła brudne waciki do kosza i już miała opuścić studio, gdy usłyszała wibracje. Z torebki wyjęła komórkę.

*Wyglądałaś cudownie. Widzimy się dzisiaj?*

Wiadomość od Łukasza zmusiła ją do zaplanowania czterech ostatnich godzin, które mieściły się w definicji słowa „dzisiaj”.

*Dzisiaj?*

Odpowiedź na to pytanie retoryczne przyszła zbyt szybko.

*Za godzinę u mnie. Mam dla ciebie newsa. Bardzo ciekawego!*

\*

Dwie godziny później siedziała na kanapie w mieszkaniu Łukasza Zawodnego, trzymając w ręku kieliszek czerwonego wina.

– Manipulował? Mną? Nie wierzę!

Wcześniej przepełnęła spory dystans i pokonała zaśnieżone drogi, by dotrzeć z Kórnickiego Centrum Rekreacji i Sportu do mieszkania na poznańskim Grunwaldzie. Myślała, że zużyła na te czynności całą swoją energię.

Zmęczona, padła na kanapę. Łukasz przyniósł wino, kieliszki i talerz wypełniony różnymi serami. Anna nie zamierzała się ruszać, jednak gdy tylko usłyszała tezę dotyczącą manipulacji, zaczęła protestować i żywo gestykulować.

– Nie wierzę!

– Uwierz. Trafiałaś na wytrawnego gracza, który w mediach chciał sprzedać obraz załamanej ojca, przytłoczonego niesprawiedliwością tego świata. Przyznaję: udało mu się. Tymczasem moje źródło donosi, że w krwi Grzegorza Króla znaleziono fenyletyloaminę. To dość popularna substancja psychoaktywna.

– Psychoaktywna?

– Tak. Potocznie zwana dopalaczem.

– Sugerujesz, że facet przed śmiercią brał dopalacze?

Anka odsunęła się od Łukasza. Chciała mu się uważnie przyjrzeć. Nie żartował. Jego twarz była poważna. Spod rękawa niebieskiego T-shirta jak zwykle wystawał fragment tatuażu. Pazur, który ją intrygował. Pół roku temu nie wiedziała nawet, do jakiego ptaka należy. Wystawał bezwstydnie i prowokował. Na wszystkich kolacjach, które wtedy były jedynie spotkaniami starych znajomych, rozpraszał ją i denerwował.

Kiedy Łukasz unosił rękę, aby przywołać kelnera do ich stolika, rękaw odsłaniał

kolejny fragment. Chciała wtedy zerwać z niego koszulkę i zobaczyć tatuaż w całości.

– Nie sugeruję. Ja to wiem. Brał. Pewnie dzięki temu wydawało mu się, że potrafi fruwać. Wyleciał z balkonu na własne życzenie. Nagle okazało się, że nie jest ptakiem, a jego twarz w zaskakująco szybkim tempie zbliża się do betonu. Chociaż – zwątpił przez chwilę – nie wiem, jak działają dopalacze. Czy Król w ogóle był w stanie zauważyć, że nie frunie...

– OK, wziął dopalacze. – Anna próbowała oddzielić fakty od hipotez. – Tylko to jest pewne, jeśli twoje źródło nie kłamie.

– Dlaczego miałyby kłamać? – Oburzył się. – To sprawdzony informator.

– Dobra, facet wziął jakieś świństwo, też mi coś. Była przecież noc sylwestrowa. Czas największego szaleństwa, zabawy i...

– ...i tracenia kontroli nad sobą – dokończył wypowiedź za nią i uśmiechnął się znacząco.

Anka zrozumiała aluzję, a jej ciało przeszedł miły dreszcz. Odpowiedziała podobnym uśmiechem. Musiała przyznać, że wspólne tracenie kontroli z Łukaszem wychodziło jej po mistrzowsku.

Poznali się podczas studiów. Ona, zajęta boksowaniem się ze swoim ówczesnym ideałem mężczyzny, zauważała tylko zaokrąglony brzuch Zawodnego. Tak wyraźnie odznaczał się pod koszulką, że skutecznie odwracał uwagę od ciepłego spojrzenia i serca wyciągniętego na dłoni.

Ponownie spotkali się przypadkiem po latach. Łukasz wydorósł. Chłopak w przybrudzonych zamszowych butach i z dużym brzuchem stał się atrakcyjnym mężczyzną. Jako że nie znała lepszego powiernika tajemnic dającego wsparcie duchowe, obiecali sobie przyjaźń.

Wytrwali w postanowieniu przez chwilę, po czym zupełnie niespodziewanie stracili nad sobą kontrolę.

– Nie można zakładać, że chciał fruwać – zaprotestowała. – To naciągane i bardzo złośliwe!

– Masz rację, ale zobacz... Przygotowywałaś się do wywiadu, zbierałaś informacje. – Próbował dowieść swoich racji, a jednocześnie dolał wino do już pustych kieliszków. – Nie dotarłaś do tej o dopalaczach, mimo że wiadomo o tym od kilku dni. Dostęp do niej mają nieliczni.

– Ktoś, kto robił badanie – Anka zaczęła wyliczać osoby, które musiały znać wynik analizy krwi – prokurator, który zlecił czynności, policjant prowadzący śledztwo...

– I rodzina – uzupełnił jej wypowiedź o słowa, które nie chciały jej przejść przez gardło.

– Czyli ojciec – powtórzyła w końcu i uświadomiła sobie, że rzeczywiście mogła paść ofiarą manipulacji. – Masz rację, musiał wiedzieć.

Spuściła głowę. Chciała w spokoju przeanalizować wydarzenia ostatnich godzin. Mimo że drobiazgowo przygotowała się do wywiadu z politykiem, rozmówca ją zaskoczył. Był szczery i otwarty. Zamiast agresywnego rottweilera, którego się spodziewała, w studiu telewizyjnym pojawił się skrzywdzony cocker-spaniel.

Czy Ksawery Król mógł ją wykorzystać, by osiągnąć swój cel? Ją? Specjalistkę od manipulacji?

– Wiedział i starał się wybielać syna.

– Łukasz, wiesz, jak jest. Rodzice często widzą swoje dzieci w zupełnie innym świetle. Założę się, że twój też są nadal święcie przekonani, że stronisz od alkoholu i nigdy nie zapaliłeś papierosa. Król mógł nie wiedzieć o tym, że jego syn bierze dopalacze.

Łukasz wstał i podszedł do okna. Chwilę postął, opierając się o parapet, po czym uchylił okno. Anna nie protestowała. Temperatura rozmowy rosła, a wypite wino miło rozgrzewało ją od środka. Mroźne powietrze wpadło do pokoju wypełnionego zapachem męskich perfum i sera pleśniowego.

– Nie, nie wierzę! – Łukasz wrócił na kanapę. – Facet jest politykiem od lat, ma kupę kasy. Wie wszystko o wszystkich. Na każdego ma haka. Nie uwierzę, że jego synalek nigdy nie sprawiał żadnych problemów. Wiesz, jakie są dzieci takich ludzi? Na pewno jest się do czego przyczepić i Król dobrze o tym wie. Przedstawił widzom twojej stacji wyidealizowany obraz syna i miał w tym jakiś interes. Założę się! Tylko jeszcze nie wiem jaki...

Łukasz Zawodny od dziesięciu miesięcy pracował w poznańskiej gazecie codziennej. Odpowiadał za przygotowanie informacji interwencyjnych. „Wszystkie zadymy w Poznaniu są moje – w taki sposób zwykł zaznajamiać obcych z zakresem swojej pracy – i pobicia, i trupy”.

O pracy mógł rozmawiać bez przerwy. W pracy. W drodze do domu. W domu. W łazience. W kuchni. W łóżku. W drodze do pracy. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Siedem dni w tygodniu. Podobnie jak Anna.

Sprawa śmierci syna Ksawerego Króla interesowała Łukasza o wiele bardziej niż pojawienie się zwykłego trupa. Ksawery Król był od lat szarą eminencją rządzącej partii politycznej, a polityka była konikiem Zawodnego. Studiował politologię. Jego praca magisterska dotyczyła właśnie politycznego public relations.

– Jest politykiem, trudno zaprzeczyć, ale jest też OJCEM, który stracił syna, a to jest może teraz najważniejsze – Anka protestowała. Przecież kilka godzin wcześniej czuła na sobie autentyczny ból rozmówcy.

– Ojcem – Łukasz nie zamierzał zmienić zdania – który dwa tygodnie po śmierci syna udziela wywiadu w twojej telewizji. Na żywo. Nie wydaje ci się to podejrzane?

Gdyby miała skupić się na podejrzanych szczegółach, pewnie znalazłaby ich kilka. Zlecenie na ten wywiad dostała od Grabowskiego – szefa poznańskiego

oddziału Primo TV. Poprosił ją do siebie i powiedział, że sprawa jest na tyle delikatna, że tylko ona może dobrze się nią zająć.

Rogozińska spojrzała na zegarek. Zbliżała się północ. Nie chciała dłużej zastanawiać się nad tym, czy Ksawery Król jest dobrym aktorem i czy ją wykorzystał. Nie dzisiaj. Czuła, że narasta zmęczenie, a senność koniecznie chce zamknąć jej oczy.

– Łukaszku, myślę, że przesadzasz. Ludzie mają prawo przeżywać żalobę w dowolny sposób. Jedni zamykają się przed światem. Drudzy udają, że nic się nie stało. Jeszcze inni wychodzą na środek sali i krzyczą, bo chcą zwrócić na siebie uwagę społeczeństwa.

– Myślę, że powinnaś...

Anka nie zamierzała słuchać autorytarnego tonu głosu Łukasza. Bez słowa opuściła pokój, przerywając mu w pół słowa. Głośno zamknęła za sobą drzwi od łazienki.

– Anka, to ty jesteś dziennikarką. – Żale wylała szeptem bezpośrednio do lustrzanego odbicia. – To ty odnosisz sukcesy. To twoje nazwisko jest coraz bardziej rozpoznawalne. To ty awansujesz. Nie musisz słuchać jego zaleceń. To, że jest facetem i prowadzi rubrykę w gazecie, nie uprawnia go do pouczania.

Opłukała twarz zimną wodą, uspokoiła emocje i wróciła do pokoju. Łukasz siedział rozpostarty na kanapie. Miał zamknięte oczy i słuchał muzyki. Zdziwiła się. Nie zauważyła, by w tle ich rozmowy rozbrzmiewał Vangelis. Musiał włączyć ulubioną płytę podczas jej nieobecności.

– Zdradzisz mi swoje źródło? – przytuliła się do niego.

Otoczył ją ramieniem i przysunął do siebie. W jego objęciach czuła się bezpieczna.

– A zostaniesz dziś na noc?

## ROZDZIAŁ 3

32 dni do walentynek

– Halo? Kochanie? Wczoraj wyglądałaś cudnie!

Renata Rogozińska miała specyficzne wyczucie czasu. Dzwoniła do córki zawsze w najmniej odpowiednim momencie.

Tego dnia dźwięk informujący o przychodzącym połączeniu rozległ się z samego rana. Ania zdążyła zasiąść do stołu, a Łukasz nałożył jajecznicę na talerze.

– Halo?

Rozmacone i gorące kurze jaja wyglądały tak smakowicie, że Anka wpakowała do ust tyle, ile się zmieściło. Było to dalekie od zasad savoir-vivre’u, ale nie zamierzała jeść zimnego dania. Rozmowy z matką nie należały do krótkich.

– Dziękuję – odpowiedziała z pełnymi ustami. – Co słyhać, mamó? – Strategiczne pytanie miało być otwarciem monologu rodzicielki, tak by Anka w spokoju mogła dokończyć śniadanie.

– Żyję. Wczoraj zapomniałaś do mnie zadzwonić! – Zamiast niepohamowanego słowotoku otrzymała wyraźnie wyartykułowaną pretensję.

– Nie zapomniałam – skłamała. – Byłam padnięta. Nie miałam siły. Gdy wróciłam do domu, od razu poszłam spać.

Przełknęła ostatni kęs chleba i odeszła od stołu. Łukasz wyglądał na niezadowolonego. Starał się co prawda panować nad emocjami, ale zdradzały go przyspieszony oddech i nienaturalny wyraz twarzy. Mina Łukasza mówiła sama za siebie.

– Właśnie, bo pracujesz i pracujesz, zamiast pomyśleć o sobie. Odpocząć. Do matki przyjechać. Koniecznie z narzeczonym.

– Mamó. – Anka próbowała protestować. Wizja kolejnej wizyty w domu rodzinnym i nagabywania Łukasza przez matkę nie była kusząca.

– Co „mamó”? Siedzisz w tej swojej telewizji od rana do wieczora. Biegasz za ludźmi, użerasz się z rozmówcami, pracujesz na awans, ale czy masz czas zadbać o siebie? Jadłaś już śniadanie? A wczoraj jadłaś kolację? Obiad? Mówię tobie po raz kolejny! W końcu żołądek się rozreguluje i będziesz miała problemy. Zobaczysz. Weź kilka dni urlopu. Należy ci się. Kiedy miałaś ostatnio wakacje? Przyjedź do mnie na dłużej. Posiedzimy razem, pogadamy.

Swobodny monolog matki płynął z słuchawki, zmieniając jedynie co kilka minut odcień przekazywanych uczuć. Pretensje, troska, rozczulenie, nakazy. Ania nie miała zamiaru go przerywać. Normalnie protestowałyby głośno albo wymyśliłaby powód, dla którego pilnie musi zakończyć rozmowę.

Tym razem jednak rozmowa... rozmowa telefoniczna, bo tak chyba można nazwać sytuację, w której jedna osoba dzwoni do drugiej i opowiada jej o swoich

odczuciach, była dziennikarce na rękę.

Podczas przygotowywania śniadania Łukasz poruszył pewien delikatny temat. Nie wiedziała, jak zareagować. Co powiedzieć? Śmiać się czy płakać? Zazartowała, stwierdzając, że jest mistrzem psucia klimatu. Po smakowitej nocy zaserwował to...

– Weź tego swojego przesympatycznego chłopaka – matka kontynuowała monolog – i przyjedźcie chociaż na cały weekend. Przecież wiesz, że miejsca w domu jest dużo, rozlokuję was odpowiednio. Córuś, pomyśl proszę o rodzinie! *Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą* – głos Renaty Rogozińskiej się załamał – *zostaną po nich buty i telefon głuchy*.

Ania nie musiała widzieć matki, by wiedzieć, że w tej chwili po jej policzkach spływają łzy. Cytowaniu księdza Jana Twardowskiego zawsze towarzyszyły łzy.

– Ale dobrze się czujesz? – starała się zmienić temat. Matka nie mogła się rozkleić.

– Dobrze, dobrze. Co prawda ciśnienie mi skacze. Nogi okropnie rwą. W ogóle nie mogę spać. Przysypiam na kilkanaście minut, po czym budzę się tak ścierpnięta, że mogłabym chodzić po ścianach. Taki to ból. Nie wiem, czy to starość czy to te mrozy. Ciągle mi zimno.

– Rozumiem. Mamuś, martwię się o ciebie. Obiecuję, że zobaczymy się niebawem. Dziś śnieg sypie jak oszałały, jechałabym do Pobiedzisk dwie godziny w jedną stronę. Jutro muszę być w Warszawie. – Odtwarzała w myślach zawartość kalendarza. – Wpadnę w sobotę albo w niedzielę. Na kawę. Jesteśmy umówione?

– Tak. – Matka odetchnęła z ulgą. Momentalnie pozbyła się płaczliwego tonu. – Upiekę coś pysznego.

Anka odłożyła telefon i wróciła do kuchni. Łukasz siedział przy pustym talerzu.

– Sorry, matka dzwoniła. – Uśmiechnęła się bezradnie i rozłożyła ręce.

– Ma kobieta wyczucie czasu.

To trzeba jej przyznać, Anna potwierdziła radośnie w myślach. Zazwyczaj telefon od matki ją irytował. Tym razem okazał się wybawieniem od niewygodnej rozmowy.

– Jest taka samotna, chciała sobie pogadać. Przecież nie mogłam jej zbyć. O rany! – Spojrzała na zegarek i zdała sobie sprawę z tego, że powinna się teleportować. – Już jest ósma? Muszę lecieć do pracy.

– Samotna? – Niezadowolony Łukasz wzruszył ramionami. Telefon sprawił, że nie zdążyli porozmawiać. – To kup jej psa.

– Myślisz, że czworonóg zastąpi jej męża? Oszalałeś?

\*

Anka wybiegła z klatki schodowej w rozpiętej kurtce i szalu niedbale powieszonym na szyi. Termometr okienny wskazywał minus trzy i pół stopnia

Celsjusza. Pierwszy podmuch powietrza sprawił, że poczuła się pełna ochoty do pracy. Powietrze było rześkie i w przyjemny sposób ukoło jej rozgrzane policzki.

Wiedziała, że temat, który poruszył Łukasz, sam nie zniknie. Tym razem udało jej się odsunąć rozmowę w czasie. Następnym razem musi się do niej przygotować. Świadomie odebrała telefon od matki, bo wiedziała, że może rozmawiać z nią tak długo, dopóki nie będzie musiała wybiec z domu, spóźniona. Tak, zdawała sobie sprawę z tego, że Łukasz będzie niepokieszony. Wiedziała, że to nieuczciwe zagranie. Nie miała jednak innego pomysłu, jak zmierzyć się z bestią, tematem tabu.

Dopiero co przywykła do zmiany statusu znajomości z Łukaszem. Do wspólnych nocy kończących się śniadaniem. Do planów weekendowych. Niespostrzeżenie stali się parą. Cieszyła się obecnością Zawodnego, chłonęła jego atrakcyjny zapach i jednocześnie walczyła z głęboko zakodowaną ostrożnością w sprawach uczuciowych.

Samochód Rogozińskiej, przykryty śnieżną kołdrą, czekał na udzielenie pierwszej pomocy. Otworzyła drzwi, wrzuciła do środka torebkę i usiadła na miejscu kierowcy. Samochód po nocy spędzonej na ulicy był wyziębiony. Kierownica nieprzyjemnie mroziła dłonie. Anna uruchomiła silnik. Przyjemne warczenie przyniosło obietnicę, że za chwilę we wnętrzu pojawi się cieplejsze powietrze.

– Cholera, zostawiłam rękawiczki u Łukasza. – Przypomniała sobie, że kiedy wychodziła z mieszkania, widziała je na szafce z butami. Nie miała jednak ochoty wracać. – Trudno.

Zacisnęła zęby i z kieszeni znajdującej się w drzwiach pasażera wyjęła czerwoną szczotkę. Zanim zabrała się do odśnieżania Citroena, poczuła zimno. To mróz, który wcześniej wydał jej się jedynie rześkim powietrzem. Zapięła więc kurtkę i otuliła się szalem. Kolejne ruchy ręki sprawiały, że auto odzyskiwało atrakcyjne kształty i fabryczny kolor. Przód, prawy bok, lewy bok, tył. Kolorów nabrała także twarz Anki. Z nosa zaczęła kapać wodnisty katar.

Zanim dotarła do pracy, jeszcze dwukrotnie walczyła z następującymi po sobie falami gorąca i zimna. Gdy pokonywała kolejne skrzyżowania w drodze do firmy, czuła, że za chwilę się ugotuje. Wnętrze samochodu wypełniło się gorącym powietrzem. Znowu zaczęła rozpinąć kurtkę, rozplątywać szal. Nawet palce, wcześniej niemalże zmrożone, zaczęły tracić sztywność. Zdążyła już zapomnieć o tym, że były zdrętwiałe.

Przed firmą nie znalazła wolnego miejsca parkingowego, więc musiała zostawić samochód nieco dalej. Przymusowy spacer sprawił, że tego poranka po raz kolejny zaatakował ją przejmujący chłód.

Że też rteć nie ma problemu z relatywnością, pomyślała.

Słupek jedyne metalu normalnie występującego w stanie ciekłym zawsze wskazywał wartości bezwzględne. Wahania zależały jedynie od temperatury

mierzalnej.

Wewnętrzny termometr człowieka wariował i oceniał jedynie temperaturę odczuwalną. Przy większym wietrze minus trzy i pół stopnia Celsjusza odbierał jak silny mróz. Podobnie działo się przy dużej wilgotności, przemoczeniu czy przemęczeniu.

Anna wbiegła do firmy, spóźniona. Przywitało ją suche i ciepłe powietrze. W firmie kaloryfery pracowały pełną parą, podobnie jak zespół Primo TV. Nie zdążyła jednak zabrać się do pracy. Prosto z kuchni, w której przygotowała sobie herbatę, trafiła na dywanik do szefa.

Dywanik był grafitowy, puszysty i zapewne miły w dotyku.

– Pani Aniu, serdecznie gratuluję. – Kamil Grabowski zaczął bez wstępu, dzięki czemu niepokój dziennikarki został ograniczony do minimum.

Spontaniczne wizyty w gabinecie dyrektora poznańskiego oddziału Primo TV mogły mieć trzy podłoża: głośna bura, cicha pochwała lub przydzielenie zadania specjalnego. W ostatnim pojęciu mieściło się wszystko. Kukułcze jajo, szansa życia, misja samobójcza.

– Gratuluję. – Tłusta głowa szefa kiwała się na krótkiej szyi. Ruch powtarzał się rytmicznie jak u plastikowego psa wozonego w latach osiemdziesiątych na tyłach polonezów lub dużych fiatów. – Rozmowa z Królem została przeprowadzona wzorcowo. Wiedziałem, że tylko pani jest w stanie wykonać to zadanie bez zarzutu.

Pochwały z ust szefa są bezcenne, ale Anna pragnęła czegoś więcej. Zbyt długo pracowała w branży, by cieszyły ją puste słowa. Nikt nie musiał mówić jej, że jest dobra. Wiedziała o tym.

Rogozińska chciała więcej. Więcej możliwości pracy z kamerą na żywo. Więcej wywiadów. Więcej wystąpień na ogólnopolskiej antenie. Więcej wszystkiego. Rozpoznawalności, pieniędzy... sukcesu.

– Dziękuję – odpowiedziała bez ekscytacji.

– Muszę przyznać, że jesteśmy zadowoleni.

– Czyli co? Sukces?

– Myślę, że tak, ale czekamy jeszcze na wyniki oglądalności.

Jesteśmy zadowoleni, czekamy na wyniki. Jacy my? Ta myśl nie dawała Ance spokoju. My? Grabowski i kto? Warszawa? Taki tok rozumowania byłby najbardziej prawdopodobny, ale w tyle głowy majaczyła jeszcze jedna możliwość. A może Grabowski i... Król?

Jej wrodzone uczucie ostrożności, wczoraj dodatkowo nakarmione wątpliwościami dotyczącymi manipulacji, uważnie nastawiło uszu. Zlecenie na wywiad z politykiem załamany śmiercią syna dostała od Grabowskiego. Dokładnie w tym pokoju, w otoczeniu puszystego dywanu i mebli w kolorze wenge.

– To wszystko? – Chciała zmienić otoczenie i uwolnić się od teorii spiskowych.



– Tak, dziękuję. – Uśmiechnięty Grabowski po raz kolejny kiwnął głową.

– Dziękuję. – Wstała i odwdzięczając się taką samą miną, dodała. – Chciałam przypomnieć jeszcze, że jutro nie będzie mnie w pracy.

– Jakżebym mógł o tym zapomnieć! – Gwałtownej zmianie nastroju towarzyszył grymas twarzy. – Jedzie pani na audiencję do centrali.

Ance zrobiło się gorąco. Bynajmniej nie z powodu reakcji szefa. Pokrętko regulujące pracę kaloryfera w gabinecie szefa ustawione było na maksimum. Gorąco atakowało jej stopy odziane w modne ocieplane obuwie. Temperatura ciała rosła i subiektywnie, powoli zbliżała się do temperatury wrzenia.

Mocno stąpała po ziemi. Nie była pozbawiona świadomości, że osiągnięciu sukcesu towarzyszy zazdrość innych ludzi. Kamil Grabowski nie ukrywał frustracji. Wielbił ją kiedyś, hołubił i wychwalał przy każdej okazji. Nagle przestał.

– Jeśli łudził się, że będę pupilkiem poznańskiego Primo TV do końca życia, to znaczy, że jest głupi – opowiadała Łukaszowi o sytuacji panującej w pracy. – Przecież musi zdawać sobie sprawę z tego, że wszyscy, którzy zaczynają dla niego pracować, traktują poznański oddział jak przystanek na trasie, jak trampolinę... Każdy marzy o stolicy! Niektórzy zostają tu z przyzwyczajenia, ale większość tkwi tutaj z braku innych możliwości. Ja poświęciłam wiele, by zasłużyć na awans. Jeśli Grabowski tego nie rozumie, to jego problem.

\*

Prokurator Wiktor Braun znalazł wreszcie czas, by usiąść przy swoim biurku i przez chwilę pomyśleć. Powinien napisać do sądu wnioski o uchylenie tajemnicy bankowej, żeby zajrzeć na rachunek bankowy pewnego szemranego biznesmena, jednak wzrok prokuratora padł na książkę leżącą na półce. Jej szata graficzna znacznie odbiegała od sąsiadujących z nią prawniczych pozycji.

– Czas skupić się na wniosku. – Upomniął sam siebie, bo cały czas rozpraszały go wydarzenia, których świadkiem był przed południem.

Położył ręce na klawiaturze, zamknął oczy i starał się skupić na wniosku.

*Wierzę w prawo. Wierzę w świętość sali sądowej i majestat sprawiedliwości. Wierzę też, że sprawy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają, że niekiedy faktami można manipulować tak, jak magik manipuluje publicznością. Jedną ręką robi coś nieistotnego, odwracając naszą uwagę, a w tym samym czasie drugą wykonuje sztuczki*[\[1\]](#). Wielokrotnie powtarzał to jak mantrę. Słowa Martina Vaila stanowiące fragment przemówienia przed ławą przysięgłych dawały Wiktorowi poczucie, że panuje nad umysłem i odnajduje spokój.

Dłonie Brauna zaczęły płynnie przesuwac się nad klawiszami, a na ekranie przybywało liter.

Postać Martina Vaila – cholernie dobrego, diabelnie pragmatycznego, agresywnego i cynicznego prawnika – stanowiła dla Wiktora Brauna wzór godny naśladowania.

Na pytanie, ile razy przeczytał książkę *Pierwotny strach*, której autor stworzył postać genialnego prawnika, odpowiadał: przynajmniej kilka razy za mało. Tę pozycję traktował jak biblię.

Ekranizację powieści, zatytułowaną *Lęk pierwotny*, oglądał tradycyjnie przynajmniej raz do roku – w dniu swoich urodzin. Richard Gere zespolił się w wyobraźni Brauna z postacią prawnika broniącego przerażonego Edwarda Nortona debiutującego na dużym ekranie.

– ...tak więc dowody uzyskane tą drogą – dyktował dłoniom – stanowiąc będą jedyny dostępny procesowo kierunek realizacji celów postępowania przygotowawczego.

Telefon stacjonarny, który stał na biurku, rozdzwonił się i przerywał prokuratorowi przemowę na kilka słów przed finiszem. Braun przez chwilę próbował zlekceważyć dzwonek. Gdy uświadomił sobie, że nie może zebrać myśli w hałasie, podniósł słuchawkę.

– Halo! – burknął, niezadowolony.

– Panie prokuratorze – rozległ się usłużny głos recepcjonistki – przysła pani Anna Rogozińska. Nie była umówiona. Wpuścić?

Anna? Znał ją jako Anię, ukochaną córkę promotora. Stary Rogoziński wprowadzał Wiktora w tajniki zawodu. Dzielił się doświadczeniem, udzielał rad i był ojcem chrzestnym sukcesu prokuratora. To dzięki Rogozińskiemu Braun dotarł do Prokuratury Okręgowej w Poznaniu i zajmował całkiem przyjemny gabinet na czwartym piętrze.

Kiedyś widywał Anię Rogozińską dość często. Rzadko jednak rozmawiali. Dzieliła ich różnica pięciu lat. Gdy on studiował prawo, ona biegała w wytartych dżinsach i uczyła się do sprawdzianu z chemii. Nawet gdyby chcieli porozmawiać, nie mieliby o czym.

Czas mijał. Wiktor piał się po szczeblach kariery, a Ania zmieniała się w Annę. Skończyła liceum, potem studia na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, a z jej twarzy zniknęły pryszcze. O tym, że jest dziennikarką, usłyszał na pogrzebie promotora. Sprawa była głośna i dość kontrowersyjna. Złośliwi mówili, że córka przyczyniła się do śmierci ojca.

Zamienili wtedy kilka słów. Nie wiedział jeszcze, że częstotliwość ich rozmów diametralnie się zmieni. Anna pojawiła się w sądzie półtora tygodnia temu. Jak pies gończy czekała czujnie pod salą, w której Braun kończył rozprawę. Przywitała się i bez zbędnych rozmów o pogodzie przeszła do konkretów. Przygotowywała się do wywiadu z Ksawerym Królem – ojcem młodego mężczyzny. Wiktor zajmował się

sprawą jego śmierci. Prosiła o pomoc i przekazanie niejawnych informacji. Ewidentnie chciała wykorzystać ich nikłą prywatną relację. Szukała kontrowersyjnych hipotez.

– Nie ma mowy – odpowiedział wtedy tak lodowatym tonem, że w budynku sądu zrobiło się zimniej niż na dworze.

Miał nadzieję, że zrozumie. Była przecież bystra. Wyglądała zupełnie inaczej niż kiedyś. Z kaczątką wyrósł łabędź. Mimo to nie zamierzał narażać pozycji zawodowej w imię jakiejś znajomości. Nie do końca starej, ale też niezbyt nowej. Dawnej znajomości w nowej odsłonie.

– Wpuścić? – recepcjonistka powtórzyła pytanie, zaniepokojona brakiem odpowiedzi.

\*

– Przykro mi. Prokurator jest zajęty.

Ewelina Wójcik poinformowała kobietę stojącą przy ladzie i wróciła do wykonywania innych obowiązków. Z doświadczenia wiedziała, że odpowiedź odmowna oraz następujący po niej brak kontaktu wzrokowego w dziewięćdziesięciu pięciu procentach przypadków sprawiają, że petent rezygnuje z zamiaru wejścia do budynku.

– Nie szkodzi, poczekam.

Kobieta nie rezygnowała. Wręcz przeciwnie. Rozpięła kurtkę, odwinęła szal z szyi.

– Ale ja pani nie wpuszczę. – Uprzejmy ton recepcjonistki zmienił się w lodowato kategoriyczny. – Prokurator pani nie przyjmie.

– Przekazała pani mu moje nazwisko, niczego nie przekreśliła? Anna Rogozińska.

– Szanowna pani, mówię, że prokurator wykonuje czynności, jest zajęty i nie ma znaczenia, jak pani się nazywa. – Ewelina Wójcik zgodnie z instrukcjami kiwnęła głową na ochroniarzy stojących za bramkami.

Jeden z nich podszedł do recepcji i stanął, naruszając przestrzeń osobistą dziennikarki.

Anna szybkim spojrzeniem przeanalizowała sytuację. Prokuratura Okręgowa w Poznaniu. Wejście dla wybranych mają zapewnić recepcjoniści, ochroniarze i bramki – prawie jak na Ławicy, czyli poznańskim lotnisku. Oczywiście, mogła spróbować sforsować system zabezpieczeń, ale wtedy zaryzykowałyby nie tylko powaleniem na ziemię. Taki incydent mógłby zostać wykorzystany przeciwko niej. Na to nie mogła sobie pozwolić.

– Do widzenia. – Uśmiechnęła się złośliwie do recepcjonistki.

Wiedziała, że wróci. Jeśli nie dziś, to jutro. Kiedyś uda jej się wejść do środka i zadać pytania prokuratorowi.

Ochroniarz odprowadził ją wzrokiem do drzwi, po czym wrócił za bramki.

\*

Anna Rogozińska przez chwilę stała przed gmachem mieszczącym wszystkie poznańskie prokuratury rejonowe, prokuraturę okręgową i apelacyjną. Budynek sfinansowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości został oddany do użytku w dwa tysiące ósmym roku. Swoim kształtem przypominał szereg równo ułożonych segregatorów.

– Jest jak wszyscy prokuratorzy – stwierdziła sarkastycznie – równie idealny, sztywny i lodowaty. – Ostatni epitet rozbawił ją najbardziej, bo z parapetów zwisały sople lodu.

Okna przypomniały jej o tym, że zawsze była wierna zasadzie: jeśli nie wpuszczą cię drzwiami, wejdź oknem.

– Może innym razem. Poczekam, aż zima odpuści.

Drewnięjące palce i piekące uszy przypomniały jej o mroźnej aurze. Postawiła kołnierz, a z torebki wyjęła rzadko używaną czapkę. Gdy wcisnęła ją na głowę, poczuła przyjemne ciepło.

W tej samej chwili w torebce rozległ się dzwonek telefonu.

– Halo? – Nie zdążyła spojrzeć na ekran, by ustalić, kto dzwoni. Telefon jak zwykle ukrywał się gdzieś na dnie torebki. Zdążyła odebrać w ostatniej chwili.

– Bądź uprzejma poczekać przed budynkiem.

\*

Nie musiała czekać zbyt długo, ale i tak czuła, że stopy przymarzają jej do podłoża. Widocznie zimowe buty, które miała na nogach, nie były przystosowane do mieszanki śniegu i mrozu.

– Cześć – ucieszyła się, kiedy ujrzała znajomą postać.

– Witaj – Wiktor Braun odpowiedział jak robot zaprogramowany, aby się dobrze zachowywać.

Pozdrowił ją, bo tak wypadało. Nie wyraził emocji. Nie okazał uczuć związanych ze spotkaniem. Przeszedł obok niej, nie zatrzymując się. Poszła za nim. Przystanęli z boku budynku, aby uniknąć wzroku ciekawskich urzędników.

– Media składające wizytę prokuratorowi, i to bez uprzedzenia?! To niedopuszczalne! – zganił ją.

Niedopuszczalne, niedopuszczalne, powtórzyła w myślach, mierząc go uważnie wzrokiem. Zaczęła od stóp. Gdy dotarła do głowy, oblizała spierzchnięte usta. Zachowywał się jak dupek, ale wyglądał smakowicie. Zmężniał, wyprzystojniał,

pozbył się irytującej brody, którą nosił podczas studiów. Wyraziste brwi, z których kiedyś żartowała, nadawały jego twarzy intrygujący wyraz.

– Jakie media? – Roześmiała się, uznając, że musi rozluźnić atmosferę. Gdyby Wiktor był tak oburzony, na jakiego starał się wyglądać, nie zszedłby do niej. – Widzisz tu jakąś kamerę? Aparat fotograficzny albo chociaż notatnik?

Stał blisko niej i uważnie ją obserwował. Spod eleganckiego płaszcza Vistuli wystawał garnitur dobrej jakości. Wiktor wyglądał jak model z okładki ekskluzywnego pisma. Gdy przesunął ręką między swoimi blond włosami, Rogozińska przypomniała sobie, że w czarnej czapce oversize, którą kilka minut wcześniej naciągnęła na głowę, nie wygląda najlepiej. Za późno było jednak na jej ściągnięcie.

– Jaki jest cel twojej wizyty?

Cel twojej wizyty – Anka powtórzyła w myślach. – Boże, jaki jesteś oficjalny. Jakby cię właśnie odmrożono i uwolniono z hibernacji.

– Chciałam porozmawiać. – Nie kłamała. Chciała rozmawiać zawodowo, ale miała też ochotę na prywatną rozmowę przy kawie w zacisznym i ciepłym lokalu.

– Porozmawiać?

– Prywatnie porozmawiać – odpowiedziała.

– I dlatego przyszedł do mnie do pracy...

Niebieskie oczy Brauna wpatrywały się w twarz dziennikarki. Dokładnie tak samo przyglądał się jej ojciec, gdy próbowała wmówić mu, że coś się zepsuło. Oczywiście, samo się zepsuło.

– Przyszłam.

– Mam wyczulony nos. Wyczuwam problemy.

Anka spojrzała najpierw na jego proporcjonalny nos, a później popatrzyła mu w oczy. Mogłaby się w nich zapaść.

– Jestem tu prywatnie.

– Prywatnie w prokuraturze? Nie żartuj, proszę.

– Dobra – skapitulowała. – Powiedziałeś ostatnio, że sprawa śmierci Grzegorza Króla jest w toku, że nie wykluczyłeś jeszcze udziału osób trzecich.

Kiedy Grabowski dał jej zlecenie przeprowadzenia wywiadu na żywo, chciała się do niego przygotować. Ustaliła, że śledztwo w sprawie śmierci syna polityka prowadzi prokurator o znajomo brzmiącym nazwisku „Braun”.

Skontaktowała się z Wiktorem, powołała się na przynależność do klanu prokuratora Rogozińskiego i próbowała umówić spotkanie. Braun odmówił bez skrupowania. Nie miała więc innego wyjścia. Zaczaiła się na niego w sądzie, bo liczyła na to, że nawet jeśli przegrała bitwę o informacje, to wygra całą wojnę.

W bezpośrednim spotkaniu ze mną nikt nie ma szans, nawet uczeń mojego ojca – pomyślała dziennikarka.

– Powiedziałem też, że jeśli potrzebujesz informacji, to powinnaś skontaktować się rzecznikiem Prokuratury Okręgowej w Poznaniu.

Nie tego spodziewała się po chłopaku, którego w młodości widywała regularnie w domu rodzinnym. Po latach przywitał ją zdziwionym uśmiechem, ciepłym uściskiem dłoni i chłodnymi słowami niewiele różniącymi się od tych, którymi poczęstował ją dzisiaj.

– Proszę – zaskomlała, przestępując z nogi na nogę. – Chociaż anonimowo coś powiedz. Nie zacytuję cię. Potrzebuję punktu zaczepienia.

– Zaczepienia? Wywiad był wczoraj. Przesłuchałaś na żywo ojca ofiary. Czego się jeszcze czepiasz?

Wypowiadał słowa w lodowaty sposób i tylko para wodna wychodząca z jego ust świadczyła o tym, że jest człowiekiem.

– Jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, jestem kobietą – prowokowała Anna. Lepiej czuła się w dwuznacznych rozmowach niż lodowatych wymianach zdań. – Mogę się czepiać.

Czekała na reakcję, mimo że zdawała sobie sprawę, że jej postura w tamtej chwili nie potwierdzała wypowiedzianej tezy. Kobięce kształty skrywała pod puchową kurtką, względnie łabędzią szyję omotała szalem, a włosy i część twarzy ukryła pod wielką czapką.

– Nie znam się na kobietach. – Z ust Brauna wydobywała się para wodna.

Chętnie pomogłaby mu się poznać. Tak jak jej ojciec wprowadzał Brauna w tajniki zawodu, tak ona mogłaby z pełnym poświęceniem wprowadzać go w kobiecy świat. Pokazać to i owo i patrzeć, jak jego lodowate spojrzenie się ociepla.

Przeprowadziłaby go przez przyśpieszony kurs pod nazwą *Kobiecość dla opornych prawników* i pokazałaby, że spontaniczność nie jest zakazana, uśmiech pomaga w rozmowach, a niewinny flirt sprawia, że krew płynie szybciej.

Pomogłaby mu niezobowiązująco. W przeciwnym razie Łukasz byłby niepokieszony.

– Ale starej kumpeli nie pomożesz?

– W tej sprawie nic się nie zmieniło. – Wiktor z minuty na minutę stawał się coraz bardziej lodowaty.

– A jednak... wydaje mi się, że się zmieniło. Moje źródło donosi, że we krwi Grzegorza Króla znaleziono dopalacze. Możesz to potwierdzić? Albo temu zaprzeczyć?

– Nie mogę rozmawiać o Grzegorzu K. Skoro jesteś w posiadaniu szczegółowych informacji, to nie pojmuję, w jakim celu przychodzisz do prokuratury i chcesz ze mną rozmawiać. Muszę wracać. Zimno tu. Do widzenia. – Odwrócił się i odszedł, nie czekając na reakcję Rogozińskiej.

Dziennikarka nie zdążyła odpowiedzieć. Chciała zażartować, że sprawa

Grzegorza jest tylko pretekstem, bo tak naprawdę przyszła, by zaciągnąć go do łóżka. Wyobrażała sobie, że tylko w taki sposób jest w stanie sprowokować go do okazania jakichkolwiek emocji.

Później uznała, że jego lodowate zachowanie i niska temperatura powietrza sprawiają, że nie chce jej się otwierać ust.

Nie byłoby zimno, gdybyś wpuścił mnie do środka, pomyślała.

\*

W drodze do Zakładu Medycyny Sądowej zaczął prószyć śnieg. Jakby za mało leżało go na chodnikach i jezdniach. Anna zaparkowała samochód pod drzewem. Oblepione śniegiem, wyglądało na roślinę w depresji.

Dziennikarka marzyła o kubku gorącego kakao, wygodnym fotelu i kocu, którym mogłaby nakryć zmarznięte ciało. Nie mogła nie ignorować spadku nastroju i rosnącego zmęczenia.

– To przez nieprzespaną noc. – Szybko ustaliła przyczynę kiepskiego samopoczucia.

Weszła pewnie do budynku i skierowała się w stronę drzwi, nad którymi znajdował się napis „Medycyna Sądowa”.

Po nieudanej konwersacji z Braunem podchwyciła jego myśl: „Skoro jesteś w posiadaniu szczegółowych informacji, to nie pojmuję, w jakim celu przychodzisz do prokuratury”.

Znała źródło informacji, nie musiała prosić o pomoc zarozumiałego Wiktora. Wystarczyło pójść do źródła i sprawić, by stało się ono jej informatorem.

Rogozińska przez chwilę stała przy drzwiach broniących wstępu do części zakładu, w której pracowała znajoma Łukasza. Były zamknięte jak grotę z bajki o Ali Babie. By wejść do środka, trzeba było znać hasło. Coś w stylu „sezamie otwórz się”, tyle że w kombinacji liczbowej.

Odczekała kilka minut, bo miała nadzieję, że drzwi otworzą się same, a ona wejdzie niezauważona. Nikt jednak nie wychodził.

W końcu zdecydowała się skorzystać z oficjalnej drogi znalezienia się w środku. Odnalazła drzwi z napisem „sekretariat”, zapukała i nieśmiało weszła.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się promiennie.

– Dzień dobry.

– Chciałabym porozmawiać z panią Magdaleną Krajewską.

– Była pani umówiona?

Rany, znowu te same pytania. – Zirytowała się w myślach. – Medycyna Sądowa, prokuratura... wszędzie trzeba umawiać się z wyprzedzeniem, jak do fryzjera.

– Może pani ją poprosić? Nazywam się Anna Rogozińska. Na pewno będzie

chciała ze mną porozmawiać.

– W sprawie?

– Jestem z Primo TV.

– Chwileczkę. – Sekretarka podniosła słuchawkę, pomamrotała coś, po czym dodała. – Zaraz podejdzie.

– Super, dziękuję bardzo! – Anna pamiętała, by okazać wdzięczność. Nie wiedziała, jak często będzie bywać w tym miejscu i ile razy poprosi sekretarkę o przysługę.

„Zaraz” trwało na tyle długo, że stopy Rogozińskiej zaczęły sobie przypominać, że buty, w które zostały odziane, są jednak zimowe. Chwilę później uczucie nieznośnego gorąca wędrowało po całym ciele. Po raz kolejny tego dnia zdjęła kurkę, szalik i czapkę. Marzyła o zdjęciu butów.

– Pani do mnie? – ciemnowłosa kobieta pojawiła się w drzwiach.

– Tak! – Dziennikarka podbiegła do niej. „Mgr Magdalena Krajewska, starszy specjalista” – odczytała z plakietki przypiętej do piersi kobiety. – Witam, Anna Rogozińska, Primo TV.

– Krajewska. Mogę w czymś pomóc? Pani sama? Bez kamery?

Kobieta była raczej niska, zaokrąglona i sprawiała wrażenie sympatycznej. Zielone oczy się uśmiechały. Zamknęła za sobą drzwi i przesunęła się na bok.

– Tym razem bez operatora. – Po latach pracy w telewizji przyzwyczała się, że obecność kamery dodaje prestiżu jej pracy. – Dzisiaj chciałam zrobić rozpoznanie i zadać tylko jedno pytanie.

Anna spodziewała się cieplejszego przyjęcia. Przynajmniej wpuszczenia do laboratorium. Savoir-vivre nie dopuszczał przyjmowania gości na klatce schodowej.

– Słucham?

– Przygotowuję materiał... Chciałam zapytać o zawartość dopalaczy w krwi Grzegorza Króla. Słyszałam, że znaleźliście państwo jakiś ślad.

Krajewska zrobiła krok do tyłu, uważnie spojrzała na dziennikarkę i głośno zaprotestowała.

– Chyba pomyliła pani budynki! To Zakład Medycyny Sądowej! Nie udzielamy takich informacji. Jeśli jest pani dziennikarką, powinna pani o tym wiedzieć!

Po wizerunku przesympatycznej i ciepłej kobiety zostało tylko wspomnienie.

– Przepraszam. – Anka próbowała uspokoić atak złości rozmówczyni. – Przepraszam, ja chyba źle zaczęłam – zreflektowała się – jestem znajomą Łukasza Zawodnego, nie wiem, czy zdążył pani coś o mnie wspomnieć. – Uznała, że wzmianka o wspólnym znajomy może pomóc ocieplić stosunki.

– Pani wybaczy – Kobieta się zapowietrzyła. – Jestem zajęta i nie interesują mnie opowieści o pani znajomych.



– Co to za wredna baba?! Będzie mi się powoływać na jakieś znajomości!

Oburzona Magdalena Krajewska dotarła do swojego biurka i usiadła przy nim, wyładowując złość na krzesło. Ugięło się pod jej ciężarem.

Dokładnie wiedziała, o jakiego Łukasza chodziło. Znali się prawie od roku. Pojawił się na korytarzu zakładu, aby prosić o komentarz w sprawie tajemniczej przesyłki. Jeden z czytelników gazety, w której pracował, dostarczył do siedziby tajemniczą substancję w woreczku. Zawodny prosił o opinię. Podejrzewał, że to heroina.

Od tamtego dnia widywali się od czasu do czasu. Rozmawiali przede wszystkim na tematy związane z pracą. Raz byli nawet w kinie. Nie pamiętała, kto kogo zaprosił.

– Jestem znajomą Łukasza – przedrzeźniała dziennikarkę. – Oczywiście. Lepiej mieć znajomą dziennikarkę telewizyjną niż pulchną specjalistkę z pracowni toksykologii.

Krajewska podzieliła się z Zawodnym informacją o odkryciu śladów substancji psychoaktywnych we krwi ostatniego pacjenta. Sam skojarzył hasło „ostatni” z synem polityka. Nie było to trudne. Młody mężczyzna, który wypadł z balkonu w sylwestra, to głośna sprawa w mediach, a te są skrzyżowaniem much i sępów. Jak muchy lecą do gówna. Jak sępy rozrywają tych, których nazywają padliną, pomyślała.

– Magda? – W pokoju pojawił się zakładowy Frankenstein, brzydki patolog o gołęxim sercu. – Możesz przyjść? Mamy sekcję. Jesteś potrzebna.

– A co się dzieje?

– Jakiś dziwny zapach unosi się nad zwłokami. Musisz to zobaczyć i poczuć – dodał.

---

[1] W. Diehl, *Pierwotny strach*, s. 9 w przekładzie A. Polak, Warszawa 1995, Wydanie I.

## ROZDZIAŁ 4

### 31 dni do walentynek

Dwadzieścia pięć metrów. Abstrakcyjne wyrażenie określające dystans między punktem A a punktem B. Teoretycznie stała liczba.

Anna pokonywała kolejną długość basenu stylem klasycznym i kontrolowała czas. By zdążyć do pracy, powinna wyjechać z „Oazy” najpóźniej o 8.00. Lubiła pływać z samego rana. W szatni i na basenie prawie nikogo wtedy nie było. Miała cały tor tylko dla siebie. To ułatwiało trening. Potrzebowała czterdziestu minut na pływanie, dwudziestu na przebranie i wysuszenie włosów.

Dwadzieścia pięć metrów po raz ósmy. Rogozińska rytmicznie unosiła się nad wodę, by zaczerpnąć powietrza, po czym składała ręce jak do modlitwy, by zaraz wyprostować je szybkim i płynnym ruchem.

Niebawem nadejdzie wiosna. Tym razem nie dam się zaskoczyć. – Myśl o efekcie końcowym pomagała dziennikarce lekceważyć zmęczenie mięśni. – Nie będę miała otłuszczonych bioder!

Dwadzieścia pięć metrów po raz dziesiąty. Zmęczeniu zaczyna towarzyszyć zadyszka.

Przed kolejną rundą odpoczną – obiecuje sobie po to, by uspokoić umysł, po czym pokonuje kolejne dwie długości basenu. Tym razem jednak wydłuża ślizgi. Pływie stylem klasycznym – najpiękniejszym i najtrudniejszym technicznie. Żabka kryta to nie tylko precyzyjne ruchy. Obowiązkowe są także dwie fazy: wyleżenia i poślizgu.

Dwadzieścia pięć metrów to dokładnie dwieście pięćdziesiąt centymetrów. Nie dwieście trzydzieści ani dwieście siedemdziesiąt dwa. Rogozińska czuje jednak, że przy każdej kolejnej długości basenu dystans się wydłuża.

Dwadzieścia pięć metrów po raz piętnasty. Kiedyś chciałaby przepływać podczas treningu dwa kilometry. Dziś musi pokonać przynajmniej pięćset metrów.

– Jeszcze pięć basenów – mobilizuje ostatki sił i stara się przenieść świadomość w zupełnie inny wymiar.

Wczoraj była w Warszawie. Zapadła się w miękkim fotelu stojącym w gabinecie szefa programowego stacji i wysłuchiwała jego propozycji. Nie tego się spodziewała. Awans, owszem. Warszawa na stałe, bardzo chętnie.

– Pani Anno, cenimy pani umiejętności, predyspozycje i doświadczenie. Chcielibyśmy, by za jakiś czas stała się pani gwiazdą naszej telewizji – programowy opowiadał z takim entuzjazmem, jakby był akwizytorem, którego życie zależy od sprzedaży właśnie TEGO produktu właśnie w TEJ chwili. – Zapytam może tak: czy jest pani gotowa na wyzwanie?

– Wyzwanie to moje drugie imię.

Szef nie wydawał się zaskoczony.

– Słyszałem o pani same dobre rzeczy. Domyślałem się, że sukces to pani nazwisko – zażartował.

– Nie będę zaprzeczać.

– W takim razie mam coś idealnie dla pani.

– Słucham. – Spodziewała się, że zostanie zaproszona do stałego składu topowego programu informacyjnego.

– Chciałem, to znaczy chcieliśmy – programowy wskazał siedzących obok Anny pozostałych dyrektorów – zaproponować pani prowadzenie własnego programu.

– Własnego?

– Tak. Firmowanego pani nazwiskiem lub imieniem. Programu związanego z poznawaniem ludzi i podróżowaniem.

Już miała zacząć skakać do sufitu z radości, gdy okazało się, że życie bez haczyków jest mrzonką.

– Podróżowanie? – Nie miała nic przeciwko poznawaniu nowych miejsc i nowych ludzi, zwłaszcza jeśli mogłaby robić to przed kamerami. – W zupełnie nowej formule?

– Formuła ma być nowatorska. Czegoś takiego jeszcze nie było w polskiej telewizji. Będzie pani podróżowała po Polsce...

Dyrektor programowy poczęstował ją słodkimi wizjami przyszłości, po czym dodał, że program początkowo nadawany byłby w raczkującej telewizji lifestyle'owej. Takiej, która jest w grupie Primo TV, ale dopiero pracuje na oglądalność. Kiedy szef zobaczył, że dziennikarce zrzęda mina, dodał:

– Ten program wymyślony został po to, by w niedalekim czasie zaistnieć na antenie Primo TV. Dlatego zapewniam, że jeśli pani program okaże się sukcesem, pójdzie w Primo TV. W niedzielę. Przed południem.

Usłyszała, że ma szansę zastąpić znaną podróżniczkę, bo światowe podróże już się przejadły.

Miałyby zostać polską Cherry Healey<sup>[2]</sup>. Prowadzić polskie *Siedem kobiet*. Podróżować po Polsce. W każdym odcinku poznawać siedem kobiet i pokazywać ich stosunek do tematu odcinka. Seksu, alkoholu, pieniędzy, ciąży, diet, pracy.

– Co pani na to? – po naszkicowaniu obiecujących wizji szef programowy spytał z niekłamany zachwytem. Chyba sam siebie oczarował.

– Musiałabym się zastanowić – odpowiedziała dyplomatycznie, a jednocześnie walczyła z myślami, że to nie dla niej. Zbyt lifestyle'owe. Zbyt błahe. – Zawsze chciałam uświadamiać społeczeństwo, informować o poważnych sprawach.

– No właśnie, dlatego śmiemy twierdzić, że pani się idealnie do tego nadaje! Nawet jeśli w tej chwili nie jest pani zdecydowana. Przecież poważne tematy wiążą się nie tylko z polityką i morderstwami. Poza tym taka piękna i mądra kobieta powinna pokazywać się na ekranie. Woli pani setki<sup>[3]</sup> niż czterdziestominutowe

programy?

Dyrektor programowy zachęcał Rogozińską, jak mógł, podczas gdy Robert Zieliński – zastępca szefa wszystkich szefów – przysłuchiwał się tej rozmowie i kiwał głową. Siedział z boku.

Anka przyglądała mu się ukradkiem. Ostatni raz widzieli się w Poznaniu. Kiedy wychodził z jej mieszkania, miał minę zaspokojonego samca. Lubiła jego zapach, klasę i niezobowiązujące spotkania, z których musiała zrezygnować. Chciała być fair. Wobec siebie, Łukasza i Roberta. Sytuacja się zmieniła. Nie mogła wejść w nowy związek z Łukaszem i targać ze sobą bagaż w postaci kochanka.

Zieliński informację o koniecznym ochłodzeniu stosunków przyjął z klasą. Nie nachodził Anny. Nie dzwonił. Nie żądał wyjaśnień. Czasami zastanawiała się, czy jego zachowanie wynikało z dojrzałości, czy też – braku jakichkolwiek uczuć w stosunku do niej.

– Pokazała pani, że ma wszelkie predyspozycje, by wyciągać z ludzi to, co najciekawsze – kontynuował dyrektor programowy. – By mówić głośno o problemach społecznych. Nikt nie robi tego z większym wdziękiem niż pani. Przemilczane społeczne problemy rosną... aż w końcu prowadzą do wybuchu. Morderstwa. Nadal będzie pani robić wielkie rzeczy... i to u nas. Otwieram przed panią drzwi z napisem „droga do wielkiego sukcesu”. Wchodzi pani?

Nie odpowiedziała. Dostała siedem dni na zastanowienie. Siedem kobiet. Siedem grzechów głównych. Gdy na pożegnanie ścisnęła rękę byłego kochanka, usłyszała:

– Zobaczysz, wszyscy cię pokochają. – Zabrzmiało to dość gorzko.

Ostatnie dwadzieścia pięć metrów męczarni stanowiło dla Rogozińskiej nie lada wyzwanie. Bolał ją już każdy miesiąc. Przewróciła się na plecy i kraulem dopłynęła do krawędzi basenu. Spojrzała na zegarek.

– Pięćset metrów w czterdzieści minut. Dałam radę!

Pokonała swoje słabości, przemyślała ważne sprawy i pracowała na dobry wygląd. Teraz mogła biec do pracy. Spaliła właśnie czterysta dwanaście kalorii. By osiągnąć podobny wynik, musiałaby jeździć na rowerze prawie dwie godziny.

\*

W gabinecie Króla dziennikarka poczuła się jak na audiencji.

Meble biurowe nie tylko zapewniały użytkownikowi wysoki komfort pracy, lecz także podkreślały prestiż. Budowały odpowiedni klimat do ważnych rozmów i akcentowały właściwe relacje. Rogozińska nie chciała nawet spróbować szacować ich wartości.

– Co panią sprowadza? – Polityk nie krył zdziwienia. Musiała przyznać, że wyglądał jak właściwy człowiek na właściwym miejscu. Dostojny, zadbany, budzący

zaufanie, bujał się na skórzanym fotelu dyrektorskim z pełnym zakresem regulacji. – Czyżby przywiozła mi pani osobiście słupki oglądalności naszego wywiadu?

Rogozińska nie doczekała się zaproszenia do zajęcia miejsca siedzącego, więc rozsiadła się na najbliższym skórzanym krześle na własną odpowiedzialność. Nie usłyszała też propozycji, by się czegoś napić. Widocznie jej wizyta nie była Królowi na rękę.

Pytanie dotyczące słupków oglądalności uruchomiło w jej mózgu lampę ostrzegawczą.

Uwaga: szkodliwe promieniowanie! Uwaga: wskazane jest zachowanie ostrożności!

Czy przypadkiem nie zostałam zmanipulowana? Może Łukasz ma rację? – Nie mogła pozbyć się tych pytań. Skąd taka zbieżność? Grabowski wypowiada się w liczbie mnogiej. „Czekamy na słupki oglądalności”. Polityk pytał o słupki. Czy tak powinno brzmieć pytanie ojca, który niedawno stracił syna?

– Słupki? – Słowa cisnące się na usta ograniczyła do minimum. Jakie słupki? Czyżby polityk uznał, że poza anteną nie musi nosić maski ojca zatopionego w żałobie? – Nie! Chciałam jeszcze zapytać o Grzegorza.

– Pani wybaczy, ale poświęciłem pani wystarczająco dużo czasu, zadała pani mnóstwo pytań. Niektórzy dziennikarze nie mają połowy tego co pani...

Wypowiedź Ksawerego Króla była kategoryczna i zakończona śmiechem. Był rozluźniony. Czuł swoją wyższość. Rogozińska powinna całować go po stopach i dziękować za możliwość przeprowadzenia rozmowy w Primo TV.

– Nie zamierzam marnować pańskiego cennego czasu. – Reagowała instynktownie i przystosowała się do nowych warunków. Król w telewizji sprzedał zupełnie inny obraz siebie. – Tylko jedno pytanie i uciekam.

Rzeczywiście Król był częstym gościem w programach telewizyjnych. Prowadził publiczne dysputy na tematy polityczne. Nigdy wcześniej nie odpowiedział na żadne pytanie dotyczące życia prywatnego. Anna Rogozińska miała szczęście. Mogła przez trzydzieści minut wywiadu, i to emitowanego na żywo, pytać o wszystko. Pojęcie „wszystko” było jednak względne.

W praktyce oznaczało: wszystko, co zostało zaakceptowane przez dyrektora Grabowskiego, któremu dzień wcześniej musiała przekazać listę pytań.

– Wiedział pan o tym, że Grzegorz bawił się z dopalaczami?

– Powinna pani już iść. Za minutę mam ważne spotkanie.

– Wiedział pan i zapomniał wspomnieć o tym szczególnie w wywiadzie. – Anna zdecydowała się wykorzystać ostatnie sekundy obecności w gabinecie.

Wstała i stanęła przy masywnym biurku. Równo poukładane gazety, dokumenty i długopisy ją przeraziły. Mężczyzna uwielbiał porządek, nie pozwalał sobie na odrobinę spontaniczności czy szaleństwa. Niebieskie długopisy leżały obok

niebieskich, czarne – obok czarnych.

– Informowałem panią i widzów, że mój syn nie mógł wypaść z balkonu. Nie był głupi. Nie planował samobójstwa. Po prostu ktoś go wypchnął – stwierdził, przywdziewając zbolaną minę.

Oczywiście, Anka przytaknęła w myślach. Drugi raz nie da się na to nabrać.

Już słyszała historyjkę o wypruwaniu sobie żył, o najlepszych szkołach. Prywatnych, ma się rozumieć. O dbaniu o syna i jego edukację.

– Wie pan kto? – Udała, że wciągnęła się w grę narzuconą przez polityka.

– Nie zmusi mnie pani do oczerniania kolegów syna.

– Pójdę już. Nie ukrywam jednak, że łatwiej byłoby mi... gdybym wiedziała, kto mógł to zrobić.

– Niech pani to zostawi! Nie chcę, by tragedia mojego syna nieustannie żyła na ludzkich ustach. Chcę chwili wytchnienia. Ukojenia.

Ukojenia nie szuka się w telewizji. Nie opowiada się o zmarłym synu w telewizyjnym wywiadzie. Wiedzieli o tym Rogozińska, każdy początkujący dziennikarz i na pewno wyrafinowany polityk Ksawery Król.

– Rozumiem. – Dała do zrozumienia, że szanuje jego słowa, że nie będzie nalegać. – W takim razie pójdę już.

– Proszę jednak pamiętać – odezwał się, gdy była już przy drzwiach – że w każdej grupie, nawet najbardziej elitarnej, zawsze znajdzie się jakaś czarna owca.

– Czarna owca... A w paczce Grzegorza był nią...

Zawiesiła głos tak samo delikatnie, jak delikatnie postępuje się z wędką, gdy ryba połknie haczyk. Nazwisko Fabiana padło chwilę później. Tonem ostrym i zupełnie niepasującym do niewinnego wyrazu twarzy polityka.

---

[2] Cherry Healey – brytyjska prezenterka telewizyjna BBC.

[3] Setka – w fachowym żargonie krótka wypowiedź do kamery, używana w telewizyjnych materiałach informacyjnych.

## ROZDZIAŁ 5

### 30 dni do walentynek

Fabian Spychalski mieszkał w kamienicy przy Rynku Wildeckim.

– To pewnie tutaj. – Anna w poszukiwaniu mieszkania numer trzynaście wdrapała się po stromych schodach aż na strych.

Jej oczom ukazały się antywłamaniowe drzwi bez numeru. Na poprzednich piętrach znajdowały się wejścia do mieszkań pamiętające czasy największej świetności kamienicy. Duże, z przeszkleniami osłoniętymi zasłonami od wewnątrz. Nad wszystkimi znajdowały się numery. Dwunastka znajdowała się na ostatnim piętrze.

Drzwi odnalezione na strychu kontrastowały z otoczeniem. Były nowoczesne, masywne i nie przepuszczały do mieszkania ani grama hałasu, światła, ewentualnego dymu czy ognia.

Rogozińska zapukała. Stłumiony dźwięk odbił się od ścian. Zauważyła błysk w wizjerze. Ktoś się jej przyglądał.

Zapukała jeszcze raz. I jeszcze raz. Nie doczekała się żadnej reakcji. Nie znalazła też dzwonka. W takich chwilach żałowała, że jej twarz może być rozpoznawalna. Fabian mógł oglądać wywiad z Królem. Zobaczył twarz dziennikarki na klatce schodowej i od razu skojarzył, o co chodzi. Nie chciał rozmawiać z Anną, dlatego udawał, że nie ma go w domu.

Od osoby, z którą chciała porozmawiać, dzieliły ją drzwi antywłamaniowe.

Zeszła dwa piętra niżej i usiadła na schodach.

Nie miała zamiaru odpuścić.

Jeśli w mieszkaniu ktoś jest, prędzej czy później będzie musiał z niego wyjść. Wtedy natknie się na mnie, pomyślała.

Rogozińska wyjęła z torebki komórkę i przeniosła się myślami na portal informacyjny. Otoczenie, w którym przyszło jej czekać, nie wyglądało przyjaźnie. Stare wycieraczki, zniszczone drzwi, zasłony mające oddzielać poszczególne rodziny od reszty społeczeństwa. Wrażenia wizualne potęgował drażniący zapach. Kamienica była zaniedbana, wypełniona najemcami o niskim statusie materialnym.

– Czego tu? – Jakaś staruszka wypełzła ze mieszkania numer osiem, zostawiając za sobą otwarte drzwi. – Paszoł won!

– Dzień dobry – Rogozińska podeszła bliżej. – Przyszłam do... znajomego, ale jeszcze go nie ma. Muszę poczekać.

– Do tego tam? – Staruszka uniosła oczy, policzki i górną wargę, odsłaniając ogromne dziurki nosa. Wyglądała, jakby udawała świnię.

– Tak, do Fabiana.

– Paszoł won!

– Nie lubi go pani?

– A kto go tu lubi?

– Domyślam się, że nikt. Ja też go nie lubię. Czekam, bo musi mi coś oddać. Potem niech spada.

– Ha – staruszka się ucieszyła. – Dobrze mu tak.

– Wkurzający jest, prawda?

– Zastrany gówniarz, co mu się wydaje, że jest nie wiadomo kim.

– Długo tu mieszka?

– Z pół roku będzie. Wykupił cały strych, ponad sto metrów. Zrobił tam sobie złote kłamki. Tak mówią. Taras zbudował. Apartamentów mu się zachciało. Taras się zawala, a Heni kuchnię przez to zalewa.

– Z kim mama gada? – Z głębi mieszkania najpierw wydobył się męski głos, a później zataczająca się sylwetka.

Chcąc nie chcąc, Rogozińska przyjrzała się wnętrzu. Długi korytarz wypełniony był kartonami i workami. Przypominał bardziej dziką noclegownię niż mieszkanie. Zapewne same antywłamaniowe drzwi do apartamentu Spsychalskiego kosztowały więcej niż dobytek tej rodziny spod ósemki.

– Do domu! – Pijany mężczyzna warknął, a staruszka posłusznie wróciła do mieszkania.

\*

Kwadrans później dziennikarka ponownie wstała ze schodów, by ustąpić miejsca. Z góry zbiegała dziewczyna. Mogła mieć dwadzieścia kilka lat. Logo znanej marki odzieżowej, dumnie prezentowane na puchowej kurtce i kolorowej czapce, bezbłędnie wskazywało na brak przynależności dziewczyny do społeczności kamienicy.

– Przepraszam.

– Tak? – Dziewczyna się zatrzymała.

– Jesteś może znajomą Fabiana?

– Jestem jego narzeczoną, a co?

– Witaj, mam na imię Ania. Jestem...

– Wiem, kim jesteś. Widziałam cię dzisiaj pod naszymi drzwiami. Myślałam, że już poszłaś.

Ooo. – Rogozińska zdziwiła się w duchu. – Czyli gramy w otwarte karty?

– Zostałam, bo muszę zamienić kilka słów z Fabianem.

– Ale on nie chce z tobą rozmawiać.

– Jest u siebie? Może uda mi się go przekonać?

– Nie uda. Fabian nie zmienia decyzji. Powiedział, że nie będzie z tobą gadał.

– A może ty go przekonasz?



– Nie mam mocy nadprzyrodzonej. Poza tym... po co?  
– Jak to po co? Przecież umarł Grzegorz, kumpel Fabiana.  
– Znałam Grzesia. Przyjaźnili się z Fabianem. Ta bezsensowna śmierć boli każdego z nas. Fabiana brzydzi ta medialna szopka.

Dziewczyna stała na piętrze, gotowa do pokonania kolejnych schodów. Ręka z kolorowymi sztucznymi paznokciami trzymała obdrapaną poręcz. Nie pasowała tu. Ani ręka, ani jej właścicielka.

– Rozumiem. – Anka uznała, że spróbuje porozmawiać z Fabianem innego dnia. Dziś przepyta dziewczynę. – Byłaś z nimi tamtej nocy?

– Nie. To był męski sylwester. Żałuję. Może gdybym była z nimi... mogłabym coś zrobić. Jakoś zareagować.

– Odniosłam wrażenie, że ojciec Grzegorza nie przepada za Fabianem.

– Nie przepada. – Dziewczyna się roześmiała. – To bardzo łagodne określenie. Widzieliśmy twój wywiad. Spodziewałam się, że Król pojedzie po Fabianie.

– Nie wspomniał o nim ani słowa.

– Dokładnie. Domyślam się, że musiało go to dużo kosztować.

Cierpliwość Rogozińskiej została nagrodzona. Nie rozmawiała co prawda z Fabianem, ale z jego dziewczyny też mogła wyciągnąć kilka ciekawych informacji.

– Jaki jest stosunek Fabiana do ojca Grzegorza?

– Musiałabyś sama go o to zapytać.

– Ale nie chce ze mną gadać...

– No widzisz! Ojciec Grzesia jest od lat uprzedzony do Fabiana. Wiesz, Fabian i Grześ poznali się jeszcze w liceum.

– Prywatnym?

– Tak. Fabian pasował do tego towarzystwa jak pięść do oka. Syn pospolitego handlarza samochodami, a tu wokoło arystokracja. Nowe pokolenie polityków, prawników, artystów, dyplomatów. Przynajmniej w wyobrażeniach ich rodziców.

– Pospolitego handlarza samochodami było stać na prywatne liceum?

– Józek Sychalski zawsze był obrotny. Prowadził kilka komisów. Chciał, żeby jego syn miał lepszy start w dorosłość. Taka szkoła zawsze zadowala przede wszystkim ambicje rodziców.

– Przyjaźń przetrwała lata, jakby na złość rodzicom, co?

– Noo. Paczka była wyjątkowo trwała.

– Paczka?

– Grześ, Fabian, Bartek i Piotr. Czterech muszkieterów.

– Wszyscy byli wtedy w mieszkaniu Grzegorza?

– Tak. – Dziewczyna spojrzała na komórkę. – Sorry, pójdę już. Śpieszę się.

Dziewczyna zrobiła kilka kroków. Anna poszła za nią.

– Powiedz mi jeszcze tylko jedno: czy oni lubili się zabawić? – nalegała. Nie

mogła zakończyć rozmowy w tym momencie.

– Zabawić? W sensie? – Rozmówczynie spojrzęła uważnie na dziennikarkę.

– No wiesz...

– Chodzi o dziewczyny?

– Nie.

– Alkoholu raczej nie pili. Palili fajki, ale czy to można nazwać zabawą?

– A dopalacze?

– Muszę już iść.

Nie mówiąc nic, można powiedzieć bardzo wiele. Zachowanie dziewczyny nie pozostawiało złudzeń.

– Odpowiedz, proszę.

– Nie powinnam z tobą rozmawiać.

Wyszły na ulicę. Nie odzywały się do siebie przez chwilę. Dziewczyna przyspieszyła.

– Do widzenia. – Rogozińska nie miała zamiaru jej gonić. Stanęła i opatulila się szalem.

Kobieta wydawała się nie słyszeć pożegnania. Była kilka kroków przed Anką, gdy odwróciła się i spojrzęła na nią przerażonym wzrokiem. Trwała w tej dziwnej pozie przez minutę, może dwie, a potem podeszła do dziennikarki i złapała ją za rękaw.

– Fabian nie będzie tracił czasu na pogawędki, ale spróbuj porozmawiać z Bartkiem. Oni wszyscy lubią balansowanie na granicy ryzyka.

\*

– Dzięki, że nie wspomniałeś policji o tej bójce.

Koledzy siedzieli na siedziskach wyglądem zbliżonych do gigantycznych worków gimnastycznych. Fabian uwielbiał luźny styl życia. Fotele byłyby dla niego zbyt sztywne. Ograniczałyby jego chęci. Siedzisko dynamicznie dopasowywało się do jego ciała. Mógł na nim leżeć, siedzieć, odpoczywać czy uprawiać seks.

– Coś ty, Fabian, po co miałbym mówić? Żeby się przypierdolili do zupełnie nieistotnego zdarzenia?

– Dzięki, stary. Jestem twoim dłużnikiem.

Mimo że na twarzach Fabiana i Piotra pojawiły się już pierwsze zmarszczki, to kiedy rozmawiali ze sobą, czuli się jak nastolatki. Zaprzyjaźnili się w liceum. Niejednokrotnie musieli wtedy dawać sobie wzajemnie alibi, by kryć występki. Piotr – syn biznesmena, Bartek – syn sędziego, Grzegorz – syn polityka i zupełnie niepasujący do nich Fabian – syn handlarza.

Spychalscy się rozwiedli, a matka wypruwała sobie żyły, by zarobić na chesne dla syna. Fabian imponował kolegom zaradnością życiową, pewnością siebie i brakiem

zajęć dodatkowych. Nie biegał jak oni na dodatkowe lekcje hiszpańskiego, grę na pianinie czy karate, a i tak potrafił dogadać się z każdym. A jeśli się nie dogadywał, przechodził do ręcznego tłumaczenia swoich racji...

– Nie ma sprawy.

– Stresowałem się na maksa.

– Niepotrzebnie. Po wstępnym rozpytaniu ustalili, że nic nie wskazuje na przestępstwo, dlatego dalej przesłuchiwali nas jedynie w charakterze świadków i informowali o możliwości uchylenia się od udzielenia odpowiedzi na pytanie, jeśli może narazić nas to na odpowiedzialność karną.

– Jak mnie zwinęli do sukki, momentalnie wytrzeźwiałem. Doszło do mnie, jak to wszystko może wyglądać z boku. Impreza, czterech kumpli, alkohol. Dwóch facetów się bije. Godzinę później jeden z nich wypada z balkonu. Kurwa, stary, w życiu tak się nie bałem. Myślałem, że będą nas trzymać w nieskończoność. Chciało mi się spać, ale gdy tylko zamykałem oczy, pojawiał się obraz Grzecha leżącego na podwórku... Nie chcę go pamiętać takiego zakrwawionego.

– Nie było najgorzej. – Piotr Przemysk się roześmiał. – Mnie śniła się mordą policjanta. Tego, co wpychał nas do samochodu. Gdyby nie to, że był w mundurze... pomyślałbym, że to ktoś z mafii. Taki miał zakazany ryj.

– Człowiek się tyle filmów naoglądał, że w takiej sytuacji wyobraźnia zaczęła pracować. Kurwa, szarpaliśmy się z Grzesiem, mogłem mieć jego skórę pod paznokciami. Bałem się, że pobiorą mi materiał do badania.

– Dobrze, że nie pękłeś. – Piotr spoważniał. – Że nie przyznałeś się do szarpaniny. To by tylko niepotrzebnie utrudniło śledztwo. Nie zatrzymali nas jako podejrzanych w rozumieniu Kodeksu postępowania karnego, tylko jako podejrzewanych. Sprawa była delikatna. Musieli nas dokładnie o wszystko rozpytać, by ustalić, że nie doszło do przestępstwa. Jesteśmy paczką. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Mieliście z Grześkiem różne zdania, o tym wiemy wszyscy, ale wiemy też, że go byś nie zabił.

– A ja wiedziałem, że to studiowanie prawa prędzej czy później ci się przyda. Nie wypchnąłem go. Bez względu na to, jak bardzo by mnie wkurwił, i tak bym go nie wypchnął.

Latem dwa tysiące drugiego roku ich drogi się rozeszły. Zdali maturę, zaliczyli razem kilka imprez, po czym podzielili się na dwa obozy. Grzegorz i Bartek wyjechali do Warszawy, by studiować w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Piotr i Fabian zostali w Poznaniu. Pierwszy dostał się na prawo na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, a drugi – na Akademię Wychowania Fizycznego.

– Nie jestem głupi.

– Wiem. To był nieszczęśliwy wypadek. Grzegorz po prostu wypadł. Sam. Bez udziału osób trzecich. – Zabrzmiało to bardziej jak mantra niż próba uspokojenia

przyjaciela. Piotr bardzo chciał wierzyć w to, co mówił. – Na stuprocentowej prawdomówności nie zyskalibyśmy niczego, a moglibyśmy stracić bardzo dużo. Bójka, porządny konflikt: to wszystko świadczy przeciwko tobie. Zamknęliby ciebie i co?

– I dupa.

– Interes by ucierpiał. Nasz wspólny interes...

\*

Był w tym miejscu tyle razy, ale nigdy wcześniej nie doświadczył takiej fontanny intensywnych barw. Ściany były tak intensywnie żółte jak żółtko kury z wolnego wybiegu, dodatkowo obrobione jeszcze w Photoshopie.

Chyba się zgubił. Ktoś go przeniósł na inną imprezę. Bez uprzedzenia.

Nie poznaje nikogo. Ludzie tańczą pod ścianą. Mają po kilkanaście par rąk i wyglądają jak pająki.

Jego myśli przyspieszają. Podobnie jak krew w żyłach. Czuje to. Przepływa przez całe ciało. Czuje też każdą kość, każdy mięsień... i serce. Ono bije, jakby zaraz miało stanąć z nadmiaru pracy. Ma zadyszkę. Nie on. Jego serce.

– Zapalisz?

Pada pytanie. Z której strony? Chciałby odpowiedzieć, że chętnie, ale język nie współpracuje z mózgiem. Na szczęście, człowiek w dziwnej masce czyta w jego myślach i wkłada mu zapalonego papierosa do ust.

Wszyscy mają maski. Chociaż nie. Nie wszyscy. W rozbawionym tłumie znajduje siebie. Siedzi pod ścianą i pali papierosa. Gasi go na swoim przedramieniu i uśmiecha się głupkowato. Dobrze wygląda w niebieskiej koszuli w kratkę. Jedyne bez maski.

Jakaś laska czai się za nim. Pewnie będzie chciała go poderwać. Ona też ma maskę.

On przygląda się sobie z przyjemnością. Kto jak kto, ale on dobrze siebie zna. Wie, jaki będzie ciąg dalszy czajenia się. Zadowolony zainteresowaną panną. Nie da się prosić. Nie ma w zwyczaju marnować okazji.

Zaraz, zaraz. Laska w lewej ręce trzyma kosę. Wygląda jak śmierć. Wygląda czy nią jest? Czyżby był na tak wysokim poziomie, że jest w stanie zobaczyć śmierć?

Zaczyna się bać. Powoli. Coraz szybciej. Emocje przecież mogą przyspieszyć. On może w ciągu chwili bać się bardzo mocno.

Obserwuje siebie. Widzi, jak się puszy, ślini i wypina pierś. Śmierć już na nim siedzi, a on chce pokazać, że jest samcem gotowym do kopulacji.

– Dobrze, że jestem ponad to.

Odrywa się od ciała, siebie i dziwnej imprezy. Nie może jednak uwolnić się od lęku. Coś się za chwilę wydarzy. Coś złego.

## ROZDZIAŁ 6

29 dni do walentynek

– Jakież obrażenia na ciele? – Braun przybył na miejsce zbrodni odrobinę spóźniony. Nie przeszkodziło mu to w wysłuchaniu wstępnych ustaleń lekarza stwierdzającego zgon.

Ciało młodego mężczyzny ubranego jedynie w dżinsy, koszulę w kratę i buty oparte było o ścianę kamienicy. W nocy jego głowę, nogi, dłonie i korpus śnieg przykrył kilkucentymetrową warstwą. Denat nie miał na sobie kurtki. W nocy słupek rtęci spadł do minus piętnastu stopni Celsjusza. Nie trzeba było kończyć studiów medycznych, by stwierdzić, że mężczyzna nie żyje.

– Nie. – Lekarz pokręcił głową.

– Kto go znalazł? – Braun zwrócił się do pracujących policjantów.

– Tamta babka – odpowiedział najbliższy stojący funkcjonariusz, spisujący akurat protokół ujawnienia zwłok.

– Renata Małecka, lat dwadzieścia jeden. – Drugi policjant uzupełnił wypowiedź kolegi, zerkając od czasu do czasu w notes. Miał białe brwi, niebieskie oczy i bladą twarz. – Mieszka na Czartorii. To ślady jej butów widoczne są przy ofierze. Codziennie rano biega przy Warcie. Zauważyła faceta, upewniła się, że nie oddycha, i zadzwoniła na policję.

Braun spojrział na odciski butów sportowych pozostawione na śniegu. Przy każdym stały numery porządkowe, a technicy kryminalistyki dokładnie odmierzali odległość między śladami, denatem i ścianą.

– Tożsamość?

– Nieustalona. Nie miał przy sobie dokumentów.

– Karawan?

– Jest w drodze.

– Dobrze. – Wiktor Braun westchnął ciężko. Bił się z myślami, że nic tu po nim.

Przyczyn zgonu mogło być wiele. Śmierć mogła być naturalna. Mężczyzna mógł umrzeć przypadkiem. Mógł też zostać zabity. W tej chwili Braun nie był w stanie wykluczyć żadnej z hipotez. Brak widocznych obrażeń na ciele raczej wykluczał udział tak zwanych osób trzecich. Raczej.

– Więcej dowiemy się podczas sekcji – rzucił za siebie, zbierając się do wyjścia.

Czekała na niego kolejna biurokratyczna machina. Postanowienie o wszczęciu śledztwa. Postanowienie o powołaniu biegłego lekarza sądowego, aby przeprowadził on sekcję zwłok.

– Panie prokuratorze? – Zatrzymał go albinos.

– Tak?

– W kieszeni denata znaleźliśmy produkty kolekcjonerskie.

- To znaczy?
- Między innymi nawóz do roślin o nazwie „tajfun”.
- Dopalacz...

Wiktor Braun podziękował policjantowi i przespacerował się wokół kamienicy mieszczącej się na poznańskim Chwaliszewie.

Kiedyś Chwaliszewo otoczone było z każdej strony Wartą i przypominało Wenecję. Niestety, od zawsze cieszyło się złą sławą. Stanowiło dom i miejsce pracy dla wielu nożowników, złodziei i innych bandytów. Dziś w miejscu budynków zburzonych w czasie wojny powstawały nowoczesne kompleksy apartamentowców, a śmierdząca historia mieszała się ze lśniąca szkłem współczesnością. Współczesność patrzyła z wyższością na bezrobotnych rdzennych mieszkańców. Chłopaki z Chwaliszewa kpiąco spoglądali na panusie wyglądające z panoramicznych okien swoich apartamentów, których jeden metr kwadratowy kosztował więcej niż roczna równowartość zasiłku dla bezrobotnych.

Rdzenni mieszkańcy mogli sikać pod oknami współczesnej arystokracji, a jednocześnie byli u siebie. Deweloper nie płacił im za to, by wyglądali schludniej. Nie odnawiał zaniedbanych kamienic. Nie kazał im się golić. Deweloper sprzedawał mieszkania z widokiem lub w bliskim sąsiedztwie rzeki, trzeciej pod względem długości w Polsce. Apartamenty blisko Starego Miasta. W mieście zaginionym. W poznańskiej Wenecji.

Braun zatrzymał się przed wejściem do kamienicy. Kilka miesięcy wcześniej wyglądała na całkowicie zaniedbaną. Teraz nie sprawiała takiego wrażenia.

Prokurator zdjął rękawiczki, wyjął telefon komórkowy, a prawą ręką w kieszeni płaszczka odszukał minimalistyczną wizytówkę.

– Halo? – Po wybraniu numeru usłyszał głos Anny Rogozińskiej.

– Witam. Wiktor Braun.

– Wiktor? – Zdziwiła się. – Cześć. Nie znam tego numeru.

– Jest prywatny – odpowiedział lakonicznie. Nie miał ani ochoty, ani czasu na to, by wdawać się w niepotrzebną wymianę zdań. Chciał tylko przekazać informację. – Temat dopalaczy... Interesuje cię jeszcze?

– A co? Namyśliłeś się i chciałeś potwierdzić, że Grzegorz Król był po dopalaczach?

– Interesują?

– Tak.

– W takim razie chciałem powiedzieć, że właśnie znaleziono denata z dopalaczami w kieszeni.

– Ooo! – Anka nie mogła ukryć zaskoczenia. Prokurator unikający rozmów o pracy przekazuje jej taką informację. – Powiesz coś więcej? – zapytała delikatnie.

– Teraz. Chwaliszewo. „Czerwona chata”. Przyjeżdż.

\*

„Czerwona chata” pięknie statystowała w nagraniu. Stanowiła wyszukane tło dla Anki. W oddali majaczyły wieże poznańskiej katedry, a ceglana elewacja posesji numer pięć, naznaczona zębem czasu, zamykała bieg ulicy Czartoria, na której stała dziennikarka.

– Na poznańskim Chwaliszewie znaleziono dziś śmiertelną ofiarę prawdopodobnie zabawy z dopalaczami. Mężczyzna miał trzydzieści lat i zanim umarł, zaliczył zapewne kilka ciekawych wizji. Jedna z nich sprawiła, że przy ponad piętnastostopniowym mrozie zdecydował się wyjść na dwór w samej koszuli.

Dziennikarka umiejętnie przemilczała niewygodne fakty. Po pierwsze, że w tak krótkim czasie nie była w stanie ustalić nazwiska denata. Po drugie, że stwierdzenie o dopalaczach jako przyczynie śmierci było pewnym nadużyciem. Dla złagodzenia ewentualnych konsekwencji dodała do swojego sprawozdania słowo wytrych „prawdopodobnie”. Nauczona doświadczeniem, pamiętała, że dla jej szefa i prawników jest ono bardzo ważne, a dla widzów – wręcz niezauważalne. Jeśli będą powtarzać usłyszaną od niej informację, na pewno zapomną o sformułowaniu „prawdopodobnie”.

Braun poinformował ją o ofierze dopalaczy. Kobieta, która znalazła zwłoki, wspomniała w rozmowie z Anką, że policjanci znaleźli dopalacze przy zwłokach.

– Jak udało mi się ustalić, w spodniach ofiary znaleziono niezłą kolekcję środków psychoaktywnych. Mężczyzna nie jest pierwszą ani ostatnią ofiarą dopalaczy. Czy był jednak świadomy, że zabawa z tymi substancjami jest niebezpieczna, że może kosztować go życie? – Pytanie wyartykułowane zostało w taki sposób, że rodziło automatyczny odruch udzielenia odpowiedzi.

Artur Lipiec, czterdziestoletni operator kamery, cierpiał od lat na specyficzną nadwrażliwość. Odbierał bodźce wizualne zbyt intensywnie. Cały świat do niego krzyczał. On widział, czuł i przeżywał. Na swój sposób. Z kamerą w ręku. Kamerą będącą jego okiem, sercem i mózgiem. Z tego powodu był dobry w tym, co robił, a Anka miała zwyczaj pracować z najlepszymi.

Tego dnia świat przykryty śniegiem darł się wniebogłose. Artur starał się go uspokoić, muskając kamerą najgłośniejsze elementy otoczenia: bruk przykryty śniegiem zmieszany z piaskiem, przeciwpowodziowe mury oporowe starego koryta Warty i kamienicę numer pięć.

Ta ostatnia stanowiła wspomnienie wielkomiejskiego ogromnego kompleksu bloków mieszkalnych, tak zwanych domów robotniczych. Wspomnienie prezentujące się równie odstraszająco, jak jeden ząb pozostały w szczęce, stanowiący pamiątkę kompletnego uzębienia.

W przeszłości na kompleks, który postawiono na planie litery C, składało się ponad dwieście mieszkań dla robotników, łaźnia oraz przedszkole dla czterdzieściora dzieci. Wewnętrzny dziedziniec przekształcono w obsadzony roślinnością skwer o charakterze rekreacyjnym.

Obecnie kamienica – a właściwie jej pozostałości, które przetrwały walki o Poznań podczas drugiej wojny światowej – mieściła w sobie jedynie kilkanaście mieszkań.

– Nakręć mi jeszcze ruch pieszych na ulicy. – Głos koleżanki wyrwał Lipca z amoku. – Fajnie będzie dać go na koniec. Człowiek umarł, a życie toczy się dalej.

– Skąd ja ci na Czartorii wezmę ruch pieszych? – Operator się roześmiał. – Poczatuję trochę, przymarzną do podłoża i uchwycę pijaczka stojącego pod spożywczakiem. – Lipiec wskazał w kierunku sklepu.

– Jesteś cudotwórcą, wierzę w twoją cudowną moc i kreatywność.

– Dobra, nakręcę coś w okolicach Starego Rynku, a potem jakoś to zmontuję.

– Jaki to komfort: pracować z najlepszymi! – Rogozińska lubiła nagradzać Artura komplementami.

\*

Plan pokonania w ekspresowym tempie odległości między miejscem zdarzenia a firmą był całkiem dobry. Rogozińska podeszła do zadania strategicznie. Miała pod ręką samochód zaparkowany przy delikatesach straszących papierowymi sercami zerkającymi z witryny na przechodniów. Opracowała trasę przejazdu, była zdeterminowana i... spóźniona.

Zwłoka powiększyła się jeszcze bardziej z powodu złośliwości rzeczy martwych. Czerwony Citroen C1, będący własnością Anki od dnia ukończenia studiów dziennikarskich, nie zamierzał odpalić.

– Cytryna, nie rób mi tego! Nie dziś!

Zmuszała auto do wysiłku, przekręcając kluczyk raz za razem. Rozrusznik mamrotał coś pod nosem, mamrotał, ale silnik nie mógł zaskoczyć. W końcu po piętnastej próbie się udało.

Wcisnęła pedał gazu i od razu poczuła, że straciła kontakt z podłożem. Cytryna zatańczyła na nawierzchni i w ten sposób zdradziła, że pod warstwą świeżego śniegu i soli znajduje się solidna warstwa lodu.

Rogozińska szczerze nienawidziła zimy. Wrogość budziły czapki, szale, kurtki, rękawiczki, ciepłe buty, bielizna termoaktywna pod spodniami, milion warstw odzieży. Ciągle walczyła ze spierzchniętymi ustami, wysuszoną cerą i skokami temperatury. Ciało Anny nie tolerowało mrozu. Głośno protestowało przeciwko minusowej temperaturze. Częstoowało ją wtedy bólami mięśni, skurczami



i niezrozumiałym zmęczeniem.

W ostatnich miesiącach, ku ogromnej radości Anny, zima rozpieszczała poznaniaków. Temperatura na plusie. Zero śniegu. Życie nie umierać. Do czasu.

Zaraz po Nowym Roku zima postanowiła pokazać, na co ją stać. Jakby zrobiła noworoczne postanowienie: będę taka, że nikt o mnie nie zapomni. Przez najbliższe dziesięciolecia będziecie wspominać mnie: zimę dwa tysiące piętnaście!

\*

Rogosińska wpadła do firmy zmarznięta. Nie czuła palców dłoni i stóp. Nos i policzki miała alarmująco czerwone. Zrzuciła kurtkę w szatni, torebkę umieściła pod biurkiem, opatuliła się szalem i pobiegła do kuchni.

Uratować mogło ją coś ciepłego. Marzyła o kubku aromatycznego kakao, które rozgrzałoby ją od środka. Rozejrzała się po kuchni i uznała, że marzenia odłoży na wieczór. Chwilowo musiała zadowolić się czarną herbatą.

– Aniu? – Za jej plecami pojawiła się sekretarka, która tonem tak głośnym, by mógł dotrzeć do Grabowskiego, oznajmiła: – Szef na ciebie czeka! – Po cichu jednak dodała: – Jest wściekły.

Wściekły szef jest gorszy od psa z wścieklizną – pomyślała Rogosińska, wzięła trzy łyki herbaty i zmobilizowała się, by z wielkim entuzjazmem wpaść do gabinetu dyrektora Grabowskiego.

– Dzień dobry, dzień dobry, podobno pan na mnie czeka.

– Niech pani usiądzie.

Gdyby dziennikarka była synestetą, zauważyłaby niebieski ton wypowiedzi. Mroźno niebieski.

– Wiem, wiem – siadając, zaczęła się usprawiedliwiać. – Jest już dość późno, powinnam pojawić się w firmie z samego rana, ale dostałam cynk i prosto z łóżka poleciałam w teren.

– Nie będę wnikał z jakiego łóżka.

Uwaga szefa zaskoczyła ich oboje. On nie był pewien, czy wypowiedział swoją myśl na głos. Ona zaś nie wiedziała, czy uderzyć go w twarz (bo właśnie ją obraził) czy może wbić w niego zęby z jadem (bo widocznie miał nieaktualne informacje – od miesięcy nie sypiała z dyrektorem Robertem Zielińskim).

Grabowski wyszedł zza biurka, podszedł do okna z widokiem na Stary Rynek, po czym odwrócił się i zagrział:

– Co pani sobie wyobraża? – Z jego oczu biła wściekłość.

– Słucham?

– Pytam: co sobie pani wyobraża?

– Nie bardzo rozumiem...

– Oczywiście! Najłatwiej jest udawać teraz, że się nie rozumie.

Naprawdę nie wiedziała, o co mu chodzi. W myślach przebijała się przez ostatnie zadania, aby znaleźć choćby jeden powód takiej wściekłości. Nigdy wcześniej nie widziała Grabowskiego w takim stanie, mimo że pracowała w poznańskim oddziale Primo TV od lat.

– Panie dyrektorze, o co chodzi?

– Jak pani śmiała?

Świetnie. Pojawiło się nowe pytanie. Nowy nic niewnoszący zarzut. Trudno było się jej bronić, skoro nie znała postawionych zarzutów.

– Słucham? – powtórzyła.

– Ma pani problemy ze słuchem?

– Nie.

– A z rozumieniem słów?

– Nie...

Rozmowa nie podążała w dobrym kierunku. Rogozińska nie zamierzała być chłopcem do bicia. Grabowski mógł mieć zły humor. Mógł chcieć wyrzucić z siebie uwagi dotyczące jej pracy. Ale nie mógł traktować jej jak śmiecia. Półgłówka, którego można złapać za gardło i przesuwając go twarzą po ziemi. Za to jej nie płacił. Już miała zaprotestować przeciwko sposobowi traktowania jej jako wieloletniego pracownika i KOBIECY, gdy Grabowski wyrzucił z siebie coś konkretniejszego.

– Woda sodowa uderzyła pani do głowy! Kiepsko to widzę. – Żywo gestykulował.

– Zwiastuję pani krótką warszawską karierę i bolesny upadek! Jak pani mogła bez uprzedzenia jechać do Króla i zakłócać jego żałobę?!

Szef odkrył wszystkie karty. Chodziło o polityka. To on był przyczyną napadu wściekłości.

– Chciałam jedynie potwierdzić zdobyte informacje. – Starła się zachować spokój.

– Po kiego gryba chce pani jeszcze coś potwierdzić?! Wywiad się odbył. Sprawa jest zamknięta. Proszę o niej zapomnieć!

– Sprawa śmierci Grzegorza Króla jeszcze nie została zamknięta. – Anka położyła akcent na ostatnim słowie. – Z tego, co mi wiadomo, prokuratura nadal bada...

– Gównu mnie to obchodzi. Pani też nie powinna się tym interesować. Nie pracuje pani w prokuraturze, tylko w telewizji. Medialnie sprawa jest zamknięta. Powiedziano już wszystko. Koniec i kropka!

– Nie jestem pewna, czy to koniec. Podczas wywiadu ojciec zrobił ze mnie głupka. Z nas wszystkich. Z pana i telewidzów też. Grzegorz zażywał dopalacze. Prawdopodobnie zabił się z powodu własnej głupoty, a ojciec polityk dorabia do tego zgrabną bajeczkę o tragedii... Nie wiem, szuka współczucia lub przygotowuje się do kolejnej kampanii wyborczej.

– Pani Anno. – Grabowski znowu zaczynał panować nad emocjami. Opadł na fotel dyrektorski. – Nawet jeśli syn zażywał... to ojciec o niczym nie wiedział, nie musiał wiedzieć – poprawił się po chwili, jakby chciał brzmieć wiarygodnie.

Instynkt śledczy Anny Rogozińskiej nie pozostawiał złudzeń. Grabowski i Król byli w zмовie. Manipulowali nią, bo mieli na widoku osiągnięcie wspólnego celu. Pomogła im, bo była nieświadoma ich złych intencji, a teraz miała zniknąć.

– Pani Aniu, poza wszystkimi logicznymi argumentami, które na pewno do pani przemawiają, jest jeszcze coś bardzo ważnego. W naszej branży słowo „prawdopodobnie” nadaje się jedynie do kosza na śmieci albo na proces sądowy, który z pewnością byśmy przegrali. Rozumiemy się? Przecież jest pani inteligentną kobietą.

– Teoretycznie tak...

– Nie, proszę wyrzucić również słowo „teoretycznie”... inaczej umrę na zawał serca i będzie mnie pani miała na sumieniu. Rozumiemy się?

To nie byłaby pierwsza osoba, którą miałabym na sumieniu – zauważyła w myślach, ale dla chwilowego uspokojenia rozmowy odpowiedziała:

– Tak.

– Świetnie. Mam już dość tłumaczenia się za panią. Po raz kolejny działa pani za moimi plecami.

Rozmowa z szefem rozgrzała Rogozińską o wiele szybciej niż gorący napój. Dziennikarka czuła, że temperatura jej ciała rośnie z minuty na minutę, a krew gotuje się, a to zmusza do bardziej gwałtownych reakcji.

Po raz kolejny? – Ta myśl nie dawała jej spokoju. – „Po raz kolejny działa pani za moimi plecami”. Świetnie. I tu cię mam, grzeszniku Kamile Grabowski. Gniew. Pycha. Chciwość. Zazdrość. Nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu. Niebawem zdobędziesz cały komplet grzechów głównych.

– Za plecami? – powtórzyła, czekając na reakcję Grabowskiego. Wiedziała, że chodzi mu o wywiad, który w zeszłym roku zorganizowała za jego plecami. Milczenie się przedłużało, dodała więc ugodowo: – Jeśli szef musiał tłumaczyć się za mnie, to bardzo przepraszam. Nie chciałam denerwować Ksawerego Króla. Zdaję sobie sprawę z jego trudnej sytuacji osobistej i zawodowej. Postaram się go więcej nie nachodzić.

– Bardzo dobrze. – Grabowski rozpostarł się na fotelu dyrektorskim, zadowolony z efektu.

– Tak naprawdę myślałam, że Król będzie punktem wyjścia do nowego tematu. Mam pomysł na świetny materiał społeczny.

– Jaki? – Szef połknął haczyk.

– O dopalaczach. Była wielka akcja rządowa, konferencje prasowe, zamykanie sklepów, o którym było głośno w mediach. Minęły prawie cztery lata, a dopalaczowy

biznes świetnie się kręci. Nagonka ucichła, więc wydaje się nam, że problem został rozwiązany. Niestety. Ludzie nadal umierają. Nadal kupują. Chcę przyjrzeć się tematowi. Ustalić, jaki jest stan prawny, czy urzędnicy mają związane ręce czy po prostu im się nie chce nic robić w tej sprawie. Chcę pokazać też tragedie rodzin, które są pogrążone w żałobie, bo ich bliscy pozbawili się życia, dlatego że byli „pod wpływem”. Tragedie zwrócą uwagę na problem, a bezczynność rządu podsyci emocje. To się dobrze sprzedaje.

\*

Całe popołudnie Wiktor Braun spędził przy biurku, przeglądając nagromadzone dokumenty. Przez kilka godzin wpatrywał się w protokoły przesłuchań, zdjęcia z miejsc zdarzenia, zdjęcia podejrzanych, wnioski obrońców podejrzanych i znowu zapiski z przesłuchań. Raz na jakiś czas spoglądał przed siebie – na drzwi wejściowe do swojego gabinetu.

Teraz zapragnął relaksu. Odwrócił się w kierunku okna. Miasto tętniło życiem.

– Miła odmiana – skwitował dynamiczny obraz.

Poznań pozdrawiał go zapalonymi latarniami i światłami pojazdów przejeżdżających ulicą Solną. Gdyby na zewnątrz nie było tak zimno, Braun z chęcią wyszedłby na krótki spacer. Przeszedłby się po Starym Mieście i poprzyglądałby się ludziom.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos pukania do drzwi.

– Proszę!

– Wiedziałem, że jeszcze siedzisz. – Naczelnik wydziału Andrzejewski szczerze się ucieszył. – Widziałeś raport z Zakładu Medycyny Sądowej.

– Widziałem.

Opinia Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu jednoznacznie mówiła, że w organizmie zmarłego znajdowały się tak zwane dopalacze. Ich stężenie było znaczne i niebezpieczne dla życia.

– Wywiad z Królem też widziałeś?

– Widziałem.

– I co?

– I nic.

– Nic?

– *Wierzę w prawo. Wierzę w świętość sali sądowej i majestat sprawiedliwości. Wierzę też, że sprawy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają, że niekiedy faktami można manipulować, tak jak magik manipuluje publicznością*[\[4\]](#).

– Znowu Vail? – Koledzy z pracy dobrze znali fascynację Brauna tą postacią i przyzwyczaili się do powtarzanych cytatów z książki. – A co myśli Braun?

– Braun z uwagą przygląda się manipulowaniu faktami. Ojciec, który doszedł w politycznej hierarchii tak wysoko tylko dlatego, że zawsze wie wszystko o wszystkich, udaje niewiniątko. Zaiste syn był aniołem. Szkoda tylko, że zapomniał użyć skrzydeł, gdy zdecydował się na skok z dużej wysokości.

– Udowadnianie faktu, że wiedział o uzależnieniu syna, nie ma większego sensu.

– Dokładnie. Ci młodzi mężczyźni bawili się w zamkniętym gronie. Trzech z nich było w mieszkaniu. Czwarty zdecydował się wyskoczyć, a może tylko zanadto wychylić z balkonu. Sylwester, alkohol, impreza. Bawili się świetnie. Do czasu. Nikt nie był w stanie określić, jak to się stało. Zatrzymaliśmy całe towarzystwo. Rozpytywaliśmy ich i każdego, kto mógł coś widzieć. Nie wniesli do sprawy nic szczególnego. Grzegorz w jednej chwili był na balkonie, a w kolejnej już poza nim. Wszystko, włącznie z sekcją, wskazuje na wypadek albo samobójstwo.

– No właśnie *à propos* sekcji i badań krwi. Tamci też byli pod wpływem dopalaczy?

– W tej chwili nie możemy tego stwierdzić. Tamtego dnia nie budzili żadnych zastrzeżeń, nie byli podejrzani, nie badano ich krwi. Policja odnotowała wyniki dmuchania w balonik i tyle. Chociaż prywatnie nie sądzę, żeby wszyscy byli czyści, a tylko jeden brał.

Sprawa była czysta. Nie dopatrzonego się ani śladów, ani podejrzanych. Prokuratura nie wiedziała o przesłankach, aby w śmierci Grzegorza brały udział osoby trzecie. W trakcie prowadzenia sprawy nie pojawił się żaden nowy trop.

Sprawa nadawała się jedynie do umorzenia. Powodem był „brak danych uzasadniających podejrzenie popełnienia przestępstwa”. Czasami Wiktor Braun nie miał wielkiego pola manewru, ale i tak lubił swoją pracę, a zwłaszcza wszelkie sformułowania kodeksowe, których musiał się trzymać.

\*

Od najmłodszych lat w domu Rogozińskich kakao z pianką było lekiem na wszelkie zło. Na stłuczone kolano, złamaną ekierkę, zepsutą lalkę, niesprawiedliwą ocenę. Biało ubite na sztywno z cukrem zmieniało napój w luksusowy i wysublimowany.

Kiedy Anna opuszczała dom rodzinny, zabrała ze sobą – oprócz toreb wypełnionych ubraniami i garnkami – także ten zwyczaj. Ciemnobrązowy napój pomagał jej się uporać z bólami menstruacyjnymi czy zespołem napięcia, i to nie tylko przedmiesiączkowego. Smak gorącego napoju z dzieciństwa, pitego łąpczywie małymi łykami, był dla niej synonimem spokoju.

Działał na nią również tego wieczoru. Płynu ubywało z kubka, a zmarznięte i spięte mięśnie powoli się rozluźniały. Czarne myśli nabierały kolorów, a żołądek,

który przez większość dnia milczał, dał o sobie znać.

Dzień ułożył jej się tak, że nie zdążyła zjeść obiadu. Zajrzała więc do lodówki, ale oprócz kartonu z mlekiem nie zauważyła nic. Nic poza światłem.

– Światłem to ja się nie najem... – Słyszała o bretarianach, żywiących się tylko energią słoneczną. – Zwłaszcza światłem z żarówki.

Przeanalizowała wszelkie możliwości, włącznie z tą, by się ubrać i wyjść do sklepu, po czym stwierdziła, że prześpi głód.

– Za nic w świecie nie wyjdę dobrowolnie na tę zimnicę. – Termometr za oknem pokazywał już minus osiemnaście stopni.

Dobłą alternatywą dla zakupów wydała jej się gorąca kąpiel. Zaczęła napuszczać wody do wanny, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyła je niechętnie.

– Cześć. Przywitał ją słodki uśmiech Łukasza Zawodnego.

Mężczyzna trzymał w ręku papierową torbę.

– Cześć.

Nie ukrywała zdziwienia. Nie umawiali się na spotkanie. Zapamiętałyby. Przygotowałyby się, a przynajmniej nie witałyby go w różowym dresie.

– Zamawiała pani sushi? – Mężczyzna wydawał się nie zauważać wahania dziennikarki. Przeszedł przez próg i udał się prosto do kuchni.

– Nie.

– Jest pani pewna? – Na kuchennym blacie rozpakował torbę.

Trzy tacki z sushi wniosły do kuchni Rogozińskiej odrobinę życia.

– Hm... Chociaż? – Nie mogła oprzeć się widokowi. Maki, nigiri i... Łukasz. Kuszące połączenie zachęcało do konsumpcji. – Nie wiem. Może?

– W takim razie pani pozwoli, że odświeżę jej pamięć.

Usta Łukasza najpierw dotknęły jej policzka, a później dotarły do ust. Momentalnie zapomniała o tym, że stoi przed nim w śmiesznych kapciach i domowym dresie, nieprzeznaczonym dla oczu innych. Poczuła się boginią. Królową uwolnioną właśnie przez przystojnego królewicza z wieży.

– Prawie zapomniałem, jak smakujesz.

– A widzisz – zażartowała – czyli to z twoją pamięcią jest coś nie tak. Już zapomniałeś? Widzieliśmy się przecież wczoraj.

– Wczoraj, wczoraj. Cóż za banalne słowo. Gdybyś zamiast niego policzyła godziny, minuty, sekundy... poczułabyś ogrom czasu, ból rozstania, tęsknotę i pragnienie kolejnego spotkania.

Anna Rogozińska lubiła Łukasza Zawodnego. Bawiło ją jego poczucie humoru. Czowała się przy nim bezpieczna. Dbał o nią, liczył się z jej zdaniem i zawsze był gotowy jej pomóc. To było coś więcej niż tylko sympatia.

– Tęskniłeś i zapragnąłeś mnie zobaczyć. Rozumiem, że sushi jest łapówką. Bałeś się, że nie wpuszczę cię z pustymi rękoma.

Gospodyni przeniosła sushi, pałeczki, miseczki z sosem sojowym i wasabi do salonu.

Usiedli na kanapie i zaczęli jeść.

– Mmm, przepyszne! – Anka zaczęła od owalnych paluszków przykrytych wędzonym łososiem.

Łukasz pamiętał ciepłe, sierpniowe popołudnie, kiedy po raz pierwszy pojawił się w mieszkaniu Rogozińskiej. Zaprosił ją na kolację. Anna się zgodziła. Przyszedł po nią o umówionej godzinie. Poprawiała jeszcze makijaż. Mieszkanie wyglądało tak obco. W salonie dominował kolor biały: zarówno na ścianach, jak i na meblach. Futurystyczne półki wypełnione były książkami, a z karniszy zwisały czarno-czerwone zasłony.

Nic się nie zmieniło od tamtego czasu. Nic oprócz ich relacji. Z chłodnej znajomości przeszli na wyższy, dużo cieplejszy poziom.

– Jak minął dzień? – Łukasz zjadł kilka kawałków sushi i odłożył pałeczki.

– Totalna porażka. Chcę tylko zjeść, upić się i zapomnieć.

– Tak źle?

– Niestety. Zmarzłam na kość. Cytryna zastrajkowała i nie chciała odpalić. Do pracy dotarłam spóźniona i dostałam wielki opierdół od szefa.

– Za spóźnienie?

– Nie. Za to, że interesuję się nie tym, czym według niego powinnam. Miałeś rację. Król wszystko sobie pięknie zaplanował. Myślę, że nawet uzgodnił strategię z Grabowskim. Dzisiaj raczył poskarżyć się Primo TV, że odwiedziłam go w biurze.

– Byłaś u polityka? Po co? Uważaj, Anno. Grasz z zawodowcami.

– Wiem, wiem. Będę ostrożna, ale na pewno nie odpuszczę. Byłam u tej twojej znajomej w Zakładzie Medycyny Sądowej. – Rogozińska nie lubiła słuchać dobrych rad Łukasza. Sama wiedziała najlepiej, co powinna robić, a na co uważać. Zmieniała temat, by nie zepsuć atmosfery. – Boże, jaka beznadziejna baba.

– Magda?

– No, taka niemiła, że szok!

– Naprawdę? Niemożliwe. Porozmawiam z nią albo może pójdziemy tam kiedyś razem? Magda jest w porządku. Może służbowo jest inna, ale ja nie mam jej nic do zarzucenia. Jest miła, pomocna i zawsze odpowiada na moje pytania.

– Widocznie masz w sobie coś, czego nie mam ja.

Oboje roześmiali się głośno. Łukasz przysunął się do Anki i przytulił ją mocno.

– Mam ciebie.

– A ja ciebie. Uratowałeś mnie. Gdyby nie ty, zasypiałabym z pustym żołądkiem.

– W kontynuowaniu wypowiedzi przeszkodził długi pocałunek. – Jutro spróbuję po raz kolejny porozmawiać z Fabianem Spychalskim.

– Z kim?

- Z Fabianem, kolegą zmarłego Grzegorza Króla.
  - A po co?
  - Byłam u niego, nie chciał ze mną rozmawiać, ale ja nie odpuszczę.
  - Może czasem warto odpuścić? Jeśli wtedy nie chciał rozmawiać, to dlaczego jutro miałyby zmienić zdanie?
  - Nie chciał, bo myślał, że będę go pytać o to tragiczne wydarzenie.
  - Nie nadążam. – Łukasz odsunął się, jakby miał nadzieję, że dzięki bacznej obserwacji jej twarzy będzie mógł więcej zrozumieć. – To o czym chcesz z nim rozmawiać?
  - O dopalaczach. Z nim i resztą paczki. Wiem, że wszyscy lubią odmienne stany świadomości. Chcę wiedzieć, dlaczego ich to bawi. Jak działa, ile kosztuje? Chcę wiedzieć wszystko. Będę miała punkt wyjścia do nowego materiału o substancjach psychoaktywnych. I muszę zacząć od Fabiana, żeby ustalić nazwisko Bartka i tego czwartego.
  - Mówiłaś, że polityk i szef są w kontakcie... a ta sprawa prowadzi przecież do Króla.
  - Spoko, z politykiem nie zamierzam rozmawiać. To nie będzie prowadziło do niego. To ma być zwyczajna rozmowa. Faceci bez twarzy. Wykształceni młodzi ludzie świadomie pakujący się w gówno. A fakt, że jest to pośrednio związane ze zgonem syna jednego z czołowych polityków... – wzruszyła ramionami – tylko podniesie nam oglądalność.
  - Dlaczego ci faceci mieliby z tobą rozmawiać? Nie łatwiej znaleźć jakichś ćpunów?
  - Chcę ich. Są dobrze wykształceni, pochodzą z bogatych rodzin. Oczywiście, znajdę też kogoś z marginesu, by skonstrastować bohaterów. Ale wiesz, oni będą chcieli rozmawiać ze mną... bo każdy o tym marzy.
  - Ta, porozmawiać z Anną Rogozińską. – Łukasz podchwycił żart. – Cel sam w sobie. Marzy o tym każdy facet, nawet jeśli JESZCZE o tym nie wie.
  - Właśnie.
  - Mogę cię rozczarować? – szepnął do jej ucha.
  - Tak?
  - Ja marzę o czymś zupełnie innym... z Anną Rogozińską.
- 

[4] Tamże, s. 9.



## ROZDZIAŁ 7

28 dni do walentynek

– Sobota, siedemnasty dzień stycznia. Witam was w kolejny mroźny poranek. Pamiętajcie o czapkach, szalach i rękawiczkach. W ciągu dnia będzie trochę ciepłej. Prognoza mówi o temperaturze między piętnastoma a dwunastoma stopniami. Niestety na minusie. Nie dajcie się też zaskoczyć silnym opadom śniegu. W Poznaniu jeszcze nie pada śnieg, ale po południu będzie już biało w całej Wielkopolsce. Tak więc, jeśli nie musicie, lepiej nie wychodźcie z domów. Zachęcamy do spędzenia całego dnia z nami.

Prowadzący poranną audycję radiową zaserwował rozgrzewającą kawiarnianą muzykę. Taką, co plumka gdzieś w tle, wypełnia ciszę, ale nie wnosi nic ciekawego.

Każdego ranka Ksawery Król czerpał energię z eteru. Nieprzytomny, opuszczał łóżko, kierował się do toalety, a później szedł prosto do radioodbiornika. Włączał go głośno i czuł, że powoli wracają funkcje życiowe jego organizmu. Oddychał szybciej i poruszał ręką w rytmie muzyki.

Dziś Król ściszył radio. Nie chciał obudzić żony. Miał ochotę na śniadanie tylko w swoim towarzystwie. W ciszy. Z ulubionymi gadżetami w ręku. Bez uwag żony i jej zbolalej miny.

Z ekspresu do filiżanki wydostały się właśnie ostatnie krople kawy. Zabrał filiżankę i sięgnął do piekarnika, aby wyjąć gorące francuskie rogałe.

Filiżanka, talerzyk z pieczywem i słoik z dżemem morelowym wylądowały na kuchennej wyspie. Mężczyzna usiadł na hokerze, posmarował rogała dżemem i zaczął przeglądać na tablecie najświeższe informacje z kraju i ze świata.

Polityka. Sport. Biznes. Znowu polityka, by wiedzieć, co dzieje się u konkurencji oraz co z szeregów jego partii przenika do mediów.

Przejrzał interesujące go działy i już miał zajrzeć na opiniotwórczego bloga, ale usłyszał nieśmiałe pukanie do drzwi.

Nie musiał wyglądać przez wizjer, żeby ustalić, kto może stać na wycieraczce. Zaufany asystent Fryderyk był mistrzem służalczości. Potrafił nawet służalczo pukać.

Król otworzył drzwi i – jakby nie zauważając gościa – odszedł od nich i wrócił do kuchni i jeszcze ciepłego rogała.

– Przepraszam pana najmocniej. – Fryderyk pobiegł za nim. – Przepraszam, że przeszkadzam podczas konsumowania śniadania. Udało mi się ustalić odpowiedź na pana pytanie.

– W końcu! – Król nie patrzył na asystenta, udawał że z zainteresowaniem przegląda zawartość wyświetlaną na tablecie.

Na początku współpracy z tym młodym człowiekiem zauważył, że im bardziej jest dla niego niemiły, tym większą dawkę służalczości otrzymuje. Było mu to na

rękę. Lubił, gdy ludzie doceniali jego pozycję. Gdy bez wazeliny... starali się zasłużyć na najmniejszą oznakę sympatii z jego strony.

– Tak, tak. Ja wiem. Proszę mnie zbesztać. Tyle to trwało, bo to była bardzo delikatna sprawa. Staralem się ustalić fakty tak, by nikt nie skojarzył pytania z pańską osobą.

– Dobra, dobra, kawa mi stygnie. Co ustaliłeś?

– Jest tak, jak podejrzewaliśmy.

Król w końcu spojrzał na twarz Fryderyka, zarumienioną od mrozu.

– To znaczy?

– To on.

– Chcę to usłyszeć.

– To Fabian Spychalski.

– Świetnie.

– Spychalski nie żyje.

– I o to chodziło. Oko za oko. Ząb za ząb.

\*

Tak jak zapowiadano, śnieg zaczął prószyć. Co prawda, synoptykom nie udało się precyzyjnie określić godziny opadów, ale tym nikt się nie przejmował. Od kilku tygodni sprawdzalność prognoz pogody była zaskakująco niska. Społeczeństwo przyzwyczało się, że prognoza jest jak trend mody. Określa pewne ramy, w zakresie których wszystko jest możliwe.

Anna Rogozińska zjechała ze „starej piątki”, jak nazwano była krajową drogę numer pięć prowadzącą z Wrocławia do Bydgoszczy. Po wybudowaniu drogi ekspresowej, zgodnie z przepisami „stara piątka” przestała być drogą krajową i przeszła pod opiekę gmin, co zimą było widać i czuć.

Lód skuwający asfalt przykrywany na bieżąco śniegiem sprawił, że samochód tańczył na podrzędnej drodze jak rozochocony i przestarzały celebryta w telewizyjnym show.

Po chwili Rogozińska odzyskała panowanie nad autem, ale mimo wszystko zredukowała bieg i zwolniła. Nie zamierzała powtórzyć tanecznych figur. Jechała tak wolno, że przeciętny maratończyk mógłby ją wyprzedzić bez pomocy koni mechanicznych.

– Moi drodzy, pierwsze tygodnie nowego roku są już za nami. Jakie macie wrażenia? Czy ten rok będzie najlepszym w waszym życiu, czy tęsknicie za poprzednim? – Spiker radiowy próbował zachęcić słuchaczy do rozmowy. – Zapraszam, dzwońcie do nas i podzielcie się swoimi odczuciami. Pochwalcie się sukcesami! Dlaczego zachęcam was do chwalenia się właśnie dzisiaj? – W tle

rozbrzmiewał utwór *Blue* włoskiego zespołu Eiffel 65. – Otóż, w najbliższy poniedziałek musimy zmierzyć się z najbardziej depresyjnym dniem roku. Tak, tak, kochani. Termin *Blue Monday*, czyli smutny, przygnębiający poniedziałek, wprowadził pewien brytyjski psycholog. Data najbardziej depresyjnego dnia w roku została obliczona, tak, tak, obliczona... za pomocą wzoru matematycznego. *Blue Monday* to krótki dzień, w którym uświadamiamy sobie, że z górnolotnych noworocznych postanowień niewiele jesteśmy w stanie zrealizować, słońca jest jak na lekarstwo, a na dodatek karty kredytowe pochłonęły całą styczniową pensję. Zanim więc nas wszystkich ogarnie poniedziałkowa depresja, opowiedzcie mi o swoich sukcesach!

Głos prowadzącego program zamilkł i w końcu można było wysłuchać opowieści o niebieskim świecie. *I'm Blue, da be dee da ba die da...*

– Wywiad to sukces. – Anka myślała na głos.

Kilka miesięcy wcześniej udało jej się przeprowadzić pierwszy wywiad na żywo. Pierwszy z wyjątkowym rozmówcą. Pierwszy emitowany w najlepszym czasie antenowym. Pierwszy, który na całą Polskę rozpowszechnił jej nazwisko i odbił się szerokim echem.

– Śmierć ojca... porażka.

Mniej więcej w tym samym czasie jej tata, Stanisław, umarł na zawał serca<sup>[5]</sup>. Łączyła ją z nim specyficzna więź. Wymagał od niej bardzo dużo. Boczył się przez lata, bo zamiast studiów prawniczych wybrała dziennikarskie. Kochał ją na swój sposób i ona jego też.

– Awans... sukces.

Propozycja awansu, czyli poprowadzenia własnego programu emitowanego w stacji córce, oraz perspektywa zastąpienia produktem „*made by Anna Rogozińska*” popularnego programu podróżniczego w niedzielnej ramówce Primo TV były niewątpliwie efektem ciężkiej pracy dziennikarki.

– Obecna sytuacja w pracy... totalna porażka.

Kamil Grabowski miał za złe pracownicy to, że rozważała propozycję awansu do stolicy, bo to znaczyło, że zbliża się dzień, w którym na dobre opuści poznański oddział Primo TV.

– Zawsze jest coś za coś.

To stwierdzenie miało być podsumowaniem wcześniejszych wywodów, a także jej związku z Łukaszem, który był jednocześnie sukcesem i porażką.

Z jednej strony zyskała poczucie bezpieczeństwa, dużo miłości i dobry seks. Z drugiej strony obarczona została (albo sama się obarczyła, bo starała się być lojalna) odpowiedzialnością za drugiego człowieka, koniecznością tłumaczenia swojej nieobecności, złego humoru czy złości.

– I jeszcze ta powściągliwość seksualna!

Ona była przyczyną frustracji silnie związanej z funkcjonowaniem w stałym związku. Rogozińska umiała oddzielać seks od miłości. W tym temacie niewiele różniła się od przeciętnego mężczyzny. Nie widziała nic złego w skonsumowaniu od czasu do czasu „czegoś” na mieście, mimo że jednocześnie miała zapewnione stałe „wyżywienie” w domu.

Od kilku tygodni męczyły ją myśli dotyczące romansu z Zielińskim. Może gdyby nie była taka lojalna wobec Łukasza i nie zerwała niezobowiązującej relacji z szefem z Warszawy, nie musiałaby tak długo czekać na awans?

– Cholera!

Była tak zajęta zastanawianiem się nad swoim życiem, że nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się przed domem rodzinnym.

Włączyła kierunkowskaz, żeby zaparkować na poboczu, ale nie mogła znaleźć miejsca. Wszędzie zalegały wysokie grudy ciemnoszarego śniegu, zgarniętego przez przejeżdżające pług. Zajmowały pobocza i utrudniały wjazd na okoliczne posesje.

\*

– Jesteś w końcu! – Gdy Renata Rogozińska zobaczyła córkę na progu domu, nie posiadała się z radości.

– No cześć, co to za powitanie? O mało co nie utknęłam w zaspach śniegu. Samochód zostawiłam prawie na środku ulicy. Ścieżka do domu też jest nieodśnieżana. Chora jesteś?

– Co? Nie. Otrzep się z tego śniegu i wchodź. Zmarzniesz.

Kobiety z rodziny Rogozińskich radość ze spotkania okazywały w specyficzny sposób. Nadmierna troska zastępowała matczyne uściski i całusy w policzek.

Córka pozbyła się wierzchniej warstwy ubioru i weszła do holu. Dom pachniał rodzinną sobotą. Esencją kwiatów zawartą w ulubionym płynie do mycia podłogi. Wonią starego odkurzacza. Aromatem zupy pomidorowej bulgoczącej w garnku.

Anka opuściła dom rodzinny wiele lat temu, ale zapach momentalnie przypomniał jej o młodości, o cosobotnim zamieszaniu, kłótni, kto będzie odkurzał, a kto – mył podłogi, i o nieśmiertelnej zupie pomidorowej.

– Pięknie pachnie. – Anna uniosła pokrywkę i rozkoszowała się zapachem zupy.

– Pomidorówka. Za pół godziny powinna być gotowa. Nosisz rajstopy pod spodniami?

– Mamo!

– Jestem matką, mogę się martwić.

– A ja jestem na tyle stara, żeby to, co noszę pod spodniami, było tylko moją sprawą.

– Gdyby ojciec żył, toby ci powiedział, co myśli na temat twojej dorosłości!

Z takim argumentem Anna nie chciała dyskutować. Stanisław Rogoziński odszedł nagle. Zawał serca zaskoczył go przed telewizorem. Trafił do szpitala i przez chwilę jeszcze chciał żyć. Ania zdążyła z nim porozmawiać. Usłyszeć, że ją kocha. Zostawić na szpitalnej szafce pomarańcze i obiecać, że odwiedzi go jutro.

Jutro jednak okazało się bezwzględne. Nadeszło i kobietom z klanu Rogozińskich odebrało wymagającego, ale i kochającego mężczyznę.

Renata zniosła to z ogromnym trudem. Ponad dwanaście tysięcy dni swojego życia spędziła ze Stanisławem... Teraz każdego ranka zmagala się z przytłaczającą rzeczywistością i dołującą samotnością.

– Uwielbiam twoją pomidorówkę! – Córka przytuliła matkę.

Przez chwilę bez słowa krzątały się po kuchni. Trudno było znaleźć słowa, które nie sprawiałyby bólu. Ania przygotowała herbatę, a Renata – talerzyk słodkości.

– Chodź, wypijemy w salonie.

Propozycja Renaty przypadła córce do gustu. Kobiety nie widziały się od dwóch tygodni. W końcu mogły rozsiąść się wygodnie w salonie i nadrobić zaległości.

– Mogę wyłączyć? – Anka wskazała na zbyt głośny telewizor. Na ekranie podrzędna aktorka przekonywała właśnie o skuteczności leku na grype.

– Nie! – matka zaprotestowała głośno. – Oglądam.

– Reklamy możesz oglądać sobie, kiedy wyjadę.

– Zaraz się skończą. Oglądam mój serial.

– Twój serial?

Renata zawsze miała jakiś serial. *Niewolnica Isaura. Kobieta za ladą. Esmeralda. W labiryncie. Ptaki ciernistych krzewów. Dynastia. Północ-Południe.*

– W tygodniu nie mam czasu oglądać. Koliduje mi z innym serialem. Na szczęście w sobotę powtarzają pięć odcinków z tygodnia, więc siedzę i oglądam.

– Mamuś, jak sobie radzisz? Może ci pomogę? Zrobię zakupy, odśnieżę ścieżkę i podjazd?

– Siedzę w czterech ścianach. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Nie używam samochodu. Zimą jeździł tylko ojciec. Zapasy mam zrobione, wystarczy jeszcze na trzy tygodnie. Potem możemy razem pojechać na zakupy.

– Pyszne ciasteczka.

– Córku, śniadanie w ogóle jadłaś?

– Jadłam.

– To dobrze. Powiedz lepiej: co u ciebie?

Pytanie zostało wystrzelone w eter dokładnie w momencie, w którym zakończył się blok reklamowy.

– U mnie? W sumie dużo się dzieje. Trochę za wcześnie, by mówić o szczegółach...

– Będzie ślub. – Oznajmiła matka, wpatrując się w ekran.

Przez chwilę Anka myślała, że matka jej nie słucha, ale wstawka ze ślubem musiała oznaczać podzielność uwagi. Renata obserwowała serialowe perypetie, ale to nie przeszkodziło wychwycić jej sytuacji, w której może zapytać o ślub. Wesele. Małżeństwo. Renata o tym marzyła. Nie dla siebie. Dla córki. Marzenia matki zyskały na intensywności, kiedy na horyzoncie pojawił się przystojny Łukasz Zawodny.

– Nie, nie o ślub chodzi. – Anka machnęła ręką. – O ważniejsze rzeczy. Byłam w Warszawie, wiesz? W siedzibie Primo TV. Przedstawiono mi bardzo ciekawą propozycję awansu. Obiecującą, perspektywiczną, ale wiele by się zmieniło w moim życiu. Nie wiem jeszcze, jaką decyzję podjąć, ale...

– Cicho!

Anka spojrzała na zegarek. Przekroczyła próg domu dokładnie piętnaście minut temu. Kwadrans wystarczył matce na stratę zainteresowania gościem i powrót do jej zamkniętego świata. Euforia związana z przyjazdem córki minęła, Renata mogła więc spokojnie zatopić się w telewizyjnym, nieistniejącym świecie.

Anna zamilkła. Straciła ochotę na wszelkie rozmowy. Trudno zwierzać się ze swoich obaw rodzicielce, która bardziej przejmuje się problemami fikcyjnych postaci niż własnej córki.

– Oglądasz to? – Matka odezwała się ponownie dopiero podczas kolejnej przerwy reklamowej.

– Nie.

– To musisz koniecznie zacząć. Rewelacyjny serial.

[5] Poprzednie śledztwo Anny Rogozińskiej związane z tym wydarzeniem toczyło się w pierwszej części pt. *Słodkich snów, Anno*.

## ROZDZIAŁ 8

### 27 dni do walentynek

W mieszkaniu Magdy Krajewskiej Mario zawsze pojawiał się bez zapowiedzi.

– Organizm uodparnia się na bodźce. Kiedyś nawet taki głupi Antek dawał mi superbanie. – Jego zużyta twarz podrygiwała rytmicznie na fotelu.

Kiedyś oboje studiowali farmację. Magda – na Uniwersytecie Medycznym, gdzie przyswajała sobie wiedzę teoretyczną, chodziła na wykłady, brała udział w ćwiczeniach, zdawała kolejne kolokwia.

Mario oblał egzaminy już na pierwszym roku, ale postanowił kontynuować naukę. Pomagał w aptece prowadzonej przez matkę i zdobywał praktyczną wiedzę dotyczącą mechanizmów działania poszczególnych leków na organizm. Pożerał wzrokiem mądre książki i połykał niezliczone ilości związków chemicznych. Niczym badacz skrupulatnie zapisywał w zeszytach efekty eksperymentów, dzięki czemu po kilku latach wiedział już, co z czym powinno się łączyć, by uzyskać określony stan świadomości i zminimalizować efekty uboczne.

– Antek? Nie myślałeś o wątrobie i nerkach?

– Przecież wiesz, że dbam o siebie. Nie przyjąłby Antka bez ekstrakcji.

– Aha.

Podczas ich spotkań Magda nie mówiła zbyt wiele. To on przychodził do niej się wygadać. Kiedy cierpiał na braki energii, w ogóle nie wychodził z domu. Gdy energia go rozpierała, nie miał ze sobą co zrobić, więc szukał słuchaczy. Magda była idealna. Akceptowała go, była daleka od oceniania, budziła zaufanie i przede wszystkim rozumiała to, co do niej mówił.

– Ekstrakcja to była przyjemność. Jak czekanie na deser. Wiem, że nie każdy człowiek potrafi czekać. Ja potrafię. Wstępna obróbka trwała długo. Roztwór kapał, jakby chciał, a nie mógł. Ja siedziałem i liczyłem krople. Wszystkie były dla mnie. Świadomość, że niedługo będę pił płyn o działaniu, które kocham... Co ci będę tłumaczyć? Wiesz, o co chodzi, no nie? W końcu na chusteczkowym filtrze zostawała jedynie gruba warstwa białej wilgotnej masy. Pieprzony paracetamol. Wyciskałem filtr energicznie, by nie zmarnować resztek kodeiny. Pamiętam jej cudny gorzki smak. Koda była moją kochanką.

– Kochanki, proszę cię, się nie zdradza.

– Madziu, przecież wiesz, że zawsze byłem poliamoryczny. *Know your Body. Know your Substance. Know your Mind. Know your Source.*

\*

Anka spojrzała na zegarek. Tkwiła w rodzinnym domu od dwudziestu czterech

godzin i miała wszystkiego serdecznie dość. Najchętniej poderwałaby się z miejsca i uciekła. Najdalej, jak się da. Niestety, siedziała przy matce i obserwowała na bieżąco, jak samotność zabija w rodzicielce człowieka.

Renata, kiedyś kobieta radosna i opiekuńcza, po stracie małżonka nagle zaczęła się starzeć z prędkością światła. W ciągu kilku miesięcy z kobiety w średnim wieku zmieniała się w staruszkę. Wszystko ją bolało. Wszystko denerwowało. Na nic nie miała siły. Nic nie miało dla niej sensu. Tylko wspomnienia przynosiły chwilowe wytchnienie. Później następowały ataki pretensji, z których większość skierowana była do Anki.

– Siedzę tu ciągle sama. Wcale nie chce ci się tu przyjeżdżać.

– Przecież przyjechałam. – Anka zaprotestowała, mimo że matka dokładnie zdiagnozowała przyczynę rzadkich wizyt. Przyjeżdżała do Lednogóry z poczucia obowiązku, a nie po to, by mile spędzać czas. Byłoby to trudne ze względu na wieczne narzekania i pretensje.

– Ale dzisiaj wyjedziesz!

– Bo jutro idę do pracy.

– No właśnie! Ty masz swoje życie, a ja?

Po raz kolejny tego dnia zapadła cisza. Całkowity brak dźwięków, które mogłyby stanowić substytut niepotrzebnych odpowiedzi.

– Wiesz co, Aniu?

– Co?

– Dobijają mnie ten wielki dom i ogród. Prawie dwieście metrów do sprzątnia, kolejne siedemset do odśnieżania, koszenia... to nie dla mnie. Myślałam nad tym długo i chyba podjęłam decyzję.

– Decyzję?

– Tak. Chcę to wszystko sprzedać w cholerę!

– Sprzedać? – Anka nie wierzyła własnym uszom.

– To Staś marzył o domu, ja nie chciałam opuszczać miasta. Teraz nie ma twojego ojca. Czemu mam się męczyć? Sprzedam to i wrócę do Poznania.

Anka nie wiedziała, co ma myśleć. Sprzedać ogród ojca? Pozbyć się jego gabinetu? Kilkunastu miejsc, w których wspólnie spędzali czas? Czy można wycenić takie wspomnienia i sprzedać je wraz z pakietem cegieł, dachówek i okien?

– Mam do ciebie prośbę. Zorientuj się, czy w twoim bloku nikt nie sprzedaje mieszkania. Chcę zamieszkać blisko ciebie!

\*

Przestrzeń centrum handlowego przepełniona była czerwienią. Nie była to jednak barwa zdecydowana i krwista, lecz ciepła i przyjemna. Pochodziła od setek



papierowych serc zwisających z sufitu.

Zbliżały się walentynki. Święto krytykowane przez samotnych i nieszczęśliwych, obojętne uczuciowo dla wypalonych emocjonalnie, a ubóstwiane przez zakochanych.

Łukasz zamierzał sprawić, żeby Anka zapamiętała ich pierwsze wspólne walentynki do końca życia. Nie chciał poprzestać na zwyczajowej kartce z wyznaniem miłosnym.

Wybrał się na zakupy w poszukiwaniu odpowiedniego prezentu. Obejrzał już setki poduszek, lizaków, bombonierek, maskotek. Wszystkie były albo czerwone, albo w kształcie serca. Nie czuł się jednak usatysfakcjonowany. Zagubiony, dotarł do sklepu z bielizną i poczuł się nieswojo.

Na pierwszy rzut oka ocenił, że kilkadziesiąt biustonoszy rozlokowanych na wieszakach różniło się jedynie kolorem. Część z nich była biała, część – czarna, część – fioletowa.

Po co więc wywieszać je wszystkie? Łukasz to pytanie skierował w myślach do siebie. Obie ekspedientki zajęte były obsługą klientów. Jedna podążała za elegancką kobietą i zdejmowała z wieszaków kolejne biustonosze. Druga z uśmiechem starej i wrednej nauczycielki odpytywała biznesmena w szarym płaszczu:

- Ma pan na myśli jakiś konkretny model?
- Najlepiej, żeby był seksowny.
- Koronka czy może druga skóra? Z fiszbinami, push up czy usztywniany?
- Nie wiem.
- To może zacznijmy od koloru. Czarny, écru, pudrowy róż czy fiolet?
- Czarny.
- A jaki rozmiar nosi wybranka?
- Mniej więcej taki jak pani.

Łukasz pokręcił się chwilę po sklepie, po czym skierował się do wyjścia. Uznał, że bielizna nie będzie dobrym prezentem na walentynki. Wybór był ogromny, a Zawodny nie miał wystarczającej wiedzy na temat preferencji oraz rozmiaru Anki Rogozińskiej.

Kiedy opuszczał sklep, usłyszał jeszcze, jak ekspedientka częstuje biznesmena kolejną serią pytań:

– To może łatwiej będzie nam dobrać jakieś majtki? Proszę spojrzeć na fasony: figi, biodrówki, szorty, stringi. Który byłby odpowiedniejszy?

\*

– Łukasz Zawodny? Nie wierzę!

Głos Magdaleny Krajewskiej wytrącił Łukasza z zakupowego odrętwienia. Stał właśnie przed wystawą perfumerii, zastanawiając się, czy romantyczny zapach

zamknięty w ozdobnym flakonie będzie odpowiednim wyrazem jego miłości do Anki.

– Magda?

– No cześć! – Kobieta cmoknęła go w policzek.

– Cześć.

– Co ty taki zdziwiony jesteś? Myślałeś, że mieszkam w Zakładzie Medycyny Sądowej?

– Nie, po prostu... – Łukasz zrezygnował z tłumaczenia. – Miło cię widzieć. Co u ciebie?

– Śpieszysz się?

– Właściwie nie.

– To chodź na kawę. Daleko nie mamy. – Krajewska z uśmiechem wskazała na kawiarnię znajdującą się trzy metry przed nimi. – Nie będę opowiadać, proszę cię, wszystkiego na stojąco.

Ruszyła przed siebie, nie czekając na jego reakcję. Zajęła stolik, zamówiła kawę i deser lodowy, po czym bardzo dokładnie odpowiedziała na jego pytanie.

Słuchaj jej najpierw uważnie, później już trochę mniej. Na kilka chwil wyłączył świadomość i jedynie potakiwał głową. Magda opowiadała o pracy, swoich kotach i przyjaciółce, która wychodziła za mąż.

Gdy w końcu skończyła, Łukasz dopił resztę kawy i odłożył swoją filiżankę na spodek.

– No to się dzieje! – skwitował.

– A dzieje się, proszę cię. Dzieje. Dawno się nie widzieliśmy.

Relacja Łukasza z Magdą ewoluowała. Poznali się w pracy. Ona kiedyś zadzwoniła do niego późnym popołudniem, żeby poprosić o pomoc w przeprowadzce. On nie odmówił i tak ich służbowa relacja zmieniła się w koleżeństwo. W pakiecie podziękowań za pomoc otrzymał kawę, czarujący uśmiech i dozgonną wdzięczność.

– Rzeczywiście dawno. Nie miałem jeszcze okazji przedstawić ci mojej Anki.

– Masz dziewczynę?

– Tak. Anka Rogozińska, podobno była u ciebie w pracy. Właściwie jest już prawie narzeczoną.

– Prawie? – Zachichotała. – Czyli mogę mieć, proszę cię, jeszcze nadzieję?

– Źle mi życzysz? – odpowiedział żartem na żart.

– Oj tam, od razu „źle”.

– Anka jest dziennikarką w Primo TV. Miałabyś coś przeciwko, żeby z nią porozmawiać? Robi teraz materiał o dopalaczach i potrzebowałaby eksperta. Od razu pomyślałem o tobie. Jesteś najlepsza w całym Poznaniu. Wiesz, Anka jest w porządku. Dogadacie się. Ona ceni sobie anonimowe źródła. Jej programy są popularne.

– Popularne? Rozumiem, że chcesz ze mnie zrobić, proszę cię, gwiazdkę na

medialnym niebie.

– A co, uważasz, że się nie nadajesz? Masz ładną buzię i taki zasób wiedzy, że ho, ho.

– Dobra, przekonałeś mnie. Ty i temat dopalaczy. Gdyby ta laska jednak nie chciała zostać twoją narzeczoną, daj mi znać.

– A co? Będziesz chciała ją zastąpić?

– Podpowiem ci wtedy, jak się na niej zemścić za pomocą dopalaczy.

\*

Anka po raz kolejny odczytywała SMS-a od Łukasza: *Widzimy się dzisiaj? Kiedy wracasz do Poznania?*

Trudno było odmówić Łukaszowi wycucia. Wiadomość tekstowa przyszła dokładnie w chwili, gdy Anna dotarła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.

Rozpakowała torbę, wykąpała się, przygotowała sobie kubek kakao z pianką i usiadła przy laptopie.

Wokół niej w końcu zapanowała cisza. Zero seriali. Zero matczynego narzekania. Zero wyrzutów czy rewolucyjnych pomysłów. Mogła pomyśleć o swoich sprawach, poczuć siebie i bezpieczną przestrzeń.

– Jutro!

W końcu do głowy wpadła jej idealna odpowiedź na pytanie mężczyzny.

*Jutro. Zadzwoń rano, to się umówimy. Całuję.*

Gdyby odpisała, że już wróciła, Łukasz wpadłby do niej, wiedziony tęsknotą. Nie miała ochoty na randkę. Na obecność drugiego człowieka.

Wzięła kolejny łyk kakao i wróciła do pracy z laptopem.

Zdecydowanie i metodycznie przeszukiwała światowe zasoby wiedzy, by podszkolić się w temacie tak zwanych dopalaczy.

Litery wyświetlane na ekranie układały się w zdania, a zdania – w artykuły, których treść bywała przerażająca. Same tytuły krzyczały złowieszczo: *Niebezpieczna luka w polskim prawie. Dopalacze mogą cię wypalić. Naukowcy przestrzegają przed dopalaczami.*

Przez ponad godzinę czytała wszystko, co znalazła, i usiłowała się nie pogubić w natłoku informacji. Niejednokrotnie, kiedy czytała opis jednej substancji, musiała sprawdzać znaczenie jej poszczególnych składników. Nigdy nie była dobra z chemii i biologii. W końcu przyniosła notes, by przygotować zarys tekstu będącego częścią materiału o dopalaczach, nad którym pracowała.

*Każdy, nawet najbardziej toksyczny związek, jaki są w stanie stworzyć chemicy – o ile nie zostanie wciągnięty na listę substancji zakazanych – może być sprzedawany pod pewnymi warunkami. Z takiej właśnie luki prawnej korzystają ci, którzy sprzedają*

dopalacze. „Dopalacze” to potoczna, przyjemna, marketingowa nazwa różnego rodzaju produktów zawierających substancje psychoaktywne. Popalać sobie nie jest przecież niczym złym. Dopalić od czasu do czasu – też. Dopalacze wydają się niegroźną odmianą Red Bulla.

Tymczasem skupmy się przez chwilę na pojęciu substancji psychoaktywnych. To taki związek, który oddziałuje na ośrodkowy układ nerwowy – bezpośrednio wpływ na funkcje mózgu. Najpopularniejsze substancje psychoaktywne dzieli się na neuroleptyki, stymulanty, depresanty i psychodeliki. Nie brzmi to już tak przyjemnie i kolorowo, prawda?

Czym zatem różnią się dopalacze od narkotyków?

Anna pochłaniała kolejne opracowania, artykuły i zawartość stron internetowych. W międzyczasie w kubku z kakao ukazało się dno.

Nie trzeba było wykazać się dużą inteligencją, by ustalić odpowiedź na zanotowane pytanie.

– Dopalacze różnią się od zwykłych narkotyków tym, że można kupić je w sklepie – odpowiedziałby jej bystry gimnazjalista.

– Albo w necie – wtórowałby mu bardziej nieśmiały kolega.

Już słyszała w głowie odpowiedzi młodzieży i dorosłych. Widziała ich twarze i miny. Musiała zdobyć kilkanaście takich wypowiedzi, by w programie użyć kilku, tych najbardziej szokujących.

– Dopalacze są naturalne. Nie mają żadnej chemii. Od tysięcy lat używa się określonych roślin i mieszanek ziół, by świadomość człowieka mogła obcować z takim czy innym bogiem.

Rogozińska była przekonana, że o bezpieczeństwie i naturalności środków tego typu będą przekonywać ją najmłodszy ankietowani, czyli uczniowie szkół podstawowych i gimnazjalnych. Najłatwiejsze ofiary marketingowej papki serwowanej przez handlarzy substancjami psychoaktywnymi. W ofercie sklepów internetowych zachęcających do kupna dopalaczy (wraz z dostawą do domu) widniał wyraźny podział na produkty zielone i białe.

Domyślała się, że kolor zielony informował o substancjach ziołowych – rzekomo w stu procentach naturalnych i bezpiecznych. Zielona herbata, zielona kawa, zielona szkoła, ekologia, natura, lekkość.

– Przeróżające!

Im głębiej wchodziła w temat, tym bardziej łapała się za głowę.

W końcu trafiła na stronę przeznaczoną dla młodzieży będącą częścią akcji informacyjno-edukacyjnej Krajowego Biura do spraw Przeciwdziałania Narkomanii<sup>[6]</sup>. Zatrzymała się na zakładce „Mity i prawda o dopalaczach”.

Oderwała się od lektury dopiero kilka minut przed północą. Zapisała na kartce dane kontaktowe biura – z myślą, że z samego rana ustali, kto zajmuje się tam

dopalaczami. O szczegóły dopyta zaś specjalistę.

---

[6] [www.dopalaczeinfo.pl](http://www.dopalaczeinfo.pl)

## ROZDZIAŁ 9

26 dni do walentynek

– Co masz?

Magdalena Krajewska, zajęta ekstrakcją ziela z torebki opatrzonej napisem „Tajfun”, nie usłyszała pytania kolegi. Siedziała, wpatrzona w wagę.

– Co masz? – powtórzył dużo głośniejsze.

– Aaa, Benek, to ty? Nie słyszałam, jak wszedłeś.

Obducent Zbigniew Matłoka stał w wejściu i obserwował, jak Magda w transie kręci się po swoim trójkątnym królestwie. Pokój, w którym urzędowała, miał tylko trzy kąty.

– Nie dziwię się. Hałas u ciebie, jak zwykle zresztą.

– To są bardzo ciche maszyny, proszę ciebie, zawsze mogłoby być gorzej.

Na blatach stała kolekcja specjalistycznych urządzeń – nieodzwonne wyposażenie pracowni analizy chemicznej związków toksycznych i dopingowych. Niezbędne, bardzo wartościowe i stanowiące dumę Zakładu Medycyny Sądowej.

– To samo powtarzam moim klientom – zażartował. – Jak wyglądasz z czasem? Bo mam zlecenie.

– Jak zwykle: kiepsko. Na gwałt muszę zrobić ekstrakcję tego, co mam na stole – wskazała na torebkę z suszem – i ustalić, czy znajdę to samo w krwi denata.

– Czyli masz na tapecie tego trzydziestolatka z cechami śmierci nagłej spowodowanej obecnością płynnej krwi w sercu?

– Właśnie. Wypijesz szybką kawę?

– Szybką? Niech będzie.

Magdalena odstawiła próbkę. Z szafki wyjęła dwie filiżanki, wsypała do nich po łyżeczce kawy i wyszła do pomieszczenia obok, by uzupełnić je gorącą wodą.

Gdy wróciła do pokoju, Benek przyglądał się próbówce, której zawartość przypominała jeszcze niezaparzoną herbatę.

– Zakładam, że to nie jest do picia. – Wskazał na zielonkawę fusy i ciecz wypełniającą próbkę.

– Nie wiem, czy gustujesz w takich klimatach. Przypuszczam, że smak rozpuszczalnika byłby przykry dla twoich kubków smakowych. – Podała mu filiżankę. – Wypij lepiej to. Najprostszy i najsmaczniejszy ekstrakt. Substancje smakowe zawarte w zmielonych ziarnach kawy dyfundowały właśnie z ziaren do wody.

– Dziękuję.

– Efektywność ekstrakcji zależy od rodzaju zastosowanego rozpuszczalnika, temperatury i technik postępowania.

– Mówisz nadal o kawie czy już o swojej chemii? – Benek wpatrywał się w nią

bezmyślnie, bo nie bardzo rozumiał sens wypowiedzi. Uśmiech koleżanki i kawa sprawiły, że zapomniał, po co przyszedł.

– Nieważne. Wyizoluję substancję aktywną i będę wiedziała, czego szukać w krwi denata. – Magdalena odstawiła filiżankę i wróciła do pracy.

– Myślisz, że czym nasączyli to zielsko?

Wzruszyła ramionami.

– Okaze się. Stawiam na najpopularniejsze substancje. Kannabinoidy. Pewnie tetrahydrokannabinol, czyli izomer kannabidiolu. Albo [1-(5-fluoropentylo)-1H-indol-3-ilo](naftalen-1-ylo)metanon, czyli tzw. AM-2201.

\*

W poznańskim oddziale Primo TV panował względny spokój. Grabowski siedział zamknięty w swoim gabinecie, sekretarka stukała w klawiaturę, wpatrując się w ekran komputera.

– Mój sąsiad gwałciciel. Sprawa pilna. Przekupiony urzędnik. Nielegalny budynek. Oszustwa podatkowe. – Anna, popijając herbatę, robiła porządek w skrzynce e-mailowej. Przed usunięciem niechcianych wiadomości odczytywała Arturowi najlepsze tytuły. – Bite dzieci proszą o pomoc.

– Czego chcesz? Stałaś się znaną dziennikarką interwencyjną.

– I dlatego ludzie myślą, że zajmę się każdym gównem?

– Od razu gównem – trafnie skwitował Lipiec. – Naszą polską rzeczywistością.

– Zastanawiam się czasem, czy jest jakaś granica, której ludzie nie przekroczą, by chociaż na chwilę zaistnieć w mediach.

– Na pewno znasz odpowiedź na to pytanie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zjeżyła się.

– Spokojnie, Anka, tylko to, co chcesz usłyszeć.

Przyjaźnili się od lat. To uprawniało ich do prowokującej szczerości.

– To moja praca, wiesz?

– Wiem. Rozumiem apetyt na życie. Cenię twoją ambicję. Zauważ, że nie dodałem żadnego przymiotnika.

– A ja cenię twoją nadwrażliwość i dbałość o szczegóły.

– Dobra, dobra, już się nie podlizuj. Tylko mów, o co chodzi. Nad czym pracujesz? – Rzucił okiem na biurko koleżanki.

Przypominało wysypisko śmieci. Zawsze tak było, gdy rozpracowywała nowy temat. Okładała się wtedy zdjęciami, wydrukami, książkami i w twórczym nieładzie odnajdywała istotę sprawy. Tym razem były to zdjęcia proszków, ziół, wzory chemiczne i wydruki z Wikipedii.

Każdego popołudnia, zanim wyszła do domu, porządkowała materiały, chowała je

w koszulki na dokumenty, zamykała w segregatorach, wpychała w plastikowe przegródki i oklejała kolorowymi karteczkami z opisem zawartości. Błat pozostawiała w takim stanie, jakby wybierała się na co najmniej dwumiesięczny urlop.

Następnego dnia przychodziła do biura i pracę rozpoczynała od odtworzenia bałaganu z dnia poprzedniego.

– Dopalacze. Spotkasz się ze mną wieczorem?

– No nie wiem... Co na to powie moja żona?

– Jakoś to z nią załatwisz... Bystry jesteś.

– A twój gach? Nie będzie nam przeszkadzał?

– Spoko, nim się nie martw. Przypnę go do kaloryfera. Nie ruszy się z miejsca.

– To zapowiada się miły wieczór...

– Ty, ja i twoja kamera.

\*

Wiktor Braun przyglądał się zawartości talerza. Cztery połówki karłowatego ziemniaka, płaska łyżka surówki z czerwonej kapusty i klops rozmiarów piłeczki pingpongowej.

Nie musiał wychodzić z budynku prokuratury, by zaliczyć posiłek zwany obiadem. Na parterze znajdował się bufet serwujący smaczne jedzenie. Bardziej domowe niż barowe.

– Jak tam? – Do stolika przysiadł się Jacek Działyński, kolega po fachu. – Co dziś dają w zestawie dla przedszkolaka?

– To, co widzisz. – Wiktor wskazał na swój talerz. – Plus zupa ogórkowa.

– Jak zwykle szaleństwo.

Za dziesięć złotych klient otrzymywał dwudaniowy zestaw, który na pewno nie mógłby zaspokoić głodu. Porcja była mikroskopijna, ale idealnie dopasowana do prawników literalnie pojmujących świat.

Pierwsze danie. Zupa zawsze podawana w miseczce, której rozmiarem było bliżej do salaterki niż do głębokiego talerza. Drugie danie. Ziemniaki. Liczba mnoga. Co najwyżej dwie bulwy bogate w skrobię, ale ubogich rozmiarów, przekrojone na pół, aby sprawiały wrażenie większych. Surówka o niedookreślonej gramaturze. Klops. Sztuk jeden. Zawartość talerzy zgadzała się z ofertą w menu.

– Dopiero sekcja zwłok wykaże, co było przyczyną śmierci. Na razie mogę powiedzieć, że prowadzone są czynności procesowe w sprawie.

Znajomy głos sprawił, że Wiktor się odwrócił i spojrzał na telewizor wiszący na ścianie. Rzecznik prokuratury wykonywał swoje obowiązki. Braun nie znał bardziej lakonicznej osoby.

– Nie zazdrozczę mu... – Jacek skończył jeść zupę. Odsunął od siebie miseczkę



i zaatakował kłopsa. – Ale trzeba przyznać, że zawsze wygląda jak z żurnala.

– Obsadzono go zgodnie z jego predyspozycjami. My przychodzimy tu, by bronić prawa, a on, by pozować przed kamerą.

– *À propos*, widziałem w Primo TV tę ładną ambitną dziennikarkę informującą z przejęciem, że denat znaleziony na Czartorii jest kolejną ofiarą dopalaczy. Ty to prowadzisz?

– Niestety.

– Niestety?

– Wiesz, jak lubię sprawy, do których zlatują się medialne sępy.

– Ja nie miałbym nic przeciwko tak urodziwym sępom. – Wykrzywiona mina Brauna mówiła sama za siebie, dlatego Jacek skupił się na sprawie. – Ciekawe, skąd ta wredna mała ma informacje o dopalaczach?

– Media jak zwykle znają przyczynę zgonu, zanim jeszcze zostanie rozpoczęta sekcja zwłok... Ja czekam jeszcze na opinię biegłego z Zakładu Medycyny Sądowej.

– Świadkowie?

– Denat znaleziony został przy kamienicy wypełnionej po brzegi studentami. Policja rozpytała każdego, żeby sprawdzić hipotezę, że denat bawił się w mieszkaniu, a na dwór wyszedł, jak już był naćpany. Niczego nie ustalono. Miał na karku trzydziestkę. Wątpię, żeby imprezował ze zgrają świeżych studenciaków.

– A rodzina? Znajomi?

– Ojciec, zajęty swoimi samochodami, nie interesuje się synem. Matka wychwała chłopaka pod niebiosa. Dziewczyna zapewnia, że nie miał styczności z substancjami psychoaktywnymi.

– Nie pierwszy i nie ostatni, który się stymuluje bez wiedzy najbliższych. No chyba, że ktoś go zmusił do zażycia?

– Nie ma na to żadnego dowodu. Prześledziliśmy ostatnie godziny życia. Był z dziewczyną w kinie, potem odstawił ją do domu i miał jechać do siebie. Znajomi, na których namiary dała nam dziewczyna, nie mieli z nim kontaktu w ciągu ostatnich godzin życia. Nie mamy żadnych dowodów na udział osób trzecich.

– Czyli kolejny palant, który zszedł z tego świata na własne życzenie...

– I jednocześnie uruchomił maszynę biurokratyczną i przysporzył nam pracy! – dokończył Wiktor.

Jego komórka zaczęła wibrować, a na ekranie pojawiło się nazwisko Anny. Nie zamierzał z nią rozmawiać. Schował telefon do kieszeni, a ten wibrował jeszcze przez chwilę, jakby chciał zasygnalizować, że kobieta czekająca po drugiej stronie się niecierpliwi.

– Dobra, lecę już – wstał od stołu – o czternastej mam spotkanie z policjantami z CBS w sprawie przemytu tytoniu i papierosów bez akcyzy.

\*

Wnętrze pozostałości po tzw. domach robotniczych zszokowało zarówno Ankę, jak i towarzyszącego jej Artura. Operator od razu położył kamerę na ramieniu, aby zaprezentować gotowość do pracy. Nie nagrywał jeszcze obrazu, ale otaczającej go rzeczywistości wolał przyglądać się przez obiektyw kamery.

Elewacja budynku położonego przy ulicy Czartoria pięć – stanowiącego niegdyś okazałą kamienicę na poznańskiej Wenecji – nie wyglądała zachęcająco. Jednak środek powalał na łopatki każdego młodego człowieka.

Czterokondygnacyjny gmach został gruntownie odnowiony i przystosowany do wynajmu studentom. Na każdym poziomie znajdowały się jasna kuchnia, łazienka, WC oraz kilkanaście zamkniętych pokoi. Klatka schodowa stanowiła barową powierzchnię jadalną, a przeszklenia, wstawione zamiast ścian w ciągach komunikacyjnych, dodawały jej przestronności. Jednym słowem, każdy centymetr kubatury został maksymalnie wykorzystany. Stoliki, krzesła, graffiti na ścianach, gra kolorów i oświetlenie. Dominowały kolor, radość, lekkość i studencki bałagan. Brak było powierzchni neutralnych, anonimowych, zmarnowanych.

– Cześć, jesteśmy z Primo TV, możemy z wami porozmawiać? – Anka zagadnęła człowieka napotkanego w kuchni.

– No pewnie, włącznie. – Wyżelowany chłopak mieszał w garnku fasolową breję.

Ośmieleni, weszli drewnianymi schodami piętro wyżej.

Drugie piętro różniło się od pozostałych jedynie kolorem. Ściany były intensywnie zielone. Anka minęła sanitariaty i zatrzymała się przy otwartych drzwiach do pokoju.

Na trzech sosnowych łóżkach siedziały dziewczyny i żywo dyskutowały. Pomieszczenie nie było duże. Nie dałoby się zmieścić w nim kolejnego łóżka.

– Cześć, mieszkacie tu? – zagadnęła Anka.

– Cześć, a co? Chcecie wbić się na imprezę?

– A jest jakaś?

– Codziennie, ale tylko dla znajomych.

– No właśnie, chciałam zapytać, czy znaliście może tego faceta, co go tu ostatnio znaleźniono?

– Tego sztywnego? – zapytała dziewczyna o przezroczyście bladej twarzy.

– Sztywnego? – Anka nie zrozumiała.

– Trupa – dopowiedziała druga dziewczyna, jakby chciała przetłumaczyć wypowiedź koleżanki.

– Właśnie.

– Nie. A ten czemu tak stoi w wejściu? Boi się nas?

Studentki zachichotały, domagając się uwagi Artura. Operator opierał się

niechlujnie o framugę. Gdy trzy pary kobiecych oczu zaczęły się w niego wpatrywać, wyprostował się, wciągnął brzuch i użył hasła, które otwiera większość drzwi.

– Jestem z Primo TV.

– Z tiwi? – pisnęła długowłosa blondynka. – Nie stój tak, chodź do nas.

– Właż.

– Siadaj.

Wszystkie trzy równocześnie zrobiły miejsce na swoim łóżku. W pokoju nie było krzeseł, więc Artur wybrał łóżko, które stało najbliżej. Usiadł i obok położył kamerę.

Rogozińska uśmiechała się pod nosem, pełna podziwu dla czterdziestoletniego kolegi. Mogła spać spokojnie. Mimo brzucha i typowego tatusiowatego charakteru poradziłyby sobie, gdyby go dopadł kryzys wieku średniego. Na hasło o miejscu pracy i profesjonalnej kamerze trzymanej w ręce mógł w każdej chwili znaleźć pełnoletnią, sprężystą i pozbawioną zmarszczek dziewczynę chętną do różnego rodzaju zabaw.

– Co to? – Studentka wskazała na kamerę.

– Moja kochanka – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Jesteście parą? – blondynka zagadnęła Ankę.

– Nie, to mój kumpel z pracy. Zbieram wywiady do nowego materiału.

– Pokażesz mi, jak to działa? – Blondynka przesiadła się, by być bliżej kamery.

– Fajnie tu, wypasiona studencka meta. – Rogozińska nie zapomniała, co jest celem jej wizyty.

– Zajebicie. To prywatny akademik. Pełen wypas. Świetne towarzystwo.

– A gdzie są wszyscy?

– Ktoś się pewnie uczy, ktoś odsypia nockę, a reszta jest u góry.

– U góry?

– Na strychu. Tam mamy wielką imprezownię. Kanapy, muzę i strefę relaksu.

\*

Artur chłonał atmosferę wszystkimi zmysłami, by wiernie przekazać ją widzom za pomocą obrazów. Radość, zmęczenie, hałas, młodość, ekstaza, miłość. O te uczucia chciał wzbogacić wypowiedzi, które zbierała Anna.

Dziennikarka dbała o fonię oraz merytoryczność wypowiedzi. Artur troszczył się zaś o klimat. Musiał zdobyć wystarczająco dużo ujęć, by zmontować je razem w sposób harmonizujący z materiałem. Kilka kadrów chciał jaskrawo skonstrastować z wypowiedziami, by podbić ich efekt i zszokować widzów.

– Ktoś z was próbował dopalaczy? – Anka zadała pytanie grupce studentów chętnych do rozmowy.

Nie od początku byli skorzy do wypowiedzi przy kamerze. Liczyli się z ryzykiem, że materiał mogą obejrzeć ich rodzice, dziadkowie czy wykładowcy. Dopiero gdy

dziennikarka zapewniła, że ich głosy zostaną zmienione, a na taśmie utrwalone będą jedynie ich sylwetki zanurzone w ciemności, rozemocjonowali się. Ciekawość i chęć zaistnienia na ekranie telewizyjnym wygrały.

– Ja.

– I ja.

– Ja też.

Każdy z nich miał na swoim koncie przygodę z dopalaczami.

– Co dają wam dopalacze?

– Wolność. Nic cię nie ogranicza, nawet ciało.

– Połączenie z Bogiem. Rozszerzają umysł. Więcej widzisz, więcej rozumiesz, więcej doświadczasz. To zajebiaszcze doświadczenia.

– Niespotykane wrażenia. Uwielbiam oglądać fraktale, uwielbiam, gdy ściany falują, gdy świat mnie zadziwia.

– Intensyfikację przeżyć. Dobry trip[7] nie jest zły.

Anonimowe głowy licytowały się, mnożąc zalety odmiennego stanu świadomości. Anka słuchała uważnie, zachęcała studentów do zdradzania większej liczby szczegółów. Dziwiła się, z jakim apetytem opowiadają o życiu w nierealnym świecie, o doświadczaniu omamów i poddawaniu się halucynacjom.

Młodzi, w większości niegłupi, dobrze usytuowani ludzie prześcigali się w opisywaniu narkotycznych wizji.

– Mnie się nie podobało, ale musisz sama spróbować, żeby zrozumieć. – Zaatakował ją chłopak, na którego zwróciła uwagę kilka chwil wcześniej. Był wycofany, ale zainteresowany. Skupiony, ale rozkojarzony. Męski, ale wypiełgowany jak paryska modelka.

– Miałeś po prostu zły *body load*[8] – zgasła go koleżanka. – To też się zdarza. Im większe doświadczenie, tym więcej funu.

– To, o czym mówicie, brzmi kusząco, ale to przecież narkotyki... – Anka wystrzeliła rękę z prowokacją, by sprawdzić reakcje zgromadzonych.

Artur molestował kamerę. Zacienione sylwetki. Dym papierosowy. Zegarek wart kilka tysięcy złotych. iPhone. Nerwowe podrygiwanie stopy. Dziewczęca dłoń głaszcząca chłopaka po włosach.

Słowa Anki trafiły w sedno. Ktoś warknął w odpowiedzi:

– Pierdolisz.

– Skąd masz takie info? – protestował ktoś inny. – Gdyby były narkotykami, nie można byłoby ich kupić na legalu.

– To same naturalne rzeczy. Zioła i substancje od wieków używane w obrzędach religijnych. Same naturalne składniki, żadnej chemii.

– To bezpieczna alternatywa dla narkotyków.

– Bezpieczna? – powtórzyła Rogozińska, spoglądając po kolei w oczy wszystkich

zgrupowanych.

Wiedziała, że trafiła w dobre miejsce. Przyszła inteligencja Polski próbowała ją przekonać, że stosowanie środków psychoaktywnych jest bezpieczne. Rozmowa, którą prowadziła, idealnie wpisywała się w klimat materiału, który chciała nakręcić.

*Dopalacze atakują nas pod zasłoną bezpieczeństwa* – oczyma wyobraźni widziała już nagłówki gazet ukazujące się po wyemitowaniu jej materiału. – *Anna Rogozińska pokazała, jak to wygląda w praktyce.*

– Są legalne w całej Europie.

Studenci marudzili pod nosem. Co odważniejsi wypowiadali swoje zdanie głośno i wyraźnie.

– Legalne, czyli mogę kupić je w sklepie. – Anka drążyła z zadowoleniem. – Nie u dilerów, tak?

– Boże, laska, zabierasz się za materiał i nie wiesz? Możesz kupić wszędzie: w sklepie internetowym albo w sklepie stacjonarnym.

– A dokładnie gdzie?

– Na starym mieście jest sklep z dobrym stuffem<sup>[9]</sup>. Spróbuj. Tylko powiedz, że to będzie twój pierwszy trip. Niech dadzą ci coś lekkiego.

– Zaprowadzę cię – zaproponowała męska wersja paryskiej modelki.

\*

Braun prowadził równoległe pięć śledztw i obsługiwał swoje sprawy w sądach jako oskarżyciel. Nie miał więc czasu na myślenie. Wszelkie zawodowe czynności wykonywał automatycznie, nie marnując ani sekundy na rozważania.

Dopiero wieczorem, kiedy wracał do domu, zrzucał z siebie służbowy garnitur, zakładał dzinsy i przystępował do wykonywania obowiązków domowych. Jednym z nich był spacer z Neonem – ukochanym wyżłem niemieckim. Wiktor musiał wynagrodzić psu wielogodziną nieobecność.

Narzucał na siebie puchową kurtkę, która niczym ochroniarz miała zabezpieczać jego ciało przed utratą ciepła, i to nawet podczas ekstremalnego mrozu. Producent zapewniał, że w kurtce można jechać na biegun polarny i czuć się w niej komfortowo nawet przy temperaturze dochodzącej do minus dwudziestu sześciu stopni Celsjusza.

Co prawda mężczyzna nie wybierał się w tak daleką podróż, ale w narciarskiej kurtce (a ponadto zaopatrzony w odpowiednią bieliznę termiczną, zimowe buty, czapkę i rękawiczki) przez bite czterdzieści minut spacerował codziennie z psem po lesie.

Szczęśliwy Neon spuszczonej ze smyczy biegł między drzewami. Raz na jakiś czas odnajdywał leśną zagadkę. Ślad bytności dzika, sarnie bobki lub tablice informacyjne „to mój teren” zostawione przez inne psy. Za każdym razem chwycił

ślad i za nim biegł, ale na gwizd właściciela zawsze karnie wracał do jego nóg.

Braun wśród natury przykrytej śniegiem miał w końcu chwilę na bycie sam ze sobą. Uporczywe myśli niosły go jednak do kluczowej sprawy. Niby nie zabierał pracy do domu, jednak nie zawsze potrafił zamknąć wszystkie szufladki swojego umysłu na tyle szczelnie, by ich zawartość nie wylewała się na życie prywatne.

Wibracje w kieszeni uświadomiły prokuratorowi, że kiedy wychodził z domu, automatycznie schował komórkę do spodni. Nie miał ochoty po nią sięgać. Zazwyczaj chodził na spacer bez telefonicznej smyczy.

– Mamy prawo do odrobiny wolności! – odezwał się do Neona, który odpowiedział mu po psiemu.

Szczek niesiony echem powędrował w głąb lasu, a pies machał ogonem jak oszalały.

Komórka uspokoiła się, by po chwili znowu przenosić drgania mechaniczne na ciało Wiktora.

Zdjął rękawiczkę i poczuł przerażające zimno. Odnalazł telefon, spojrzął na wyświetlacz i odebrał. Zamiast „dzień dobry” zaserwował oskarżenie:

– To już jest nękanie!

– Dobry wieczór. – Anka Rogozińska była szczęśliwa, że w końcu usłyszała głos prokuratora. – Gdybyś odebrał za pierwszym razem, nie musiałabym dobijać się w ...

– Jeśli nie odebrałem – przerwał jej – i nie oddzwoniłem, to znaczy, że nie miałem ochoty z tobą rozmawiać, jasne?

– Jak nazywa się denat z Czartorii? – dziennikarka przeszła do konkretów.

Odpowiedziała jej cisza.

– Wiktor, proszę, powiedz, jak się nazywa...

– Nie dzwoń do mnie!

Krzyk Brauna sprawił, że poczuła się panią sytuacji. Wytrąciła go z równowagi. Pan Lodowaty wyraził emocje. Musiała dążyć dalej. Miała jedną szansę na milion. Musiała zagrać *va banque*.

– Przestanę, jeśli odpowiesz na pytanie.

– Nie odpowiem.

– Rzecznik policji powiedział o nim „Fabian S”.

– Skoro wiesz, to po co do mnie dzwonicz?

– „S” to trochę za mało na nazwisko. Gdybym wiedziała... Nieważne. – Opanowała przyływ negatywnych emocji. – Spotkajmy się. Dzisiaj? Wypijemy kawę, porozmawiamy na spokojnie.

– Nie.

– Jutro?

– Nie.

– Wiktor, to przecież nic złego. Powspominamy stare czasy...

– Droga Anno – Pan Lodowaty odzyskał kontrolę nad emocjami – dziękuję za propozycję. Nie skorzystam.

– Wiktor, podaj tylko nazwisko, obiecuję, że nie będę pytać o nic więcej. Chcę porozmawiać z jego rodzicami, potrzebuję tego nagrania do większego materiału o dopalaczach. Sam mnie powiadomiłeś o tym trupie, myślałam, że mogę na ciebie liczyć.

Odmówił jej po raz kolejny, tak jakby sam fakt wypowiedzenia słowa „nie” sprawiał mu przyjemność. Dodał też, że nie będzie jej prowadził za rękę.

– Wiesz, że się dowiem. Jeśli ty mi nie pomożesz, zrobi to ktoś inny.

– Inni mnie nie interesują. Ja muszę mieć czyste sumienie. Żegnam!

[7] *Trip* (z angielskiego: wycieczka) – doświadczenia po zażyciu substancji psychoaktywnych.

[8] *Body load* (z angielskiego: obciążenie ciała) – termin używany przez osoby zażywające substancje psychoaktywne mający określać nieprzyjemne efekty zmysłowe wywołane przez te substancje. Obejmuje odczucia (najczęściej fizyczne, ale również psychiczne) charakterystyczne dla danej substancji, które są trudne do opisanie słowami (por.: Wikipedia -[http://pl.wikipedia.org/wiki/Body\\_load](http://pl.wikipedia.org/wiki/Body_load)).

[9] *Stuff* (z angielskiego: materiał, surowiec) – towar, środki psychoaktywne.

## ROZDZIAŁ 10

### 19 dni do walentynek

W porannej scenerii Anna i Łukasz stanowili całkowite przeciwieństwo. Zauważyli to już jakiś czas temu, a dokładnie po pierwszej wspólnie spędzonej nocy.

Opuszczanie objęć Morfeusza zajmowało Rogozińskiej zawsze dużo czasu. Nie ważne było, czy pobudka jest o godzinie piątej, siódmej czy jedenastej. Nienawidziła się budzić. Każdego dnia coraz bardziej.

Zawodny wyskakiwał z łóżka jak oparzony. Zupełnie, jakby czekał na tę chwilę, znudzony wielogodzinnym leżeniem. Rześki, biegł do łazienki, dokonywał porannych ablucji, ubierał się i siadał przy stole.

Ona z zamkniętymi oczami kierowała się do umywalki. Obmywała twarz zimną wodą. Nie zakręcała kranu i czekała na lepszą chwilę, aby otworzyć oczy. W tym czasie wsłuchiwała się w szum wody uderzającej o dno ceramiki.

On parzył świeżą kawę. Dopełniał filiżankę mlekiem i cukrem, po czym siadał do stołu, gotowy do kilkuminutowego porannego relaksu. Zebrania myśli i sił przed wyjściem do pracy.

Ona w pidżamie człapała do kuchni. Trzaskała talerzami i szafkami, próbując przygotować kanapki. Dopiero po posiłku czuła przypływ sił witalnych. Przyspieszała, aby nadgonić stracony czas. Waliła szafkami, szukała odpowiedniego stroju i wybiegała z domu, zestresowana.

Tego dnia było podobnie. Spotkali się przy stole. Anka – jeszcze w połowie nieprzytomna, rozczochrana, w bordowym peniuarze. Łukasz – uczesany, pachnący, w świeżej koszuli i džinsach, popijający kawę.

– Nie pij na czczo. – Troska wypowiedziana na głos zabrzmiała jak marudzenie. Anna rozpoznała w swojej wypowiedzi ton matki, ale siłą rozpędu dokończyła: – Mówiłam już tyle razy.

– Tyle razy, tyle razy? – droczył się z nią. – Czyżbyś nie była w stanie zliczyć wszystkich naszych wspólnych nocy?

– To niezdrowe.

– Co? Noce z tobą?

– Kawa. Zresztą rób, co chcesz.

Anka wstała od stołu i zabrała się do pakowania podręcznego plecaka. Ręcznik, strój kąpielowy, okulary do pływania, zacisk na nos, czepek, klapki, żel pod prysznic. Skompletowała zestaw podręczny pływaka w trzy minuty.

– Zdrowe, niezdrowe. – Łukasz siedział przy stole i spokojnie sączył kawę. – Dla mnie konieczne. Potrzebuję małej przyjemności przed wyjściem do pracy.

– Jesteś uzależniony. – Anka stanęła w korytarzu, gotowa do wyjścia.

– Od czegoś trzeba. Lepiej od kawy niż od seksu.



– Zwłaszcza, że do kawy nie jestem ci potrzebna. – Odbiła piłeczkę.

Po wspólnie spędzonej nocy temat seksu musiał powrócić w porannych rozmowach. Zawsze tak było. Przed wyjściem do pracy Łukasz miło drażnił jej zmysły, czym sprawiał, że podczas rozstania Anna miała ochotę na kolejne spotkanie.

– No tak.

– Kawa jest twoim dopalaczem...

– Chodź tu, moja specjalistko od dopalaczy.

Przyciągnął ją do siebie i poczęstował smakiem kawy, która pozostała na jego ustach. Przez chwilę zastanawiała się, czy ma czas na takie soczyste pocałunki. Później – czy ma czas na kontynuację przyjemności w sypialni. Kiedy odpuściła rozważania i poddała się chwili, Łukasz odsunął się i przerywał przyjemną stymulację zmysłów.

– *À propos* specjalistów. Jadę dziś do Zakładu Medycyny Sądowej. Przyłączysz się? – zaproponował.

– Po co?

– Mówiłaś ostatnio, że Magda nie chciała ci nic powiedzieć, więc pomyślałem, że jeśli pójdziesz tam ze mną, to...

– Po co? – przerwała mu. – Po co tam jedziesz?

– Zawodowo oczywiście. – Nie czekając na jej reakcję, omotał szyję szalem i sięgnął po kurtkę. – Muszę potwierdzić fakty.

Ania narzuciła na siebie zimowe ubranie szybciej niż Łukasz. Poczekwała, aż zapiął kurtkę, i razem wyszli z mieszkania.

– Jakaś nowa sprawa?

– Nie bardzo. Aniu, udało mi się ustalić, hm... to znaczy są podejrzenia, że syn polityka i ofiara z Czartorii, o której informowałaś społeczeństwo, słodko nadymając apetyczne usta – zdekoncentrował się, przyglądając się, jak dziewczyna wsmarowuje w usta pomadkę ochronną – że w ich krwi znaleziono tę samą substancję.

– To znaczy, że zażyli to samo?

– Nie wiem, dlatego chcę porozmawiać z Magdą.

– Dobra, jadę z tobą. O której?

– W samo południe?

Opuścili blok i zbliżali się do parkingu.

– Swoją drogą, to dziwny zbieg okoliczności – Anka rozmyślała na głos.

– Co?

– Mówię, że dziwny zbieg okoliczności – powtórzyła. – Za grubą masz czapkę. Ludzi nie słyszysz.

– Dlaczego?

– Poznań ma ponad pięćset pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Kilka sklepów z dopalaczami, gdzie pewnie od ręki można kupić kilkadziesiąt rodzajów tych

substancji. Dlaczego dwóch obcych sobie mężczyzn umiera po zażyciu dopalaczy, dlaczego w ich krwi odnaleziona jest ta sama substancja? Czyżby na rynku pojawił się nowy specyfik? Śmiertelnie skuteczny?

Łukasz stanął przed samochodem Anki.

– Dlaczego zakładasz, że byli sobie obcy? Z moich ustaleń wynika coś zupełnie przeciwnego.

– Jak to?

– Byli kumplami. Bawili się razem podczas sylwestra.

– Sylwestra? – Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Spędziła z Łukaszem ostatnich kilkanaście godzin i o tak istotnych informacjach dowiaduje się przypadkiem, i to kilka sekund przed rozstaniem. – Podczas którego Grzegorz Król zaliczył spotkanie z betonem?

– Właśnie.

– Skąd to wiesz? Od kiedy? Kto ci powiedział? Z kim rozmawiałeś? – zarzuciła go pytaniami.

Łukasz pracował w gazecie codziennej. Zaczynał od notek interwencyjnych. Dzięki temu znalazł z nią wspólny język. Rozmawiali o trupach, pobiciach i zamieszkach. Obecnie z powodu zbliżającej się kampanii wyborczej oraz swojego wykształcenia Zawodny przygotowywał artykuły związane z lokalnymi obliczami polityki.

– Moje anonimowe źródło potwierdza, że Fabian, ten chłopak znaleziony na Czartorii, został zatrzymany przez policję po wypadku Króla. To znaczy rozpytywali Fabiana i resztę kolegów, z którymi się bawił. W sumie trzech facetów.

Duże obłoki pary wydobywającej się z ust Łukasza oznaczały, że temperatura otoczenia jest o wiele niższa niż temperatura wydychanego powietrza.

Mimo mrozu Anka czuła, że w środku niej się gotuje. Zalewała ją krew zatruta zazdrością. Miała ochotę wytupać złość, zademonstrować oburzenie i rzucić czymkolwiek. Najlepiej w Łukasza. Stał najbliżej. Posiadał cenną wiedzę. Naraził się.

– Masz informacje od policjanta czy od politycznej mendy? – Wysyczała, gotowa do ataku.

To nie w porządku, że on o tym wie, a ja nie. – Wściekłość wypełniła ją po brzegi. – Że on się dowiedział. Przecież nie jest lepszy ode mnie!

– Wiesz, że cię uwielbiam. – Zawodny starał się załagodzić sytuację najlepiej, jak potrafił.

Anna poczęstowała go tylko oburzonym spojrzeniem, po czym bez słowa otworzyła swój samochód, weszła do środka i trzasnęła drzwiami.

Od zdziwionego Łukasza dziennikarkę odgradzały karoseria oraz gruba warstwa śniegu. Nie zamierzała jej usuwać. Nie teraz. Musiała się uspokoić i odczekać, aż Łukasz sobie pójdzie. Nie chciała powiedzieć czegoś, czego mogłaby później

żałować. Przede wszystkim czuła, że musi zebrać myśli.

Nie tak dawno Łukasz próbował jej sugerować, że Ksawery Król może nią manipulować. Przyjęła sugestię do wiadomości, sprawdziła, co trzeba, i posłuchała rady Łukasza. Stała się ostrożniejsza, ale zupełnie nie zauważyła faktu, że nadal jest narażona na manipulacje. Kogoś, po kim by się tego nie spodziewała.

\*

– Widziałeś to?

– Co?

Zakończyli właśnie kolegium. Opuścili gabinet szefa i każdy poszedł w swoją stronę. Artur zatrzymał się w korytarzu, oparł o ścianę i w telefonie komórkowym przeglądał aktualności zamieszczone przez znajomych na portalu społecznościowym. Nabuzowana Anka przeczekala, aż towarzystwo zniknie z pola widzenia, i podeszła do Lipca.

– Widziałeś, jak mnie potraktował?!

– Ale co?

– Co co? – Brak reakcji odebrała jako lekceważenie. – Wkurzasz mnie!

– Bo? – W końcu oderwał wzrok od telefonu.

Tkwiał przed nią jak skała. Z zaokrąglonym brzuchem i ogromnym spokojem. Zielone oczy Artura wpatrywały się w nią uważnie. Oczy, które leczą. Zero agresji, zero oczekiwań. Jedynie gotowość do wysłuchania jej pretensji.

– Ten twój spokój mnie wkurza.

– Nic nowego. – Wzruszył ramionami. – Ty za to dzisiaj jesteś oazą huraganu. Dlaczego?

– Nie chce mi się o tym gadać.

– Ale wszystko OK?

Przewaga męskiej przyjaźni nad kobiecą wynika z tego, że faceci nie marnują słów. Nie wypowiadają ich na próżno. Nie puszczają mimo uszu. Annę z Arturem łączyła wieloletnia męska przyjaźń.

– Nikt nie umarł, jeśli o to pytasz.

Skwitował to uśmiechem.

– Widziałeś, Grabowski dał jej najlepszy temat dnia! – Tym razem zabrzmiała jak dziecko, któremu odebrano tabliczkę czekolady.

– Dał i co?

Nie ułatwiał sprawy. Chciał, by wypowiedziała pretensje i obawy na głos. Wypowiedziała i usłyszała samą siebie.

– W sumie nic – stwierdziła obojętnie, próbując odnaleźć dystans. Po chwili dodała emocjonalne: – Pewnie pojedziesz z nią?

– O co tobie chodzi?

– O nic... – warknęła, ale zaraz dorzuciła: – O to, że kiedyś takie tematy dawał mnie.

– Kiedyś była inna sytuacja.

– Ta, kiedyś byłam numerem jeden, a teraz znalazł sobie inną maskotkę.

Rogozińska ciężko pracowała na swoją pozycję. Na zaufanie szefa. Szacunek, rozpoznawalność i możliwość otrzymywania najlepszych tematów. Grabowski cenił profesjonalizm Anki, wychwalał ambicję i stawiał wszystkim za wzór. Do czasu.

– Anka, w życiu trzeba podejmować męskie decyzje. Nie można mieć wszystkiego.

Pewnego dnia zabłysnęła na ogólnopolskiej antenie i dostała propozycję przeniesienia się do Warszawy. Obecnie tkwiła w zawieszaniu. Zawsze marzyła o życiu w stolicy. Poznańską telewizję traktowała jak stację pośrednią. Zastanawiała się jednak nad konsekwencjami przyjęcia tej propozycji. Nad samotną matką i związkiem z Łukaszem.

Ani przez chwilę nie pomyślała o tym, że Grabowski wie, czym kusi ją Warszawa, i być może boi się odejścia tak dobrej dziennikarki. Zawczasu próbuje wypełnić miejsce, które w jego mniemaniu za chwilę zostanie wolne.

– Wiem, Artur, wiem. Cieszę się, że mam ciebie. Mądry jesteś. Naprawdę. Mówię to bez ironii. Będzie mi ciebie brakować.

– Czyli co? Decyzja podjęta? Przenosisz się do warszawki?

– Obawiam się, że w tej chwili nie mam innego wyjścia. Albo wezmę, co mi dają, albo zostanę tu jako największa przegrana roku.

– Przesadzasz. Pomyśl o tym jutro, jak będziesz miała lepszy humor.

– Nie będę ponownie zdobywać tych samych, zdobytych wcześniej szczebli drabiny zawodowej. Wyjeżdżam.

\*

– Witaj.

Po podejrzanym powitaniu Magdaleny Krajewskiej z Łukaszem dokonana została prezentacja. Ania. Magda. Magda. Ania.

Kobiety podały sobie dłonie, a Krajewska zaprosiła gości do swojego gabinetu.

Łukasz prowadził luźną pogawędkę, z której wynikało, że jego znajomość z pracownicą Zakładu Medycyny Sądowej wykracza poza granice budynku Akademii Medycznej.

Rogozińska nie chciała się skupiać na prywatnych sprawach ani bardziej lub mniej uzasadnionych napadach zazdrości. Bezgłośna wymiana myśli z zaprzyjaźnionym operatorem pomogła jej odnaleźć spokój, a przynajmniej jego

fundamenty.

– Usiądźcie, proszę. – Magda wskazała na zużyte krzesła.

Łukasz i Anna zdjęli kurtki i zajęli miejsca. W pokoju panował przyjemny chłód. Nad drzwiami wejściowymi zawieszony był klimatyzator dbający o odpowiednią temperaturę w pomieszczeniu. Specjalistyczne maszyny zajmujące prawie wszystkie blaty szumiały i wypowiedane zdania przykrywały tłumiącym filtrem.

– Dzięki za SMS-a.

– Na mnie zawsze możesz liczyć.

Wyznanie Krajewskiej speszyło Łukasza.

– Podobno coś znalazłaś we krwi denata z Czartorii, tak? Dopalacze? – Anka przeszła do konkretów. Nie miała ochoty wysłuchiwać słodkich rozmów starych znajomych.

– Oficjalnie przyczyną śmierci Fabiana S. był udar mózgu. Z uwagi jednak na fakt, że znaleziono przy nim torebkę z suszem, zrobiłam, proszę ciebie, badania, aby potwierdzić, co to za zielsko i czy chłopak mógł umrzeć w wyniku zażycia tej substancji.

– I co to było? Haszysz? – Łukasz włączył się do rozmowy.

– Nie. Źle się wyraziłam. Torebka i etykieta z nazwą sugerowały, że jest to dopalacz. W środku były jednak suszone zioła. Dokładnie: prawoślaz lekarski. Roślina, jak sama nazwa wskazuje, jest używana w celach leczniczych. Do powlekania preparatów przeciwkaszlowych, pomaga też w problemach żołądkowych, nieżytach oskrzeli i takich tam. Nawet w pediatrii. Nic specjalnego. Prawoślaz nasączony był substancją psychoaktywną. Nie stwierdziłam jednak jej obecności w materiale pobranym od zmarłego.

– Czyli – dedukował Zawodny – jej nie zażył. Nie zdążył albo może ktoś mu ją podrzucił?

– Ale jak nasączone? – Rogozińską intrygował sposób wytwarzania dopalaczy. – To nie są zioła przywożone z dżungli?

– Gdyby szmuglowano coś takiego przez pół świata, to wiesz, jaka byłaby cena? Nie kupiłabyś tego za trzydzieści złotych.

– To znaczy, że robią je tu? Na miejscu? I sprzedają, dodając do tego bajkę...

Rogozińska żałowała, że nie może rejestrować tej rozmowy.

– No właśnie. – Poruszanie się w tematach farmaceutyczno-toksycznych sprawiało Magdalenie Krajewskiej widoczną przyjemność. – Substancje psychoaktywne rozpuszczają na przykład w acetonie, a potem dolewają do byle jakiego zielska. Wystarczy odczekać, aż aceton odparuje, poporcjować i sprzedać. Przeróżające.

– A to, co znaleziono przy Fabianie, było nasączone... czym? – Łukasz pośpieszał koleżankę.

– Tetrahydrokannabinolem. W skrócie: THC. Nie znalazłam go jednak ani we krwi, ani w moczu. Ale za to zrobiłam przesiewowe badania na obecność innych substancji...

– I znalazłaś inny dopalacz.

– Nie. Nie dopalacz. Badanie w chromatografii gazowej nie wykazało obecności żadnych narkotyków, a jedynie podwyższony poziom jednej substancji...

– Jakiej? – Anna chłonęła każde słowo.

Krajewska przez chwilę trzymała ich w niepewności, po czym z dumą wyrzuciła z siebie nazwę:

– 2-fenyletyloaminy.

Mina kobiety świadczyła o tym, że poczęstowała gości właśnie gwoździem programu. Powinni wstać i zacząć bić brawo. Składać gratulacje albo wejść w pełną szczegółów dyskusję dotyczącą substancji, której nazwy nie potrafili powtórzyć.

– 2-etylo... Brzmi jak nazwa alkoholu.

– Nie, Łukasz, patrz na moje usta. Dwu-fenyletyloamina. To, co ty nazywasz alkoholem, jest etanolem, czyli alkoholem etylowym.

Anna ukradkiem obserwowała uśmiechy tych dwojga. Rozumieli się. Magda od czasu do czasu niby przelotem dotykała jego kolana.

– W jakich narkotykach można ją znaleźć? – spytała, kierując dyskusję na interesujące ją tory.

– Na bazie fenyletyloaminy produkuje się wiele syntetycznych substancji psychoaktywnych. Przykładowo: amfetaminę, MDMA i metamfetaminę.

– Czyli mamy pewną teorię. – Powrót do tematów zawodowych był Łukaszowi na rękę. – Fabian mógł zażyć przed śmiercią przykładowo MDMA. Grzegorz Król też miał to we krwi?

– Jedynie niewielkie ilości.

– Brali to samo. Mówię wam.

Rogozińska na podstawie przeczuć błyskawicznie znalazła logiczne wytłumaczenie. Dwóch martwych kolegów. Impreza. Amfetamina lub podobne świństwo. Mogli przedawkować albo połączyć z czymś innym. Stworzyć wysoce toksyczną mieszankę.

– Możliwe. – Krajewska twardo stąpała po ziemi, wypowiedzi opierała jedynie na faktach. – Chociaż niekoniecznie.

– Nie rozumiem.

– Fenyletyloamina to organiczny związek chemiczny, naturalnie występujący w ludzkim mózgu. Mogła zostać wytworzona przez organizm denata na tyle krótko przed śmiercią, że byłam to w stanie wykryć. Jeśli ktoś, proszę cię, biega albo ćwiczy regularnie, fenyletyloamina wydziela się podczas wysiłku i powoduje efekt euforii biegacza. Wiecie, poprawa nastroju, zwiększenie wytrzymałości i odporności

organizmu na ból. Mógł też przeżyć duży stres... zjeść kilka tabliczek czekolady, bo w niej też jest ta substancja. Wchodzi też w skład całego kontyngentu celnego środków chemicznych do produkcji farmaceutyków.

– Czyli wiemy, że nic nie wiemy...

Słowa Łukasza utonęły w szumie pracujących maszyn.

– Wiemy, że ta substancja była we krwi obu panów. Nie wiemy jednak, czy przyczyniła się do ich śmierci.

\*

Anna i Łukasz opuścili gabinet. Już na korytarzu poczuli rozkoszną ciszę. Podczas półgodzinnego pobytu w pomieszczeniu po brzegi wypełnionym ciągłym szumem pracujących maszyn niemalże przestali go słyszeć. Dopiero cisza uświadomiła im istnienie hałasu.

Krajewska odprowadziła gości do wyjścia. Za pomocą tajemniczego kodu otworzyła drzwi chroniące dowody sądowe oraz pracowników Zakładu Medycyny Sądowej przed niepożądanymi wizytami zainteresowanych.

– Dziękujemy, Magda!

– Nie ma o czym mówić, Łuki.

– Ja również dziękuję. Jestem pod wrażeniem twojej wiedzy. – Ania nie byłaby sobą, gdyby nie skorzystała z okazji, by zapewnić sobie indywidualny dostęp do źródła specyficznej wiedzy. – Miałabyś coś przeciwko, gdybym wpadła do ciebie jeszcze kiedyś? No wiesz, jeśli przyjdzie mi do głowy jeszcze kilka pytań?

– Pewnie, nie ma sprawy. Wpadajcie... albo wpadaj sama. Masz numer mojej komórki?

Rogozińska zapisała w pamięci telefonu dziewięć cyfr wraz z adnotacją: Magda, dopalacze od Łukasza.

– Mam jeszcze jedno pytanie – wahała się przez chwilę – przepraszam, jeśli wyda ci się zbyt naiwne.

– Tak?

Łukasz na chwilę zamarł, bo nie wiedział, czego może się spodziewać. Uchwycił kilka zazdrosnych spojrzeń Anki. Spojrzeń, w których starała się ukryć złośliwe chochliki.

– Dopalacze uzależniają. Tego jestem pewna. Wiem, że w internecie opinie użytkowników są zupełnie inne, ale przeciętny alkoholik czy palacz też twierdzą, że nie są uzależnieni, a wódę lub papierosy mogliby rzucić ot tak, bez wysiłku, nawet w tej chwili. Gdyby im się chciało. Ale im się nie chce. Czy wiesz może, jak mocno uzależniają dopalacze?

– Mocno.

– Ale jak mocno? Lżej niż narkotyki?

– Dlaczego pytasz?

– Ania pracuje nad materiałem o dopalaczach, wspominałem tobie... – Łukasz próbował wytłumaczyć, ale Anka mu przerwała.

Poczuła się jak mała dziewczynka, za którą odpowiada nadgorliwy ojciec.

– Pracuję nad materiałem o dopalaczach. Generalnie chodzi o to, że po akcji zamykania sklepów z dopalaczami, o której było głośno w mediach, zapadła zasłona milczenia przysyłająca wielki problem! To głównie można kupić w sklepach na terenie całego kraju. Ludzie umierają, media milczą, a rząd jest z siebie zadowolony.

Krajewska stała przez chwilę bez słowa, po czym skierowała się do sekretariatu. Tego samego, w którym nie tak dawno Anka powoływała się na znajomość z Łukaszem.

Wróciła z zieloną karteczką samoprzylepną, na której widniała nazwa ulicy, numer porządkowy budynku oraz bardzo okrągła ósemka oznaczająca numer mieszkania.

– Chcesz wiedzieć wszystko na temat uzależnienia? Masz tu adres. – Karteczka przeszła w ręce Rogozińskiej. – To mój sąsiad. Porozmawiaj z nim. Po dopalaczach doświadczył wielu różnych stanów świadomości. Ma też dobre rozeznanie teoretyczne.



## ROZDZIAŁ 11

17 dni do walentynek

– Co ja tu robię?

Siódma pięćdziesiąt trzy. Dokładnie o tej godzinie dwa razy w tygodniu Anka Rogozińska zadawała sobie to samo pytanie.

O siódmej czterdzieści pięć zostawiała samochód przed budynkiem. Pokonywała drzwi obrotowe. Przy kasie pokazywała karnet z logo Oazy. Plastikową kartę opłaconą z góry za rok. Wydane wcześniej pieniądze motywowały Ankę równie mocno, jak założony cel: smukła figura i zwiększona wydolność organizmu.

Gdy znikwała za szklanymi drzwiami, czuła uderzenie gorąca. Przykładała specjalny zegarek do czytnika. Otwierała się szafka, w której chowała buty, kurtkę i resztę zimowych akcesoriów. Na gołe stopy zakładała klapki i kierowała się do właściwej szatni.

Tam pozbywała się reszty stroju. Pakowała go do kolejnej szafki otwartej dzięki plastikowemu zegarkowi.

O siódmej pięćdziesiąt trzy zamykała metalowe drzwiczki, ubrana jedynie we wzorzysty strój kąpielowy.

– Co ja tu robię? – zadawała sobie pytanie, zbliżając się do basenu sportowego.

Wokoło nie było jeszcze nikogo. Jedynie ratownik siedział na krześle i próbował pozbyć się resztek snu.

– Mogłabym jeszcze spać w najlepsze.

Wątpliwości dotyczące celowości wczesnych pobudek i przeznaczania dwóch godzin snu na historie basenowe mijały w momencie, w którym jej ciało zanurzało się w wodzie o temperaturze dwudziestu dziewięciu stopni Celsjusza. Nagle pobudka o siódmej i ciąg automatycznie wykonywanych czynności – niezbędnych, by dotrzeć na basen – zyskiwały na znaczeniu. Nadawały sens jej życiu i przybliżały do założonego celu.

\*

Mario, znajomy Magdaleny Krajewskiej, zgodził się na rozmowę w obecności kamery. Podał miejsce i godzinę spotkania.

Przybyli punktualnie. Otworzył drzwi i zaprosił gości do środka, do mieszkania matki.

Artur Lipiec zwiedził wszystkie pomieszczenia, aby znaleźć najlepiej oświetlone miejsce. Wybrał kuchnię. Przygotował krzesła, doświetlił plan i rozpoczął nagrywanie.

– Podobno prawdziwego mężczyznę poznaje się po tym, jak kończy... Czy ty już

skończyłeś?

Światło kamery informowało o nagrywaniu, a Anna Rogozińska zgubiła ciepły uśmiech i skupiła się na zadawaniu pytań.

– Pytasz o dragi? Nie wiem. Wiem, że od dwustu dwudziestu trzech dni jestem czysty.

– To ponad pół roku. Gratuluję. Skoro skończyłeś, to musiałeś też zacząć...

– Musiałem? Raczej chciałem.

– Chciałeś, bo...?

– Bo to było na czasie. Tylko mięczaki nie próbowały. Chciałem zobaczyć, o czym rozmawiają koledzy. Chciałem zademonstrować luz i siłę. Poza tym przecież nawet dzieciaki palą maryškę. To nieszkodliwe zioło.

– Zacząłeś od marihuany, a później?

– Spodobało mi się. Nudni ludzie nawet nie marzą o tym, by widzieć więcej. Nigdy nie byłem nudny. Po maryšce było wszystko.

– Dopalacze?

– Najpierw narkotyki. Czytałaś *Wir Kinder vom Bahnhof Zoo*[\[10\]](#)?

– Tak.

– Niesamowita, prawda? Czytałem w oryginale, by nie uronić ani kropli wiedzy. Mimo że miałem świadomość tego, co z człowiekiem wyczyniają narkotyki, dawałem sobie ostro w żyłę. Byłem przekonany, że jestem mądrzejszy i silniejszy od tych wszystkich, którzy umierali wokół mnie. Kontrolowałem siebie, moje chęci i głód. Robiłem przerwy. Eksperymentowałem. Byłem nawet na odwyku. Któregoś dnia usłyszałem o dopalaczach. Byłbym głupi, gdybym nie spróbował. Zamiast szkodliwych i zakazanych narkotyków kupiłem sobie współczesny produkt. W smart shopie[\[11\]](#). Bez stresu, bez podejrzliwych spojrzeń, bez oskarżeń, że jestem ćpunem. Wszedłem do sklepu, poprosiłem o coś dobrego, zapłaciłem i wyszedłem na luzie, jakbym właśnie kupił bochenek chleba. Poza tym standardowe testy na obecność narkotyków nie wykrywały dopalaczy. Oznaczało to jedno...

– Że są bezpieczne?

– Tak, że są bezpieczniejszym zamiennikiem narkotyków. Tak mi się wtedy wydawało. Poza tym, jak wchodziły na rynek, to były w wersji lightowej.

– To znaczy?

Artur kadrował twarz Anki, profil Maria i kuchenne buteleczki z lekarskami stojące na blacie.

– No słabe były okropnie, śmiałem się, że to stuff dla dzieci. Tak jakby kiedyś dawali dużo mniej chemii.

– Chemii? W sklepach internetowych, w których obecnie można kupić dopalacze, czytałam, że są one naturalne...

– Pierdolenie. Chyba nie jesteś tak głupia, by dać się złapać na takie

marketingowe ściemy. Naturalne jak szynka z dyskontu. Naturalnie naszprycowane chemią. To zmniejsza koszt produkcji, a co za tym idzie, zwiększa zysk handlarza.

– Jak długo je brałeś?

– Różnie. Robiłem przerwy. Krótsze i dłuższe. Próbowałem dostać się na farmację. W sumie dobrze, że mnie nie przyjęli. Mogłem przyswajać wiedzę praktyczną.

– Dlaczego przestałeś?

– Bo mi się znudziły...

– Serio?

– Nie. Dotarło do mnie, że rujną zdrowie.

– A narkotyki nie rujnowały?

– Też, ale nie aż tak mocno. Wierz mi, wierzcie mi – Mario po raz pierwszy spojrzał bezpośrednio w kamerę – dopalacze to świństwo. Substancje psychoaktywne zażywane dla funu zmieniają psychikę, zachowanie. Niszczą człowieka. Stajesz się robotem pozbawionym uczuć. Faszerowałem się narkotykami długo, o wiele dłużej niż dopalaczami... Po trzech miesiącach zabawy z legalnymi dopalaczami zacząłem świrować. Agresja, problemy z głową, haluny, które przychodziły do mnie w różnych porach dnia i nocy. Żyrafa wisząca na żyrandolu... Paranoja.

– Dopalacze uzależniają?

– Nie widzę nic złego w uzależnieniach. Głupia nazwa czegoś, co powtarzasz, by sprawić sobie przyjemność. Dopalacze są jak bagno. Spróbuj i ani się nie obejrzysz, a wpadniesz, otoczy cię smolista maź utrudniająca nie tylko ruchy, lecz także logiczne myślenie. Nie ma znaczenia, jak silną masz psychę, jak bardzo jesteś przekonana o swojej wyjątkowości. Znałem wielu... takich po studiach, zapierdalających w korporacjach, z superbrykami, kasą i wszystkim... Mefedron doprowadził ich do ruiny. Wciągnął ich tak szybko, że nawet nie zdążyli tego zauważyć. Ktoś powinien napisać nową książkę: *My, japiszony z dworca Poznań Główny*.

Rogozińska odwróciła się do Artura, nakazując gestem przerwanie nagrania. Lipiec posłusznie wyłączył kamerę. W rękach dziennikarki pojawiła się fotografia Grzegorza Króla.

– Zobacz, znałeś go? Kamera jest wyłączona. Możesz odpowiedzieć, zachowując anonimowość.

– Nie. – Mario wzruszył obojętnie ramionami. – Ale nie jestem wyrocznią. Kiedyś wszyscy narkomani kojarzyli się z widzenia. Kilku dilerów obsługiwało całe miasto, prędzej czy później wpadałeś na znajome twarze. Dziś w epoce internetu i zamawiania dopalaczy jak pizzę z dowozem do domu... nikt nie kontroluje ogromu zjawiska.

Zdjęcie syna znanego polityka trafiło do torebki dziennikarki, a Artur ponownie uruchomił kamerę.

- Mario, powiedz, jak rozpoznać uzależnionego? – Padło ostatnie pytanie Anki.
- Zaraz, zaraz. – Mężczyzna zareagował agresywnie. Wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał dotknąć obiektywu. – Usuń to facet. Miałaś nie używać mojego imienia. Operator kamery się zjeżył. Nienawidził ludzi dotykających jego sprzętu.
- Przepraszam – Anna zareagowała błyskawicznie – przepraszam. Skupmy się, to już ostatnie pytanie. Artur, nagrywaj.
- OK.
- Jak rozpoznać uzależnionego od dopalaczy?

\*

Ksawery Król uniósł głowę znad dokumentów. W drzwiach gabinetu stał jego asystent.

- Przepraszam, mogę wejść?

Polityk kiwnął głową. Fryderyk Chmielewski, absolwent poznańskiego Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu Adama Mickiewicza, wszedł niepewnie do środka. Zatrzymał się przed biurkiem Króla.

– Przepraszam, że przeszkodziłem, ale chciałem zapytać, czy mam przygotować tekst oświadczenia.

- Jakiego oświadczenia?

– Pomyślałem, że w związku ze śmiercią Fabiana Spychalskiego stosowne byłoby ogłoszenie krótkiego oświadczenia.

Król przyglądał się młodemu asystentowi przez kilka chwil, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. W końcu machnął ręką i wskazał Fryderykowi drogę ewakuacyjną.

– Mam na głowie najbliższe głosowanie, a ty mi zawracasz głowę śmiercią jakiegoś śmiecia.

Po krótkim i w miarę beznamietnym oświadczeniu popłynął potok głośnych i niecenzuralnych słów adresowanych do „śmiecia”. Ksawery nie zamierzał odrywać się od wielkiej polityki, by publicznie wypowiadać się o śmierci kolegi jego zmarłego syna.

Fryderyk Chmielewski grzecznie przeczekał napad wściekłości szefa. Kiwał głową, kilkakrotnie przytakiwał, jednak po ostatnim zdaniu szefa dodał:

- Śmiecia, którego można połączyć z szefem.

- A niby jak?

– Przyjaźnił się z pańskim synem. Obaj nie żyją... a w tle zaraz mogą pojawić się dopalacze. Widzę w tym potencjalne źródło problemów. Proszę pamiętać, że widza teatru politycznego interesuje nie tyle to, co dzieje się na scenie gry politycznej, ile to, co można zobaczyć za jej kulisami.

Służalczy Fryderyk po raz kolejny wygłosił uniwersytecki wykład o aktorach,

granych przez nich rolach, o scenie i widowni.

Ksawery Król znał to na pamięć. Potrzeba łączy się z koniecznością. Potrzeba jak najlepszego zaprezentowania się wyborcom. Konieczność ukrywania swoich prawdziwych celów. Starannie zaaranżowana spontaniczność. Manipulacja zwana kokieteryą. Kontrolowanie sposobu, w jaki postrzegają go inni. W przeciwieństwie do asystenta nie studiował teorii polityki. Wszystkiego uczył się na własnej skórze.

– Na razie nie będę niczego oświadczać – oznajmił kategorycznie. – Obserwujmy rozwój wypadków. Jeśli będzie trzeba, złożę kondolencje rodzicom. Temat dopalaczy nie ma prawa się pojawić. Mój syn umarł. Był pełnoletni. Nie wiedziałem, że mógł coś zażywać. To, że zdechł też jego kolega, to nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Albo dowód na to, że to on go zabił. Podał mu jakieś świństwo, które sam zażył kilka dni później.

– Zgadzam się z szefem, ale takie sądy niech zostaną w tym pokoju. Nie możemy nikogo oskarżać. Jest szef pewien, że nikt do nas nie dojdzie na podstawie analizy powiązań Spychalskiego?

– Fryderyk! – zdenerwowany Król aż uniósł się z fotela. – Cóż to za insynuacje? Nie ucz ojca pacierza. Potrafię świadomie planować swoje życie. W końcu, jakby na to nie patrzeć... jestem politykiem...

Tubalny śmiech Króla rozładował napięcie. Błyskawicznie dołączyło do niego chichotanie Chmielewskiego. Brzuchy mężczyzn unosiły się i opadały, wspólnie ciesząc się ze znajomości realiów życia politycznego.

Dzwonek telefonu stacjonarnego przerwał sesję łagodzenia stresów. Król złapał za słuchawkę i burknął:

– Tak.

Słowa, których nie spodziewał się usłyszeć, spowodowały całkowitą zmianę nastroju. Na twarzy polityka pogłębiły się lwie zmarszczki. Zareagował automatycznie.

– Spławić! – Przerwał sekretarce i poinformował ją o podjętej decyzji tonem nieznoszącym sprzeciwu.

\*

– Rozumiem. – Sekretarka przytaknęła i odłożyła słuchawkę.

Mariola Kubińska pracowała z Królem od lat i doskonale wypełniała swoje obowiązki. Rozpoznawała potrzeby i humory szefa. Odprawiała sprzed jego drzwi wielu niezapowiedzianych i niechcianych gości.

– Przykro mi – zwróciła się do Rogozińskiej, a na jej tłustej i pomarszczonej twarzy malowało się współczucie – pan Król jest zajęty. Niestety, nie będzie mógł poświęcić pani nawet chwili.

– W takim razie chcę się umówić. Proszę spojrzeć w swój kajecik i powiedzieć, kiedy mam wrócić. Kiedy będzie miał wolniejszą chwilę? Za godzinę?

Sekretarka zajrzała do terminarza. Przejrzała kilka stron, po czym uprzejmie odpowiedziała:

– Niestety, następne dni mamy wypełnione po brzegi.

– Wystarczy mi pięciominutowa audyencja. Może wrócę o piętnastej?

– Bardzo mi przykro. W dniu dzisiejszym nie wepchnę tu – sekretarka wskazała na terminarz – nawet szpilki.

– Pięć minut – jęknęła Rogozińska. – Bardzo panią proszę. Zależy mi...

Po drugiej stronie biurka miała silnego przeciwnika. Kobieta, która mimo zaawansowanego wieku, dobrze znała się na swojej pracy. Po nieudanej próbie sił Anna postanowiła postawić na łagodność i bezradność.

– Nie znajdę nawet trzech minut – sekretarka nie odpuszczała.

– A może jutro?

– Jutro też nie. Pan Król wyjeżdża. Na kilka dni.

Rozłożone ręce sekretarki i głos, jakim informowała o planach szefa, sprawiły, że w Ance się zagotowało. Łagodność wiele ją kosztowała. Nie urodziła się z nią, tylko ją wypracowywała, bo uznała, że czasami trzeba będzie ją wykorzystać w negocjacjach.

Świetnie – warknęła do siebie w myślach – to może umówmy się na święty nigdy?

Zawołowane nigdy. Pojęcie kojarzące się Ance z dawno niewidzianymi znajomymi, na których wpada się niespodziewanie na ulicy. Po krótkiej i sympatycznej wymianie zdań pada symboliczne:

– Musimy się umówić na kawę.

Odpowiedź jest pełna werwy:

– Tak, koniecznie.

– Super, dzwoniemy się.

Po czym ludzie rozchodzą się i zapominają o sobie do kolejnego niespodziewanego spotkania.

– Może zostawi pani swój numer telefonu? – Sekretarka wiedziała, jak pozbyć się nachalnego gościa. Dać promyk nadziei, by częściowo zadowolony gość mógł się oddalić. – Gdyby coś się zwolniło, zadzwonię do pani.

– Nie, dziękuję. – Rogozińska nie zamierzała czekać na telefon. Skoro Król nie zgodził się przyjąć jej teraz, nie zadzwoni do niej później. Ani on, ani jego sekretarka. – Pójdę już – skierowała się do wyjścia.

Zrobiła kilka kroków i dla niepoznaki wyjęła z torebki komórkę. Stała i rozejrzała się uważnie, aby ocenić sytuację. Okrągła sekretarka wróciła do swoich zajęć i zawiesiła wzrok na ekranie komputera.

Ankę od drzwi prowadzących do gabinetu polityka dzieliły cztery szybkie podskoki. Na ich wykonanie potrzebowała maksymalnie dwóch sekund. Otwarcie drzwi i przekroczenie progu to kolejne dwie sekundy.

Rozważyła swoje szanse, zagrożenia i podjęła decyzję. Odwróciła się i zaatakowała drzwi. Nie zauważyła reakcji sekretarki, ale wyraz twarzy Króla był bezcenny.

– Panie Ksawery...

– Proszę wyjść! – Zareagował krzykiem, nie dając dojść dziennikarce do głosu. Uniósł się zza biurka, jakby przygotowywał się do ataku.

– Szefie. – Mariola Kubińska niczym ochroniarz wpadła z impetem do biura i stanęła tak, by zasłonić dziennikarce polityka. – Mówiłam tej pani, że nie ma pan czasu!

Król nabrał powietrza i odzyskał właściwy sobie dystans.

– Pani Mariolu, dziękuję. Ta pani już wychodzi...

– Musimy porozmawiać – protestowała Rogozińska.

Gdy za sekretarką zamknęły się drzwi, Król schował się za swoim ogromnym biurkiem i poczęstował Annę garścią ironii.

– Powiedziałem już wszystko.

– Oszukał mnie pan – zaatakowała automatycznie. Po chwili zdała sobie sprawę z sytuacji, w której się znalazła.

– Proszę uważać na słowa. – Król, mimo że chciał rozszarpać dziennikarkę, mistrzowsko panował nad słowami, bo wiedział, że może być nagrywany. – Jestem osobą publiczną.

Wpadając do gabinetu polityka, dziennikarka zostawiła ostrożność w sekretariacie. Działała jak złodziej. Zamierzała zminimalizować czas przebywania w pomieszczeniu pełnym zagrożeń. Chciała wejść, wydrzeć to, na czym jej zależało, i szybko uciec. Bez zastanawiania się nad tym, czy używa odpowiednich słów. W jej mniemaniu słowa były adekwatne do sytuacji i założonego celu.

– Fabian, którego oskarżał pan o spowodowanie śmierci pana syna, nie żyje! – świadomie prowokowała Ksawerego Króla. Liczyła, że ponownie straci on dystans, a emocje, które trzymał w zaciśniętej pięści, wydostaną się na zewnątrz, by zmieść dziennikarkę z powierzchni ziemi.

– Nie żyje. I co z tego? Przyszła pani nakręcić moje łzy? – Król pytał z uśmiechem. – Pomyśl śmierdzi mi brukowym dziennikarstwem.

Oczy rozmówcy mówiły wszystko. Informacja o śmierci Spychalskiego go nie zaskoczyła. Nawet nie mrugnął. Nie pomyślał. Nie dopytał o szczegóły.

Musi być dobrze poinformowany – pomyślała Anka. – Tylko dlaczego?

– Przyszłam zadać tylko jedno pytanie. Nieoficjalne pytanie.

– Nieoficjalne? – Król uniósł się z fotela, jakby w geście sympatii. Wyszedł z za

biurka, zbliżył się do Anki i oparł głowę o dłoń, przyjmując pozę greckiego myśliciela. – Czyli nie jest pani tak głupia, na jaką wygląda – bardziej stwierdził, niż spytał. – Zadanie pytania oficjalnego skutkowałoby utratą pracy w Primo TV, prawda?

Sympatyczny wyraz twarzy przeciwnika przyprawiony był dużą szczyptą ironii. Dziennikarka tkwiła w napięciu i czekała na ciąg dalszy.

Król mógł odpowiedzieć na pytanie i pożegnać się z nią w miłej atmosferze albo wysłuchać pytania i wyrzucić ją za drzwi. Niezależnie od rozwoju wypadków jednego mogła być pewna: Król sekundę po tym, jak dziennikarka zamknie za sobą drzwi, na pewno zadzwoni do Grabowskiego i opowie mu o całym zdarzeniu.

– Nieoficjalne pytanie proszę zapisać na kartce... – Rozpoczął z uśmiechem, ale to, co nastąpiło później, przeszło oczekiwania Anny.

Twarz Króla się zmieniła. Tak jakby nagle zrzucił maskę. Zamiast opanowanego mężczyzny w średnim wieku zobaczyła wytrawnego manipulatora. Kwintesencję polityki. Sympatyczną minę, pogardliwe spojrzenie, poczucie bezkarności...

Litanie atrybutów osobowościowych składających się na definicję polityka. Cech, które sprawiały, że nie znosiła polityki. Własności, które posiadali wszyscy tłuści politycy, którym się udało.

– ...zapisać na kartce – cedził słowa – i wyrzucić do kosza, wychodząc z mojego gabinetu.

Popierdoleni politycy – skomentowała w myślach, kiedy opuszczała biuro poselskie. – Mordercy w białych rękawiczkach, kochający przede wszystkim siebie.

[10] *My, dzieci z dworca ZOO* – książka dokumentalna spisana z zapisu magnetofonowego rozmów z Christiane F., młodą narkomanką z Berlina Zachodniego.

[11] Określenie sklepów z dopalaczami. Angielska nazwa pochodzi od rzekomych własności sprzedawanych substancji reklamowanych jako usprawniających funkcje poznawcze (*smart drugs*).



## ROZDZIAŁ 12

### 15 dni do walentynek

Rogozińska wpadła do Galerii Malta, przekonana, że może w niej spędzić jedynie czterdzieści minut.

Galeria handlowa nie miała nic wspólnego z Republiką Malty – wyspiarskim państwem położonym na południe od Sycylii. Nie leżała w śródziemnomorskiej strefie klimatycznej, lecz na wschodzie Poznania, nieopodal Jeziora Maltańskiego, którego kształt przypominał szklaną butelkę coli.

Dziennikarka uwielbiała centra handlowe – współczesne miejsca kultu. Kiedyś po zakupy szło się na rynek, gdzie podczas oglądania rodzimych produktów rozmawiało się z handlarzami na temat życia, pogody i oczywiście ceny.

Teraz ludzie masowo lgnęli do miejsc skupiających wiele sklepów i punktów usługowych zagranicznych firm. Chodzili po sklepach, oglądając produkty i odganiając się od sprzedawców. Unikali rozmów z nimi, bo nie chcieli się czuć zobowiązani do zakupu. Unikali rozmów ze sobą – w tym celu korzystali z internetu, który w takim miejscu najczęściej jest bezpłatny.

– Jeansy... Jeansy... – Na planie centrum handlowego odnalazła sklep, do którego przyjechała. – Drugie piętro.

Wyprzedzając wolno spacerujących poznaniaków, kierowała się do ruchomych schodów. Wszędobylskie serca atakowały ją na każdym kroku. Czerwony napis „walentynki” wrzeszczał z każdej wystawy. Anna odwracała głowę, ale po drugiej stronie widziała to samo. Wylewającą się obrzydliwą słodycz. Miała problem z akceptowaniem święta polegającego na manifestacji uczuć.

Przed schodami zatrzymała się przy dużym sklepie z biżuterią. Ogromna oferta produktów walentynkowych nie była niczym innym jak kolejną okazją do gry na uczuciach klientów. Kowalski powinien przecież okazać miłość Kowalskiej, prawda? Przeliczyć na złotówki swoje przywiązanie, namiętność, przyjaźń czy przyzwyczajenie. Kupić pierścionek zamiast papierowej kartki z życzeniami. Bukiet kwiatów zamiast pojedynczej róży.

Dla handlowców walentynki były okazją do większego utargu, wietrzenia magazynów, podwyższania cen, by następnie je obniżyć i nazwać promocją.

Gdy Anka dotarła na drugie piętro, bez problemu znalazła interesujący ją sklep.

– Przepraszam. Potrzebuję pomocy – zagadnęła ekspedientkę.

– Tak?

– Potrzebuję fajnych jeansów.

– Rozumiem. Jaki rozmiar?

Dziennikarka podała dziewczynie wyglądającej na znudzoną studentkę dwie liczby opisujące długość nogawki i szerokość pasa.

Sprzedawczyni metodycznie przeglądała regał zajmowany przez setki par spodni i wyjmowała kolejne egzemplarze teoretycznie mające pasować na klientkę.

– Proponuję takie. – Rozwijiała spodnie, określała je zwięźle, po czym odkładała na bok i szukała kolejnej pary. – Zwężane z przetarciami. Obniżony stan. Tu mam jaśniejsze. Może rozszerzane nogawki? Tradycyjnie niebieskie z widocznymi przetarciami z tyłu....

Kupka z propozycjami rosła w na tyle szybkim tempie, by Anna zaprotestowała:

– Nie! Niech pani nie wyciąga więcej.

– Nie? – zdziwiła się dziewczyna. – Przymierzy pani któreś z tych? – Wskazała na leżące jeansy. – Te z przetarciami z tyłu bardzo dobrze leżą. Podkreślają pośladki.

– Nie chcę przetarć. Potrzebuję dokładnie takich samych spodni jak te, co mam na sobie. – Rogozińska spojrzała na proste ciemne nogawki przykrywające jej nogi opakowane dodatkowo w leginsy pełniące funkcję bielizny termicznej. – Takich samych, tylko nowych.

– Takich samych? A jaki to model?

– Nie wiem.

Anna nie miała ochoty bawić się w rozbieranie i przymierzanie zaproponowanych par spodni, by po kilkunastu minutach stwierdzić, że najlepiej wygląda w swoich jeansach. Starych i za bardzo spranych, ale jednak najlepiej skrojonych.

– Pani pozwoli, że zajrzę na metkę?

– Proszę.

Sprzedawczyni wykonała ruchy wyglądające z boku na dziwne. Stała za dziennikarką, uniosła delikatnie bluzkę i odczytała rozmiar spodni, które miała na sobie klientka. Bez słowa podeszła do najbardziej oddalonego regału i wyjęła produkt.

– Ooo, ma pani szczęście. Znalazłam, chociaż z tego modelu nie mamy pełnej rozmiarówki. Zanieść do przymierzalni?

– Nie, proszę od razu do kasy.

Kiedy Rogozińska czekała na zrealizowanie płatności kartą, pomyślała: – Chyba się zestarzałam. – To było niepokojące.

Nie zauważyła nawet, kiedy się upodobniła się do świętej pamięci ojca – upierdliwego, ale kochanego. Stanisław od zawsze kupował sobie nowe rzeczy... dokładnie takie same jak poprzednie, co sprawiało wrażenie, że przez lata nosi dokładnie te same jeansy, te same swetry. Rozpacział, kiedy dany model wycofywano z produkcji. Kiedy zmieniała się moda. Kiedy musiał spośród kilkudziesięciu propozycji wybrać jedną. Opracował więc przebiegły sposób kupowania kilku takich samych rzeczy naraz, aby tym samym wyeliminować problem rozpaczy. Przynajmniej na jakiś czas.

\*

– Anno, przepraszam nie dam rady dziś się z tobą spotkać. Coś mi wypadło.

– Rozumiem.

– Nie gniewasz się? – dopytywał Zawodny.

– Nie. Wyluzuj.

Nie kłamała. Uczucia, z którymi musiała się uporać, nie miały nic wspólnego z gniewem. Chciała się dowiedzieć, czym było to „coś”, co przeszkodzi w ich wieczornym spotkaniu. Nie zamierzała jednak pytać. To, że nie okazywała zazdrości, nie oznaczało, że jej nie czuła.

– Przepraszam, wolałbym spędzić wieczór z tobą niż w pracy, ale jak sama wiesz, czasem trzeba się dopasować.

– Jasne.

– Widzimy się jutro?

– Tak.

– Wpadnę o siedemnastej, zjemy razem obiad?

– Jeśli zrobisz...

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia.

– Pa.

Anka odłożyła telefon i włączyła radio. Katy Perry w hicie kojarzącym się z letnią aurą pytała: „Czy chcesz igrać z magią?”. Etniczne rytmy i tekst rytmicznie wypowiedziany przez Juicy J sprawiały, że dziennikarka miała ochotę ugiąć nogi i potrząsać biodrami oraz piersiami.

Nie mogła tego zrobić. W tej chwili siedziała w samochodzie i starała się przebić przez zakorkowane miasto. Zastanawiała się, czy jechać prosto na basen czy najpierw wpaść do domu.

– Dobra. Najpierw dom – zdecydowała – potem basen, a na końcu wolny wieczór. Wolny wieczór... coś trzeba z nim zrobić...

Wyłączyła radio i w komórce odnalazła numer Wiktora. Niezagospodarowaną końcówkę dnia postanowiła wypełnić pracą. Dokładniej, spotkaniem zawodowym z przystojnym prokuratorem. Połączyć przyjemne z pożytecznym.

– Tak?

Usłyszała jego głos i przypomniała sobie zapach Wiktora.

– Cześć, to ja.

Odpowiedziała jej cisza.

– Wiktor! Proszę cię. Spotkaj się ze mną. Nie musisz mówić ani słowa. Wysłuchaj mnie. O nic więcej nie proszę...

\*

Gdy dotarła na miejsce, dochodziła godzina dwudziesta trzecia trzydzieści. Minęła Kinopolis, obiekt z osiemnastoma salami kinowymi, i zjechała za parkingiem w lewo. Była podekscytowana. Niewiele widziała. Otaczały ją ciemność i płatki śniegu spadające na szybę citroena. Samochód powoli toczył się po śliskiej drodze.

To prokurator zaproponował miejsce spotkania. Podał późną godzinę, bo zależało mu na minimalnym ruchu na drodze. Nie chciał spotkać się w kawiarni ani wpaść na kawę do mieszkania Anki. Pielęgnował obsesję posiadania czystych rąk, utrzymywania przejrzystych znajomości oraz unikania dwuznaczności.

Oczy Rogozińskiej, nieprzyzwyczajone do ciemności, z ledwością wypatrzyły samochód Brauna. Stał między jezdnią a słupami podtrzymującymi wiadukt. Miał wyłączone światła. Zjechała na bok i wysiadła z samochodu. Czapkę i szal zostawiła na siedzeniu. Zapomniała o zimowej aurze. Była skupiona na czymś innym. Poza tym miała do pokonania najwyżej trzy metry.

Mróz momentalnie ugasił jej ekscytację. Wiatr niczym spragniony bliskości kochanek rozchylił połacie niezapiętej kurtki. Nie zdążyła zareagować. Poczula, że zimno bez problemu przedziera się przez termoaktywną koszulkę i polarową bluzę.

– Dobry wieczór. – Wsiadła do samochodu prokuratora i trzasnęła drzwiami.

Silnik prokuratorowskiej corsy cały czas pracował, dzięki czemu we wnętrzu nie czuło się przerażającego zimna.

– Cześć. – Wiktor się skrzywił i spojrzał na drzwi, jakby z obawą, że je uszkodziła.

– Ale konspiracja! Jak w szpiegowskim filmie – zażartowała, aby wysondować nastrój rozmówcy. – Dziękuję, że zgodziłeś się spotkać. Godzina jest OK. Co prawda, zastanawiałam się, czy przyjechać w pidżamie czy nie... ale na twoje szczęście jest zima. W pidżamie zamarzyłyby mi nogi.

Wiktor nie zareagował. Ręce trzymał na kierownicy i patrzył się przed siebie.

– Dobra, przejdę do konkretów – skapitulowała. – Na sylwestrowej balandze Grzesia Króla bawiło się czterech facetów. Król, Spychalski, Przemek i Krupa. Dwaj z nich nie żyją.

– Skąd znasz ich nazwiska? – Odwrócił się w jej stronę.

W samochodzie panował półmrok. Odrobina światła docierała z odległej latarni. Na kokpicie świecił się panel radiowy. Rogozińska widziała twarz Wiktora, który uważnie się jej przyglądał. Wyglądał zupełnie inaczej niż ostatnio. Bez białej koszuli, garnituru, krawata.

– Znam – odpowiedziała hardo. Nie ujawniała źródeł informacji. – Nie doceniasz mnie.

– Nie ma nic gorszego, niż nie doceniać przeciwnika...

– Prokuratorze, chyba nie traktujesz mnie jak przeciwnika?

– Ja? – Uśmiechnął się.

Zrobił to po raz pierwszy od bardzo dawna. Pamiętała ten wyraz twarzy. Używał go często. Kiedyś, gdy miał trochę lat mniej i przychodził do jej ojca. Wtedy jeszcze nie był prokuratorem.

– Przecież nie ja. Powiedziałeś...

– Co dokładnie powiedziałem?

– Że jestem twoim wrogiem...

– Nieprawda – zaprotestował. – Co prawda, nie jesteś moim przyjacielem, ale nie powiedziałem, że jesteś wrogiem. Wiesz, że *ludzie nigdy nie pamiętają, co dokładnie powiedzieli? Wydaje im się, że wiedzą, ale w istocie wcale tak nie jest. Mogę zacytować stronę notatek świadkowi, sparafrazować cytaty, a większość ludzi nadal będzie przysięgać, że dokładnie to powiedzieli, ponieważ sądzą, iż wszystko zapisałem i odczytuję słowo po słowie*[\[12\]](#).

– Wiem. Ale trafnie to ująłeś.

– To nie ja. To Vail.

– Kto?

– Adwokat z kultowej książki. *Pierwotny strach*. Cytowałem Vaila.

– Aha. Bystry facet.

– Bystry, pragmatyczny, agresywny i cyniczny.

– Aaa, to już wiem, dlaczego go polubiłeś. Pasujecie do siebie!

Trafiła w czuły punkt. Połechtala go przyjemnie. Chętnie słuchałby pochlebstw przez całą noc, zwłaszcza z ust atrakcyjnej kobiety. Otaczały ich dość romantyczne warunki. Idealne na potajemną randkę.

– Dlaczego mnie tu ściągnęłaś? – przypomniał sobie o tym, że jest prokuratorem i że nie powinien utrzymywać prywatnych relacji z dziennikarką telewizyjną.

– Tu, mój drogi, ściągnęłaś sam siebie. Ja zapraszałam do knajpy albo do mnie.

– Wiesz, jak jest.

– Dobra, dobra. Wróćmy do sedna sprawy. Dwóch uczestników jednej imprezy umiera w ciągu dwóch tygodni. Nie wmówisz mi, że to zbieg okoliczności.

– Powiedziałbym raczej nieoficjalnie...

– Wiktor – odruchowo dotknęła jego ramienia, jakby chciała go uspokoić – możesz być pewien. W środku nocy siedzę w twoim samochodzie. Jestem potargana i ubrana w domowy dres. To nie jest oficjalne spotkanie. Wszystko, co zechcesz mi powiedzieć albo chociaż potwierdzić, zostanie między nami. Nigdy nie ujawnię źródła ani nie wypuszczę informacji w sposób, który mógłby zdradzać, że pochodzą one od ciebie.

– Wierzę – przyjął z ulgą takie oświadczenie. – Dlatego powiedziałbym, że to są raczej skutki korzystania z niebezpiecznych zabawek niż zbieg okoliczności.

– Cieszę się, że to mówisz. Dokładnie tak samo pomyślałam. Zastanawia mnie,

jak bardzo w sprawę miesza się Król? Ingeruje? Pociąga za sznurki?

– Jak twój materiał o dopalaczach?

– Robi się – uznała, że dziś nie będzie dopytywać o polityka. Czasami brak odpowiedzi na pytanie mówi więcej niż proste „tak” lub „nie”. – Dlaczego nic nie robicie ze sklepami, w których sprzedają to gównu?

– Robimy to, co możemy...

– A jeśli przyszedłbym do ciebie oficjalnie i powiedziała: „tu i tu handlują dopalaczami”, to zamknąłbyś ten sklep?

– Jeśli w zawiadomieniu wskazałabyś, że w tym sklepie sprzedawane są dopalacze zawierające niedozwolone substancje, musiałbym podjąć przynajmniej czynności sprawdzające.

– Zaraz, zaraz. Substancje niedozwolone, czyli te z listy?

Ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii zawierała kilkustronicowy załącznik z wykazem środków odurzających.

– Właśnie. Warunkiem wszczęcia śledztwa jest uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa. Artykuł trzysta cztery Kodeksu postępowania karnego. Nie mogę wszczynać śledztwa bezpodstawnie, nie mogę ulegać presji publicznej czy namolnym dziennikarkom.

– Przykre to – podsumowała Anka. – Prawo kuleje, handlarze się bogacą, a ludzie umierają. Po spektakularnych działaniach i uspokojeniu społeczeństwa żyjemy w czarnej dupie. Ale wydaje nam się, że rząd świetnie poradził sobie z problemem.

\*

Dawno zбочyli z tematów zawodowych i bardzo dobrze czuli się w swoim towarzystwie. Wspominali wspólne obiady w rodzinnym domu Anny oraz specyficzne metody wychowawcze Stanisława Rogozińskiego. Mimo że Wiktor był jedynie jego studentem, ojciec Anki traktował go jak syna.

– Wiedziałaś od początku, że się znają. – Robiło się coraz później. Anka uznała, że powinna już wracać do domu, dlatego zdecydowała się na koniec spotkania powrócić do sedna sprawy.

– Kto?

– Nie zgrywaj się. Ofiary.

– Nie.

– Masz przecież protokoły. Widziałaś nazwiska świadków w aktach pierwszej sprawy, a jedno z nich jest zbieżne z nazwiskiem denata w drugiej.

– Aniu, zachowujesz się, jakbyś nie miała pojęcia o pracy prokuratora. Niestety, prowadzę więcej spraw niż te dwie, które ciebie interesują... – Był zmęczony późną porą, ale przebywanie w towarzystwie córki dawnego promotora, na uboczu miasta,

w ciasnym samochodzie niosło za sobą również miłe doznania.

Ich osobiste zapachy wzmocnione perfumami zdążyły wymieszać się ze sobą jak yin i yang. Kobieta oddziaływała na mężczyznę, mężczyzna – na kobietę, a zapachy uderzały im do głowy.

– Wiem, że masz dużo pracy, ale jesteś bystry, inteligentny i masz dobrą pamięć. Nie wierzę, że nie zauważyłeś zbieżności nazwisk.

– Naprawdę nie zauważyłem. Prowadzę jednocześnie sześć śledztw i obsługuję swoje sprawy w sądach jako oskarżyciel. Dziennie przez moją głowę przewija się kilkanaście, czasem kilkadziesiąt nazwisk. Ofiary, świadkowie, podejrzani, policjanci, eksperci, obrońcy... Mam pamięć do twarzy. Gdybym widział tego Spychalskiego podczas przesłuchania, od razu skojarzyłbym denata z sylwestrowym skokiem z balkonu.

– Nie rozmawiałeś z nim?

– Robili to policjanci. Ja czytałem protokoły. Gdybym miał osobiście przesłuchiwać wszystkich... – Wiktor Braun spojrział na Ankę. – Tak działa system.

Czy te oczy mogą kłamać? – zadała sobie pytanie w myślach. Prokurator wyszkolony przez jej ojca wydawał się szczerzy, otwarty i prawdomówny. Im dłużej siedziała w jego samochodzie, tym więcej zauważała zalet mężczyzny. Był przystojny. Bardzo przystojny.

Podobała jej się intelektualna potyczka z Braunem. Stawiał opór, który udało jej się pokonać. Teraz zachowywał się normalnie – jak człowiek, który ograniczenia wynikające ze swojej pracy zostawia w biurze. W końcu mogła rozmawiać z Wiktorem, a nie prokuratorem Braunem.

– Ale teraz już wiesz... Spychalski był kumplem Króla. Co dalej?

Wiktor westchnął.

– Zakończyłem śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci Grzegorza Króla.

– Zakończyłeś? Z jakim skutkiem?

– Umorzyłem wobec braku danych uzasadniających popełnienie czynu zabronionego.

– Czyli nie znalazłeś dowodów na to, że ktoś go zabił?

– Właśnie.

– Popełnienie czynu... jak to pięknie brzmi. Tak luksusowo. Pasuje do waszych eleganckich garniturków! – Zdenerwowała się.

– Aniu, uspokój się. – Teraz on złapał ją za rękę, po czym przerażony tym, co zrobił, puścił. – To sformułowanie kodeksowe, którego niestety muszę się trzymać.

Przemknęło jej przez myśl, że być może Braun jest mężczyzną idealnym. Zdecydowanym, męskim, mądrym, podejmującym racjonalne decyzje w mgnieniu oka, interesujący dla płci przeciwnej, a jednocześnie lodowaty jak płytki podłogowe

w Prokuraturze Okręgowej w Poznaniu. Piękne, błyszczące i sterylne. Idealne do podziwiania. Tak idealne, że aż niepokojące.

– Dobrze, trzymaj się swoich bezpiecznych sformułowań kodeksowych, a ja będę wierna temu, co czuję. Nie postawię znaku równości między zabójstwem a popełnieniem czynu.

– Kierują tobą emocje. Rozumiem. Ale proszę, z uwagi na to, jak długo się znamy... zapamiętaj. *Nie wierz nikomu i niczemu. Nie wierz w to, co widzisz, słyszysz i czytasz. I na Boga, nie ufaj uczuciom*<sup>[13]</sup>.

– Co to za farmazony? Znowu te twoje prawdy wypowiedane przez adwokata, który radzi sobie jedynie na kartach powieści?

Wiktor nie zareagował. Mógłby bronić ulubionego bohatera literackiego, ale wtedy wymiana zdań urosłaby do rangi konfliktu. Wolał przeczekać wybuch Anny.

Przednią szybę samochodu całkowicie zasypał śnieg. Radio poinformowało o rozpoczęciu kolejnego dnia. Rogozińska odezwała się po kilku minutach spędzonych w ciszy.

– Jedną sprawę umorzyłeś, a co z drugą? Obie ofiary miały przecież we krwi tę samą substancję...

– Skąd wiesz? – Zdziwienie prokuratora mieszało się z podziwem.

– Nie tylko ty jesteś świetny w tym, co robisz. – Lubiała, gdy ludzie byli pod wrażeniem jej wiedzy. Chciała zaimponować Braunowi. Sprawić, by traktował ją poważnie. By jej zaufał. – Sprawę Spychalskiego też umorzysz?

– Jeszcze nie wiem. Jeśli nie znajdę tropu wskazującego na udział osoby lub osób trzecich, to będę musiał.

– Jeśli nie znajdziesz? Czyli jeszcze niczego nie masz? Sprawdź proszę ojca Grzegorza, Ksawerego Króla. Na moje oko wydaje się mieć coś wspólnego ze śmiercią...

– Aniu, prokuratura nie działa na oko. Potrzebuję niezbitych dowodów. Czegóż, co będę mógł zaprezentować w sądzie.

---

[12] W. Diehl, *Pierwotny strach*, s. 52 w przekładzie A. Polak, Wydanie I, Warszawa 1995.

[13] Tamże, s. 141.



## ROZDZIAŁ 13

### 14 dni do walentynek

Podczas przerwy w napiętym programie maniaka telewizyjnego Renata Rogozińska postanowiła poudzielać się towarzysko. Przygotowała malinową herbatę, ciasteczka i telefon komórkowy.

Za pół godziny miała rozpocząć się powtórka jej ulubionego serialu, więc usiadła przed telewizorem, wyłączyła głos i jednym okiem obserwując, co dzieje się na ekranie, wybrała w komórce numer córki.

– Witaj kochanie, co u ciebie słyszę? – zaszczebotała.

– W porządku.

– Nie boli cię gardło?

– Nie.

– Dbasz o siebie? Zakładasz czapkę, gdy wychodzisz z domu, czy jak kiedyś chowasz ją do torebki?

– Dbam, dbam. Czapkę mam na sobie.

– To dobrze.

Córka, podobnie jak jej świętej pamięci ojciec, nie potrafiła opowiedzieć, co u niej słyszeć. Nie używała pełnych zdań. Jedynie przytakiwała lub zaprzeczała.

– Wiesz, pani Grażynka z naprzeciwka miała wypadek. Poślizgnęła się na chodniku, upadła i złamała nogę w dwóch miejscach.

Renata w odróżnieniu od reszty rodziny umiała rozwlekać wypowiedzi w nieskończoność. Potrafiła z informacji, którą córka przekazałaby w jednym zdaniu, stworzyć kilkuminutowe opowiadanie.

Herbaty ubywało, kruchych ciastek również, a matka przekazywała córce niezwykle istotne, w swoim mniemaniu, szczegóły niezbędne do zrozumienia opowiadanej historii.

– Tak mi smutno, bo Grażynka jest przecież samotna. Ma co prawda męża, ale akurat dzień przed wypadkiem wyjechał do sanatorium, żeby leczyć się na wrzody. Wróci za trzy tygodnie. Swoją drogą, ciekawe, ile babek tam poderwie, bo z niego taki casanova jest, że hej. Taki nasz pobiedziski podrywacz. Grażyna ma też syna, ale żyje tak, jakby go nie miała. Chłopak studiował malarstwo w Warszawie i pojechał na jakąś wymianę studencką. Gdzieś daleko. Do Stanów chyba. Tam poznał Wietnamkę, no wiesz, taką dziewczuszkę o skośnych oczach, i się zakochał. Do Polski nie zamierza wrócić nigdy. Raz do roku przesyła matce list i parę zdjęć...

\*

– Od kilku dni boli mnie też wątroba. Dzwoniłam do przychodni. Nie mają

terminów. Do lekarza mogę pójść sobie prywatnie albo poczekać, aż będę w stanie zagrażającym życiu. Wtedy ktoś raczy mnie zbadać. – Matka traktowała córkę jak telefoniczną księgę wniosków i zażaleń. Prowadziła ten monolog przez dobre dziesięć minut.

Anna położyła telefon na ławce i zdjęła z siebie niepotrzebne ubrania.

– No – mruknęła do słuchawki, gdy ponownie przyłożyła ją do ucha.

To nie było dobre miejsce na prowadzenie rozmów z matką, ale w ciągu ostatniego tygodnia już dwukrotnie skracała rozmowę z matką, tłumacząc się brakiem czasu. Tym razem obiecywała sobie, że wytrwa do końca.

W życiu każdej kobiety pojawiają się kolejne etapy świadczące o upływającym czasie. Etap zabawy. Etap zakochania. Etap zakładania gniazda. Etap narzekania na męża lub narzekania na jego brak. Matka dziennikarki niedawno weszła w kolejny... Długi i trudny dla otoczenia. Całkowicie pozbawiony optymizmu. Etap rozmów o trapiących ją dolegliwościach.

Podczas tej fazy nawet najmniejsze zadrażnienie, wrastający paznokieć czy ból brzucha mogą prowadzić do śmierci. Dlatego największą rozrywką kobiety jest przesiadywanie przed gabinetami lekarskimi i opowiadanie innym pacjentom o chorobach i wszelkich dolegliwościach. Swoich, znajomych i znajomych znajomych. Opowiadanie i słuchanie, by w razie czego móc zasłyszone objawy odnaleźć u siebie i zdiagnozować się szybciej, niż zrobi to lekarz.

– Ale jaki pech. Zepsuł mi się ciśnieniomierz. Teraz w ogóle nie wiem, czy mi serce wytrzyma. Ile kosztuje nowy? Może mogłabyś przy okazji rzucić okiem na ten stary? Może da się go naprawić.

Rzucenie okiem na coś, co znajduje się w Lednogórze, oznaczało tylko jedno. Zawołowaną propozycję przyjazdu. Lub konieczność pokonania kilkudziesięciu kilometrów w śniegu.

Interpretacja zależała od punktu widzenia.

– Dobra, przyjadę. – Anka miała dość zawracania głowy. W tej chwili zgodziłyby się na wszystko.

Od kilku minut stała ubrana w strój kąpielowy i czekając na koniec rozmowy, przebierała nogami. Z basenu dochodziły radosne krzyki dzieci. Czas uciekał, a tory na basenie sportowym wolne były jedynie do dziewiętnastej. Później zajmowała je grupa początkujących nurków.

Na dziś Rogozińska miała dokładny plan. Pokonanie trzydziestu basenów kraulem. Ambitny, ale tylko takie stanowiły motywację, a ich realizacja dawała dziennikarce siłę.

Dawno nie byłam w biurze.

Ta myśl błysnęła, gdy Anna rozglądała po kawiarni. Pojawiła się i nie mogła opuścić dziennikarki.

Rzeczywiście, Anna ograniczała czas spędzony w redakcji do niezbędnego minimum. Nie miała wyjścia. Czowała się tam źle. Tak samo jak rozwódka zajmująca to samo mieszkanie co były mąż. Starająca się nie zauważać skąpo ubranych kobiet przemyskających do łazienki. Zagłuszająca odgłosy dochodzące zza ściany. Dźwięki, które świadczą o dobrej zabawie... byłego ukochanego i obcej kobiety.

Miejsce niby to samo. Ludzie ci sami. Nic się nie zmieniło. Nic oprócz punktu widzenia.

Miejsce spotkania wybrał Bartek Krupa. Rogozińska zjawiła się kilka minut przed umówioną godziną. Wybrała stolik, z którego mogła obserwować ludzi wchodzących do lokalu, i na rozgrzanie zamówiła herbatę malinową.

Zanim kelnerka przyniosła filiżankę, imbryk i mały talerzyk z konfiturą malinową, Anna zdążyła rozejrzeć się wokoło. Mimo wczesnej pory nie była w lokalu sama. Przy stoliku znajdującym się w rogu siedziały dwie dziewczyny. Trzymały się za ręce.

– Cześć. – Kilka minut później stanął przed nią mężczyzna. Twarz zakrywał kapturem, ale gdy zajął miejsce, zdjął go i się uśmiechnął. – Wyglądasz tak samo jak w telewizji.

– Dziękuję. Bartek? – Rozpoznała jego głos, ale wolała się upewnić.

– Tak. Witaj, Anno.

Uścisnęli sobie dłonie. Mężczyzna zamówił cappuccino, a Anna przesunęła na koniec stolika papierowy stojak w kształcie serca, informujący o możliwości zrobienia rezerwacji na najbardziej romantyczny wieczór w roku.

– Cieszę się, że się odezwałeś...

Bartek zadzwonił wczesnym rankiem. Anka leżała w łóżku i próbowała odzyskać świadomość. Numer zastrzeżony. Nie odbierała połączeń od obcych przed dziewiątą. Po pięciu minutach dostała SMS-a.

*Muszę z Tobą porozmawiać. Jestem kolegą Grzecha i Fabiana. Odezwij się, dopóki żyję.*

Odpisała, a on zadzwonił. Wskazał kawiarnię oraz godzinę spotkania. Pierwszą wolną w jej planie zajęć. Rogozińska czuła niepokojącą determinację w głosie mężczyzny. Próbowała uściślić temat rozmowy, ale Bartek reagował nerwowo. Chciał rozmawiać i jednocześnie się wycofywał.

Zaproponowała, że przyjdzie na spotkanie z operatorem. Zaprotestował kategorycznie, zaznaczając, że obecność kamer lub innego sprzętu rejestrującego jego postać lub głos sprawi, że nie przekaze jej bardzo ważnych szczegółów sylwestrowego spotkania.

– Namówiła mnie dziewczyna Fabiana. Powiedziała, że jesteś spoko i mogę tobie zaufać. Mam nadzieję, że się nie myliła.

– Miała rację. O czym chciałeś rozmawiać? – Dziennikarka wyjęła z torebki notes i długopis.

– Jesteś sama?

Wyglądał na nieco młodszego od Rogozińskiej. Był przestraszony i zmęczony. Brązowe oczy otoczone sinymi cieniami histerycznie lustrowały otoczenie.

– Tak.

– A sprzęt nagrywający?

– Nie mam. Dostosowałam się do twoich warunków. Jestem czysta. Chcesz sprawdzić moją torebkę? Co mam zrobić, żebyś zaczął mi ufać?

– Ufam tobie. Gdyby było inaczej, nie przyszedłbym...

– To przejdźmy do rzeczy.

– Wyjmij komórkę i pozbądź się baterii!

Kolejne żądanie zabrzmiało komicznie. Popijała herbatę, siedząc w miejscu, w którym ludzie spotykali się na romantyczne randki, szybkie kolacje lub przyjacielskie pogaduszki. Bartek Krupa zachowywał się, jakby uciekł prosto z planu filmu szpiegowskiego.

Ta sytuacja bawiła Rogozińską. Kobieta wykonała polecenie Bartka i z trudem powstrzymywała głupawy uśmiech. Podczas wczorajszej nocy prowadziła półlegalne rozmowy w samochodzie ukrytym w ciemności. Dziś wyjmowała baterię z telefonu, jakby przyszła na audiencję do szefa mafii.

– Ostrożny jesteś.

– Wolę być ostrożny niż martwy.

Kelnerka przyniosła zamówione cappuccino, a Krupa od razu zanurzył w nim usta.

– Coś ci grozi? – spytała szeptem Rogozińska.

– Posłuchaj. Byliśmy zgraną paczką. – Zareagował impulsywnie, jakby chciał wyrzucić z siebie jakąś tajemnicę. Zatrzymał się jednak i przez chwilę milczał. Połykał kolejne porcje kawy, jakby miały one dodać mu odwagi. W końcu zdecydował się kontynuować: – Grzechu, Fabian, Piotrek i ja. Bardzo zgraną. Gdy się poznaliśmy, byliśmy różni. Podstawówki jakoś nas ukształtowały... a to były zupełnie inne szkoły. Ale gdy spotkaliśmy się w liceum, od razu wiedziałem, że będziemy tworzyli nierozzerwalną paczkę. Szybko się do siebie dopasowywaliśmy. Wykorzystywaliśmy swoje zalety, ukrywaliśmy słabości, dawaliśmy sobie alibi, poznawaliśmy smak życia. Byliśmy jak czterej muszkietierowie.

– To było prywatne liceum, prawda?

– Tak, klasy złożone z pompatycznych dzieciaków pompatycznych rodziców, które albo za bardzo skupiają się na średniej ocen, albo za bardzo usiłują zwrócić na

siebie uwagę swoimi wybrykami.

– A po liceum? Nadal się przyjaźniliście?

– Wiesz, jak to jest. Życie nas porzuciło w różne miejsca. Piotrek został w Poznaniu. Studiował prawo. Ja wyjechałem do Warszawy, aby uczyć się teorii biznesu od najlepszych. Zamieszkałem z Grześkiem, bo on też dostał się na SGH. Podzieliliśmy się na dwa obozy. Warszawski i poznański. Po pięciu latach wróciliśmy do stolicy Wielkopolski. Mieliśmy tak wiele pomysłów. Spotkaliśmy się z chłopakami na piwie i reaktywowaliśmy naszą paczkę. Zmieniliśmy się, dojrzeliliśmy, ale nadal idealnie do siebie pasowaliśmy. Spotykaliśmy się kilka razy w tygodniu. Czasem na mieście, na piwie, czasem wychodziliśmy wyrwać jakieś panny w klubie. Spotykaliśmy się też w swoich mieszkaniach. Sylwestra organizował Grzechu. Akurat rozstał się ze swoją panną i miał wolną chatę. Zarządził męski spęd.

– Bawiliście się tylko w swoim gronie? W sylwestra? Bez dziewczyn? Rozumiem, że swoje zostawiliście w domach, ale może zadzwoniliście po jakieś tancerki?

– Nie. Nie chcieliśmy orgii. Mieliśmy parę spraw do omówienia. Wypiliśmy trochę wódki. Chłopacy się pokłócili.

– Którzy?

– Grzechu i Fabian.

– O co?

– Nie wiem. Byli w pokoju obok. Coś krzyczeli, ale u nas grała muzyka. Nie wiem, o co chodziło. Myślałem, że głośno dyskutują. Potem Fabian wrócił do pokoju, w którym siedzieliśmy. Za nim przyszedł Grzechu. Coś tam jeszcze pokrzykiwali.

– Ale co?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Nie byłem całkiem trzeźwy.

Anka chciała zapytać o dopalacze, ale nie zamierzała dopuścić do tego, żeby Bartek stracił wątek. Zanotowała więc w notatniku, żeby wrócić do tego później.

– Spróbuj sobie przypomnieć...

– Chyba poszło im o kogoś. Zanim się pobili, Fabian krzyknął coś... nie wiem, czy dobrze pamiętam... Chyba „trzymaj go ode mnie z daleka, bo inaczej go zajebię”.

– Pobili się?

– Tak, Grzechu odpowiedział „prędzej sam cię zajebię” i rzucił się z pięściami na Fabiana.

– Jesteś pewien, że się bili? – Rogozińska nie słyszała, by Grzegorz Król nosił ślady pobicia.

– Odciągnęliśmy ich od siebie, zanim zdążyli przejść od fazy złapania się za gardła i prezentacji strasznych min do fazy prawdziwych ciosów.

– I co dalej?

– Nic. Grozili sobie wzajemnie, aż wypiliśmy kilka głębszych i zmienił im się nastrój. Potem Grzegorz wypadł z balkonu, a ja zadzwoniłem po policję. Znaczą się

zadzwoniliśmy. Wszyscy.

– Jak wtedy zachowywał się Fabian?

– Tak samo jak my. Wyrzeźwiał prawie od razu. Nie mogliśmy uwierzyć w to, co się stało. Grzegorz zniknął za balustradą. Myślałem, że się wygłupia, że zszedł na balkon do sąsiada z piętra niżej. Nie wiem. Nie było czasu na rozmowy. Wybiegliśmy na podwórko i nagle okazało się, że Grzegorz wypadł. Tak naprawdę. Tym razem nie żartował.

– Mówiłeś, że niewiele pamiętasz, bo byłeś pijany.

– No i?

– Ja wiem, że byłeś też naćpany.

– Nieprawda, nie biorę narkotyków.

– Ale z dopalaczami lubisz się bawić, prawda?

– One nie są niebezpieczne. Ani zakazane. Jak się wie, jak z nich korzystać, to można sobie pomóc... się skupić albo się zrelaksować.

– Tamtej nocy też braliście?

– Tak.

– Widziałeś, jak Grzegorz wyszedł na balkon?

– Widziałem, jak był na balkonie. Wszyscy widzieliśmy. Wołałem go. Siedzieliśmy na kanapie, a on się chłodził na balkonie. Nagle zniknął.

– I?

– I... – Rozpląkał się. – Wywołał u nas napad śmiechu. Był i zniknął. Jak agent specjalny. Śmialiśmy się do rozpuku. Czekaliśmy, aż wyjdzie zza barierki. Dopiero Fabian poszedł na balkon, żeby sprawdzić, na czym polega sztuczka, i wtedy się okazało, że Grzegorza nie ma.

– Grzegorz też był po dopalaczach?

– Tak. Wzięliśmy je razem.

– A skąd mieliście towar?

– Ze sklepu z upominkami.

– Zapisz mi adres – podała notatnik.

Nakreślił kilka liter i cyfrę. Powiedział też, o co powinna poprosić w sklepie. Zapadła cisza.

– Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? Szukasz rozgrzeszenia?

– Nie. Naprawdę myślisz, że jakiegokolwiek rozgrzeszenie pomoże? Że pokuta zadana przez faceta w czarnej sukience może mi ulżyć? Że twoje zrozumienie ma jakieś znaczenie? Nie. – Podkrążone oczy ponownie rozejrzały się histerycznie wokoło. – Boję się. O siebie. Chłopacy pokłócili się na imprezie. Poszarpali się, ale nie powiedzieliśmy o tym policji. Nieraz się kłóciliśmy i szarpaliśmy. Mimo przybywających lat byliśmy tymi samymi chłopakami ze szkolnego korytarza. Policja by tego nie zrozumiała. Nie chcieliśmy, by Fabian był podejrzany o zabójstwo.

Uznaliśmy, że ten szczegół trzeba przemilczeć.

– Boisz się? Kogo?

– Boję się...

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie jestem pewien. Boję się o swoje życie.

Mężczyzna był autentycznie przestraszony. Żył w stresie od kilku dni. Był zmęczony i wyczerpany. Wyznanie Bartka zabrzmiało jednak dziwnie w kawiarnianym otoczeniu. Anna obserwowała rozmówcę. Jego rozbiegany wzrok, trzęsące się dłonie i przyspieszony oddech. Starła się ocenić, czy jego lęk jest uzasadniony czy wynika z przedawkowania substancji psychoaktywnych.

– Powiedz, proszę, co bierzesz? Co braliście tamtej nocy?

– Nie żyje Grześ, nie żyje Fabian... – zignorował jej pytanie. – Może teraz moja kolej?

– Czego ode mnie oczekujesz?

– W filmach zawsze jest tak, że ktoś, kto czuje, że umrze, powierza swoją tajemnicę mediom, by mogły ją ujawnić po jego śmierci.

– Człowieku – dziennikarce udzieliła się nerwowość Krupy – co ty do mnie mówisz? Jeśli naprawdę myślisz, że ktoś cię zabije, powinieneś pójść na policję.

– Nie mogę, bo wtedy... będę wystawiony na śmiertelny cios. A tak, nie wiem, może jednak ucieknę, wyjadę, nie wiem.

– Kogo się boisz? Powiedz mi, proszę.

– Ich wszystkich.

– Nie wiem, czy mogę ci pomóc. Powinieneś porozmawiać ze specjalistą. – Anka spojrzała na zegarek. Powinna skończyć rozmowę i wracać do pracy. Zwłaszcza że nie mogła złapać kontaktu z Krupą. Opowiadał o swojej paranoi, ignorując pytania dziennikarki.

– Ze specjalistą? Nie wierzysz mi.

Spojrzał na nią tak, jakby chciał ją zabić wzrokiem.

– Nie będę marnował twojego czasu. – Wyjął z portfela dwadzieścia złotych i położył na stoliku. – To był błąd. Dziewczyna Grześka nie miała racji. Nie powinienem z tobą rozmawiać. Jesteś z nim w zмовie. – Krupa wstał od stolika.

– Z kim? – Roześmiała się Anka. Cieszyła się, że ich rozmowa dobiega końca.

Ceniła swój czas. Nie trwonila go na bezproduktywne paplanie. Nie rozmawiała z ludźmi, którzy jej nie interesowali. Nie zamierzała słuchać paranoicznych wyznań.

– Z Królem.

– Z Ksawerym Królem? – uściśliła.

Bartek Krupa wstał od stolika, założył kurtkę i był gotowy do opuszczenia kawiarni. Anka złapała go za rękę i przyciągnęła do siebie, by spytać szeptem:

– Boisz się Króla?

– Nie bez powodu. Groził Fabianowi. Nie wiem, z jakiego powodu, ale groził, a teraz on nie żyje. – Bartek wyrwał kościstą rękę i wybiegł z kawiarni, jakby chciał uciec przed wypowiedzianymi obawami.



## ROZDZIAŁ 14

### 13 dni do walentynek

– Poczekaj. Zaraz wracam. Gdy tylko wyjdę, możesz zacząć kręcić. – Anna zostawiła Artura na ulicy Mostowej i sama udała się do sklepu.

Przystanęła na chwilę przed witryną. Nie widziała, co dzieje się w środku. Szyby w całości zaklejone były agresywną reklamą. „Upominki”. Wielki żółty napis na czerwonym tle miał zachęcać wszystkich poszukujących prezentu, aby wstąpili do sklepu. Dodatkową motywacją miała być wyjątkowa oferta cenowa: wszystko po dwa, trzy lub pięć złotych.

Rogozińska nacisnęła na klamkę, zrobiła trzy kroki i znalazła się w sklepie. Zamiast ceramiki, świeczek, filiżanek i miliona innych nieprzydatnych drobiazgów wpadających w ręce zdesperowanych poszukiwaczy prezentu zobaczyła drewniane wzmocnione drzwi oddzielające niewielki pokój od sali sprzedaży.

Dziennikarka rozejrzała się uważnie. Sklep o powierzchni mniej więcej dwudziestu metrów był całkowicie pusty. Podeszła więc do drzwi. Stała przy niewielkim okienku zabezpieczonym kratą. Tak wyobrażała sobie więzienną dyżurkę, a nie sklep z upominkami.

– Tak?

– Rozpałkę do grilla dostanę?

Błada ekspedientka podała cenę niewielkiej foliowej torebki. Anna położyła pieniądze na ladzie. W zamian otrzymała to, po co przyszła. Dokonała pierwszej w swoim życiu transakcji kupna substancji psychoaktywnej.

– Klienci to chwalą? – Pomyślała, że może uda jej się wciągnąć ekspedientkę w rozmowę.

– Chwalą.

– A jakie to daje efekty?

– Nie wiem.

Kobieta za drzwiami nie miała ochoty na rozmowę. Straciła zainteresowanie klientką po tym, gdy wzięła od niej pieniądze.

Rogozińska opuściła sklep z poczuciem dobrze zrealizowanego zadania. Zamknęła za sobą drzwi i udała się w kierunku Artura.

Stał kilka metrów dalej z włączoną kamerą.

– Jakie to proste – odezwała się, gdy dał jej znać, że znalazła się w środku kadru. Wyjęła zakupioną torebkę. Artur skierował kamerę na paczuszkę, a po chwili rozszerzył kadr. – Zakup dopalaczy zajął mi trzy minuty. Jesteśmy w centrum Poznania. Kilka kroków od Starego Rynku, Urzędu Miasta i innych atrakcji. W sklepie z upominkami można kupić dopalacze nie od dziś. Ciekawa jestem, kto przemyka oczy na istnienie takiego miejsca? Rozmawiałam z mieszkańcami tej ulicy.

Czują się osamotnieni i zapomniani. Codziennie widują klientów tego sklepu. Interes dobrze się kręci. Przyznam szczerze, że to był mój pierwszy raz. Nie robiłam tego nigdy wcześniej. Weszłam do sklepu i kupiłam dopalacze. To nie świadczy o przegranej bitwie. To przegrana wojna. Nasza wojna. Moja i twoja... bo czy jesteś pewien, że do takiego sklepu z upominkami nie wejdzie twoje dziecko?

\*

W redakcji panowało zamieszanie. Olga Łuszczynska, nowa ulubienica Grabowskiego, nie była zadowolona z materiału, który nagrała z operatorem. Biegała od biurka do biurka i próbowała ściągnąć wszystkich obecnych pracowników Primo TV, aby obejrzeliby zmontowany materiał. Przeprowadzała ankietę. Zbierała głosy popierające jej nową wizję i głośno krytykowała obecny wygląd newsa.

Montażysta połączył warstwę tekstową z setkami według wskazówek dziennikarki i nie miał sobie nic do zarzucenia. Pożerał kanapkę i obojętnie przyglądał się bieganiu Łuszczynskiej.

– Nie mogłeś dać tej ostatniej setki jako pierwszej?

– Nie mogłem.

– Dlaczego?

– Nagrałaś setki, przygotowałaś offa, naczytałaś tekst, robiąc przerwy w miejscach, w których widziałaś setki. Dałaś mi time code setek. Działam jak automat. Urealniam tylko wasze wizje. Połączyłem offa z setkami, a potem dźwięk przykryłem obrazkami. Na tym polega moja praca. Nie uczyli cię tego na studiach czy akurat ten wykład opuściłaś?

Dziewczyna nie miała szans w starciu z dużo starszym stażem kolegą. Próbowała jednak wykorzystać swoją pozycję, by postawić na swoim.

– Artur – Olga stanęła przy biurku Lipca – chodź ze mną. Potrzebuję twojego fachowego spojrzenia.

– Innym razem. Muszę lecieć. Pilna sprawa. – Nie czekał na protest ze strony dziennikarki. Zabrał kamerę, komórkę i wyszedł z firmy.

Nie zamierzał brać udziału w bezproduktywnej dyskusji. Olga Łuszczynska niedawno zaczęła pracę, a już gwiazdorzyła, jakby była topową dziennikarką. Owszem, miała uznanie Grabowskiego, ale musiała nauczyć się efektywnie pracować w zespole. W przeciwnym razie atmosfera w Primo TV mogła ulec nagłemu pogorszeniu.

Arturowi nie podobała się wizja młódki panoszącej się w studiu, z byle powodu biegającej na skargę do szefa.

\*

Anna Rogozińska przyglądała się całej akcji zza ekranu komputera. Nie rozumiała celu pospolitego ruszenia w temacie materiału. Jednego z wielu emitowanych w danym dniu. Spierania się o formę, której i tak przeciętny widz nie zauważy.

Widocznie ulubienica Grabowskiego starała się zasłużyć na jeszcze większe uwielbienie szefa oraz nagrodę Grand Press.

– Aniu – młoda dziennikarka odważyła się zaatakować Rogozińską przesłodzonym głosem – pomożesz nam?

– Sorry, nie mam czasu. Mam tu twardy orzech do zgryzienia. I to na wczoraj. Poza tym to twój materiał. Nikt nie wie lepiej od ciebie, jak powinien wyglądać.

Olga odeszła, zawiedziona, a Anka wróciła do pracy. Przeglądała materiały, które zgromadziła podczas przygotowań do wywiadu z Ksawerym Królem. Miesiąc temu szperała w jego życiorysie, notatkach publikowanych w mediach i wywiadach udzielanych podczas politycznych triumfów. Wtedy poszukiwała informacji, które mogą przydać się podczas prowadzenia rozmowy z ojcem dziecka pogrążonym w żałobie. Odrzucała szczegóły polityczne i ekonomiczne. Poszukiwała odpowiedzi na pytanie, jakim człowiekiem jest Ksawery Król.

Dzisiaj przyglądała się uważnie wszystkim informacjom.

– Tak jak myślałam. Jest śliski jak każdy polityk. Dobrze wie, jak się zachować. Co powiedzieć, a co zachować dla siebie – podsumowywała obserwacje, bezgłośnie poruszając ustami. – Ma wszystko. Sympatię mediów i wyborców. Ma kapitał i pozycję, co z kolei sprawia, że cieszy się szacunkiem przeciwników. Umiejętnie prowadzi public relations.

Król posiadał komplet cech niezbędnych do bycia skutecznym politykiem. Dziennikarka nie miała wątpliwości. Potrafił załatwić każdą sprawę. Zamieść brudy pod wycieraczkę. Kłamać z uśmiechem. W kularach ostro negocjować profity. Nie wierzyła jednak, że mógłby zabić własnego syna. Był cwany, ale nie głupi. To byłoby zbyt niebezpieczne.

Z podajnika drukarki wyjęła czystą kartkę i wróciła do biurka. Zamierzała skorzystać z wolnej chwili i spisać możliwe warianty wydarzeń.

„Sylwester. Grzegorz kłóci się z Fabianem. Wychodzi na balkon. Wypada. Król oskarża Fabiana.

Dwa tygodnie później. Znalezione ciało Fabiana i dopalacze w jego kieszeni. Król groził Fabianowi.

Może spełnił groźby? Może Fabian wypchnął Grzegorza, a Król chciał pomścić niepotrzebną śmierć syna?”

Kolejne słowa zapełniały kartkę. Anna zaczęła rysować strzałki łączące Fabiana, Grzegorza i polityka. Coś musiało spajać ten trójkąt. Królowie trzymali się razem. Fabian zadarł z jednym z nich.

„Zemsta. Zabił Fabiana”. Zatrzymała się na kolejnej hipotezie. Ta wydawała się najbardziej oczywista, ale i najtrudniejsza do udowodnienia. Ksawery Król był zbyt ostrożny, by posunąć się do jawnego złamania prawa. Do zabójstwa. Lata obecności w polityce nauczyły go, że podstawą jakiegokolwiek działalności jest zasada czystych rąk.

– Chciał go zabić, ale nie zrobiłby tego sam. – Została sama w pokoju, więc mogła mówić do siebie szeptem. – Mógł wszystko zaplanować, ale posłużyć się kimś innym. Był mózgiem, a jego rękoma był... Nie wynajął snajpera. Chciał pozbyć się Fabiana tak, by jego śmierć wyglądała na przypadkową. Nawet nie na samobójstwo. Wiedział, że synalek i jego kumple bawią się z dopalaczami. Wykorzystał to. Potrzebował jednak kogoś, kto świetnie zna się na substancjach psychoaktywnych... przynajmniej tak świetnie jak... – odpowiedź przyszła automatycznie, a nagłe odkrycie przeraziło Annę – specjalistka z Zakładu Medycyny Sądowej. Magdalena Krajewska.

\*

– Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną porozmawiać. – Anna znajdowała się w trójkątym pokoju w Zakładzie Medycyny Sądowej.

Magdalena Krajewska siedziała przy komputerze i uśmiechała się sympatycznie do swojego gościa.

– Nie ma sprawy, obiecałam przecież Łukaszowi, że tobie pomogę.

Rogosińska odpowiedziała uśmiechem. Starła się ignorować myśl, która wracała do niej zawsze w takim momencie. Kobieta była dla niej zabójczo miła. Tak. „Zabójczo miła” to idealne połączenie słów. Zabójczo. Miła. Nie zwyczajnie miła. Nie tak przyjaźnie, sympatycznie i ciepło.

Była miła nad wyraz. Na pokaz. Na zawołanie. Tak, by nikt nie mógł jej zarzucić bycia niemłą. Jakby szczerze nie lubiła dziennikarki i życzyła jej śmierci.

– Nie chcę zabierać ci zbyt dużo czasu. – Rogosińska również starła się być sympatyczna. – Tak jak wspominałam, przygotowuję duży materiał o dopalaczach.

– Tak, Łukasz mówił...

– Oczywiście. – Kolejny uśmiech. Rogosińska była coraz bardziej pewna, że im dłużej będzie trwała ta rozmowa, tym większe jest prawdopodobieństwo, że zabiją się uśmiechami. – Dopalacze, czyli substancje o działaniu psychoaktywnym. Możesz powiedzieć coś więcej na ten temat?

– Substancja psychoaktywna to, proszę cię, taka substancja chemiczna oddziałująca na ośrodkowy układ nerwowy. Bezpośrednio wpływa na pracę mózgu i dlatego pociąga za sobą różne efekty. Zmiany nastroju, postrzegania, świadomości czy po prostu zachowania.

– Od czego zależą te różne efekty?

– Od stosowanych substancji psychoaktywnych. Jest ich naprawdę dużo. Te najpopularniejsze można podzielić na neuroleptyki, depresanty, stymulanty i psychodeliki.

– Zgodzisz się na rozmowę o dopalaczach przed kamerą?

– Nie ma sprawy. Nawet myślałam, że dzisiaj przyjedziesz ze sprzętem.

– Chciałam. Ale u nas sprzęt przyspawany jest do operatora. Artur, nasz najlepszy operator, był już zajęty, więc przyjechałam sama. Porozmawiamy tak z grubsza, a jutro przyjadę z kamerą, dobrze?

– Dobrze.

– Wróćmy do tych nazw. Brzmiały dość znajomo, chociaż do końca nie wiem, co oznaczają. Recepty na depresanty dostaje się od psychiatry, by leczyć depresję, tak?

– Depresanty działają uspokajająco, relaksująco, usypiająco, przeciwlękowo i spowalniająco. Nie należy łączyć ich z objawami depresji. Leki, o których wspominasz, to antydepresanty. Nie mają działania antagonistycznego do depresantów. Depresantami są na przykład barbiturany, opioidy i alkohol etylowy. Neuroleptyki, proszę cię, to leki stosowane głównie podczas leczenia schizofrenii, ale też i innych psychoz. Mają łagodzić urojenia, omamy i różnego rodzaju zaburzenia świadomości. Działają silnie uspokajająco, hamują aktywność komórek nerwowych. Z kolei stymulanty, proszę cię, mają odwrotne działanie. Jak sama nazwa wskazuje, stymulują, czyli pobudzają. Im mają silniejsze działanie pobudzające, tym wywołują więcej efektów ubocznych. Zwiększają aktywność ośrodkowego układu nerwowego i mogą wywoływać euforię.

– A psychodeliki? Kojarzą mi się z ciężką muzyką.

Ance chemia kojarzyła się ze szkodliwym opryskiem roślin oraz nazwą nudnego przedmiotu, którego uczyła się w liceum. Przepisywała z tablicy jakieś równania, chociaż zupełnie nie znajdowała uzasadnienia konieczności wkuwania chemii – kolejnego z wielu niepraktycznych i niepotrzebnych przedmiotów szkolnych.

Przyglądała się więc rozmówczyni z nieukrywanym zachwytem. Krajewska poruszała się z łatwością w tematyce, która dziennikarce była zupełnie obca.

– One wywołują odmienne stany świadomości. Zmianę percepcji czy sposobu odczuwania emocji. To, co przy psychodelikach jest znamienne, to to, proszę cię, że one nie wpływają na znane nam stany umysłu. One tworzą coś innego. Nieznanego. Niepoznanego. Coś porównywalnego do odmiennych stanów świadomości, jeśli wiesz, o czym mówię.

– Nie bardzo...

– No wiesz, trans, medytacja, połączenie z Bogiem.

– Czyli rozumiem, że w zależności od tego, czy chcę być pobudzona czy uspokojona, czy chcę gadać z Bogiem czy tylko obejrzeć abstrakcyjne obrazy,

wybieram dopalacz zawierający odpowiednią grupę substancji psychoaktywnych – podsumowała Anna.

– Mniej więcej. – Krajewska kiwała głową na boki.

– Czyli bardziej mniej niż więcej?

– No tak. Bo wspomniałam tobie o głównych grupach. Ludzie zabawiający się dopalaczami często łączą różne środki, eksperymentują, bo chcą podbić jeden efekt lub zminimalizować inny.

– Eksperymentują, łącząc je ze sobą? – Anka nie wierzyła własnym uszom.

Nie pojmowała chęci stymulowania swojego organizmu środkami chemicznymi, zabawy z układem nerwowym i mózgiem. Nie mogła zrozumieć ludzi czerpiących z tego przyjemność. Łączących ze sobą różne środki, by dostarczyć sobie więcej rozrywki, odnaleźć mocniejsze wrażenia.

Kiedy Anna z wykupioną receptą wracała z apteki, dokładnie studiowała ulotki. Podczas lektury rubryki „skutki uboczne” zaczynała odczuwać większość z wymienionych dolegliwości i czasem bardzo długo walczyła ze strachem, zanim podjęła decyzję o przyjęciu leku.

– Łączą, oddzielają... Proszę ciebie, niektórzy bawią się w małych chemików tylko dlatego, że chcą poczuć coś silniejszego. Metodą prób i błędów szukają najlepszego dawkowania i sposobu, w sensie drogi przyjmowania. Jedne rzeczy się łyka, inne wdycha, jeszcze inne wciąga nosem, by jak najszybciej zaczęło działać.

– Dobrze. Czyli teoretycznie, jeśli ktoś rozpoczął swoją przygodę z dopalaczami, to może wziąć wszystko. Takie zioła, o których ostatnio opowiadałaś, można nasaczyć różnymi substancjami, tak?

– No można. Do czego zmierzasz?

– Czyli teoretycznie – Ania próbowała zadać pytanie, z którym tu przyjechała – jeśli chciałabyś mnie zabić... – zawiesiła prowokująco głos.

– Teoretycznie... – Krajewska się roześmiała.

Klimatyzator ochładzał pomieszczenie, maszyny szumiały, a kobiety wydawały się coraz bardziej skupione na sobie. Obserwowały się uważnie i udawały, że rozmawiają swobodnie. Instynktownie omijały jednak drażliwy temat Łukasza.

– ...A ja używałabym dopalaczy... to mogłabyś podać mi specjalnie taką mieszankę, po której się nie obudzę.

– Mogłabym.

– Musiałabyś tylko wiedzieć, co podać...

– Mieszankę dobrałabym stosownie do efektu, jaki chciałabym osiągnąć. Ale tak. Zakładając oczywiście, że posiadałabym wiedzę z zakresu...

– Przecież posiadasz.

– Ale cię nie truję. Nawet herbaty nie zaproponowałam, żebyś nie musiała czuć się zagrożona.

Rzeczywiście. Magdalena Krajewska była zabójczo miła, ale zachowywała się zupełnie inaczej niż podczas ostatniego spotkania.

– Proste to, nie? Można łatwo i bez wzbudzania podejrzeń pozbyć się niewygodnej osoby.

– Jeśli ktoś jest tak głupi, by zażywać dopalacze, to po co mu je podawać?

Ania usłyszała złość i kąśliwą ironię. Przynajmniej tak jej się wydawało. Poczła też napięcie. Uśmiech zmienił się w karykaturalną, wyuczoną minę. Dziennikarka się nie odezwała. Czekwała na ciąg dalszy.

– Umrze sam, proszę ciebie, prędzej czy później.

\*

– Pójdę już.

Krajewska przyjęła komunikat Anki z ulgą trudną do ukrycia.

– Odprowadzę cię. – Zerwała się z krzesła i stanęła w drzwiach. Jakby chciała przyspieszyć wydarzenia.

– Nie trzeba. – Rogozińska z wrodzonej przekory spowolniła ruchy i kątem oka obserwowała zachowanie kobiety.

– Inaczej nie wyjdiesz.

Dziennikarka przypomniała sobie o kodzie, który trzeba znać, by otworzyć drzwi do strzeżonych pokoi Zakładu Medycyny Sądowej. Kiwnęła więc głową. Do torebki schowała notes, wstała z krzesła i założyła kurtkę.

Korytarz pokonały bez słowa.

– Jeszcze raz dziękuję. – Anna wyciągnęła dłoń, gdy dotarły do drzwi. – Bardzo mi pomogłaś.

– Cieszę się. – Zabójczo miłe wcielenie specjalistki powróciło.

Pożegnalny uścisk dłoni zwiastował koniec przymusu udawania.

– Rozumiem, że jesteśmy umówione. Wracam z operatorem? Jutro, pojutrze?

– Zdzwonimy się jeszcze.

Anna uśmiechnęła się po raz ostatni i stanęła w drzwiach. Nie wyszła jednak, lecz odwróciła się i spytała zupełnie innym tonem:

– Znasz Króla?

Pytanie zaskoczyło Krajewską. Odezwała się stłumionym głosem. Jakby emocje chciała zachować tylko dla siebie.

– Króla?

– Tego polityka – uściśliła Anka.

– Nie przepadam za polityką.

– Nie pytam, co lubisz – warknęła dziennikarka. Miała już dość udawania sympatii. – Znasz go?

– Widziałam go w telewizji, a co?

\*

Potrzebuje spokoju. Tak jest. Spokoju. Co ma zrobić, by go osiągnąć? Może regularny oddech pomoże? Raz i dwa.

Nie. To jest dla niego zbyt ciężkie. Chyba pękły mu płuca. Jeśli nie, to zaraz pękną. Oddech boli, jakby mroźne powietrze, które wciąga nosem, rozrywało go do środka. Może to nie ta pojemność? Powinien robić płytsze wdechy.

Raz. Odpoczynek. Dwa.

Spokoju. Nie może znaleźć spokoju. Biegnie przed siebie, by uciec przed boleśnie głośną muzyką. Jest już lepiej. Odrobinę lepiej. Wysokie dźwięki zastępuje szum.

Słyszy głosy. Te kamienice patrzą na niego i szepczą między sobą. Czego od niego chcą? Nie słyszy. Niech zostawią go w spokoju!

Nie zostawią. Nasłaly na niego wojsko złożone z płatków śniegu. Wielkie i ciężkie rozgwieżdżone osiadają na jego głowie i rękach. Rzucają się pod jego nogi.

Boi się. To pewnie jakaś broń chemiczna.

Widzi, jak rozpuszczają się na jego rozpalonym ciele. Przenikają przez skórę. Widzi to. Wnikają do krwi. Wybuchowe ładunki transportowane są prosto do serca. Płuca są już rozsądzone. Prawie nie musi oddychać.

Biegnie i nie ma zadyszki. Goni go. Próbuje zgubić ogon. Dokładnie wie, dokąd ma dotrzeć. Wie też, że jeśli nie zgubi przeciwnika... to umrze.

– Masz ognia?

Próbuje skupić wzrok na stojącym przed nim małolacie. Chce mu powiedzieć „spierdalaj”, ale nie może wydać z siebie żadnego dźwięku.

To te skażone chemicznie płatki śniegu. Ładunki dotarły już do gardła. Wyszły struny głosowe.

Jest. Dociera do celu. Zapamiętał go bardziej stabilnie. Teraz wszystko faluje i się wije. Ale to nie jest sen. Witrynę z kebabem widział już nieraz.

– Aaauc.

Czuje nerki. Obie naraz. Nigdy nie miał świadomości, że je ma. Teraz okropnie bołą. Płuc już nie czuje. Zaczyna boleć go serce.

To koniec.

Opiera się o bramę, broniącą niepożądanym osobom wejścia do kamienicy. Ugina nogi i zwija się w kulkę. Nie pozwoli płatkom śniegu, by zniszczyły mu twarz. Jeśli ma umierać, chce chociaż dobrze wyglądać.

A może to wszystko minie? Tylko chwilę odpocznie. Zdrzemnie się. Zbierze siły. Może gdy przestanie się ruszać, przeciwnik straci go z pola widzenia. Jego postać stopi się z tłem. Stanie się niewidoczna. Zamieni się w schody.



– Halo, młody człowieku!

– Ej, ty! Dobrze się czujesz?

Boi się unieść głowę. Znów słyszy głosy. Pewnie dogoniły go te kamienice ze Starego Rynku.

– Wszystko w porządku?

– Co się dzieje?

W końcu wygrywa ze strachem. Unosi głowę i kuli się w sobie, przerażony.

– Niiieee – mamrocze.

Znalazły go trolle. Schodziły się w zastraszającym tempie i oglądały, jak udaje, że go nie ma.

Zaczyna machać rękoma. Chce przepędzić potwory.

– Sio! Stąd... nie ma was... idźcie...

Nie mogą tak stać. Zdradzają jego kryjówkę. Gdyby poszły sobie, miałyby szansę przeżyć. Jeśli zostaną, umrze. Dobrze o tym wie.

– Możesz wstać?

Niech się zamkną. Niech odejdą. Potrzebuje spokoju. Chwili spokoju. Nie. Nie. Nie.

Zakrywa głowę rękoma i czuje grubą warstwę kłującego śniegu.

Za późno. Nieważne te trolle. Za późno. Ładunki są już w jego mózgu. Przegrał walkę. Nie czuje już nic.

– Trzymaj się.

Pchnięty przez trolla, upada na ziemię. Widzi, że batalion śnieżnych żołnierzy śmieje się z niego.

– Trzymaj się. Już jedzie pogotowie!

– Wypierdalać – udało mu się wydobyć z siebie coś na kształt krzyku. Nie umrze z pokorą. Będzie krzyczał. Tylko to mu pozostało.

\*

Romantyczna muzyka sączyła się z kolumn. Łukasz siedział tak blisko Ani, że mógł swobodnie kręcić opuszkami palców ósemki po jej szyi. Na ławie stały kubki z kakao, a w całym pokoju ciepłe ognie tańczyły na knotach kolorowych świec.

– Fajnie jest u ciebie.

– Pewnie, że fajnie.

Rogosińska przysłała do Łukasza zmarzniętą, głodną i zniecierpliwioną. Dostała ciepły talerz fasolki po bretońsku, gorącą herbatę i porcję pieszczot. Później prawie zmuszona została do wzięcia ciepłej kąpieli przygotowanej przez Łukasza, a po wyjściu z łazienki otrzymała kubek z ulubionym kakao.

– Taki mężczyzna jak ty to skarb.

- Cieszę się, że to zauważasz.
- Zapomniałam o całym świecie. Dobrze mi z tobą.
- Chyba się nigdzie nie wybierasz?
- Nie. Rozpływam się tylko w rozkoszy.
- A to dopiero początek wieczoru...

Nie zamierzała wychodzić na mróz. Nie chciała wracać do pustego domu. Lubiała spędzać czas z Łukaszem. Mogli rozmawiać o wszystkim. Przede wszystkim chcieli rozmawiać ze sobą. Skupiali się na życiu – w ujęciu abstrakcyjnym. Na pracy – jego i jej. Opowiadali o miłości, partnerstwie i obawach z nimi związanych. Byli dorośli, dojrzały i pasowali do siebie.

- Wiesz – Łukasz zamruczał wprost do jej ucha – przygotowuję dla ciebie niespodziankę.
- Wrr, już się boję. – Roześmiała się, próbując ukryć prawdziwy niepokój.
- Nie bój się. To niespodzianka na walentynki.
- Tym bardziej się boję. Nie lubię tego dnia...

\*

Kiedy Łukasz poszedł się myć, Anka spojrzała kontrolnie na wyświetlacz komórki. Nagle romantyczny nastrój prysł. Zastąpiły go niesłychanie ważne sprawy zawodowe. Przez cały dzień próbowała skontaktować się z dziewczyną Fabiana. Uznała, że w tej chwili będzie to najlepsze źródło informacji.

Była w apartamencie Fabiana i w miejscu zamieszkania jego dziewczyny. Na próżno. Wszędzie odbijała się od zamkniętych drzwi. Żałowała, że podczas rozmowy na schodach nie poprosiła jej o numer telefonu. Wiedziała jednak, jak wygląda. W końcu Annie udało się ustalić miejsce pracy ukochanej Fabiana, a tam podała się za kuzynkę zbulwersowaną sprawą śmierci narzeczonego. W ten sposób wyprosiła upragniony numer telefonu.

Była pewna, że numer jest prawidłowy. Dzwoniła kilka razy, ale nikt nie odbierał. Interpretowała to jako brak chęci na rozmowę. Nie zamierzała jednak odpuścić. Mimo że zbliżała się północ, po raz kolejny tego dnia wybrała numer. Po raz kolejny: bezskutecznie. Odpowiedziało jej kilka długich sygnałów. W akcie desperacji zdecydowała się wysłać SMS-a.

*Proszę, pomóż mi znaleźć mordercę Fabiana i Grzegorza.*

*Mordercę? – Odpowiedź przyszła od razu.*

Anna się ucieszyła. W końcu jej wysiłki zostały nagrodzone. Dziewczyna, z którą chciała się spotkać, połknęła haczyk.

*No chyba nie wierzysz, że to zbieg okoliczności. Spotkajmy się – Rogozińska odpowiedziała w taki sposób, by wizja osobistej rozmowy i spotkania w cztery oczy*

stała się koniecznością.

Hałasy z łazienki straciły na intensywności. Łukasz wyszedł spod prysznic, przykrył pośladki szortami i chwilę później pojawił się w sypialni. Anna zdążyła odłożyć komórkę na szafkę nocną.

– Tęskniłaś? – Wskoczył pod kołdrę.

– Bardzo.

– Zamiast usychać z tęsknoty, mogłaś do mnie dołączyć. Zmieściłabyś się pod prysznicem.

– Dobrze mi tu, pod kołdrą. – Próbowała odgonić od siebie myśli związane z pracą. Teraz miała skupić się na Łukaszu, jego apetycznym ciele i romantycznej atmosferze, w tworzeniu której był mistrzem. – Tak ciepło.

– Zaraz będzie ci jeszcze cieplej...

Zanim powróciła do romantycznego nastroju, spojrzała kontrolnie na telefon komórkowy. Zielone światło migało, informując o nowej wiadomości tekstowej. Przez chwilę chciała ją zlekceważyć, ale ciekawość wygrała. Odblokowała ekran i odczytała SMS-a od dziewczyny Fabiana:

*Czekam jutro o osiemnastej w „Czekoladzie”.*

## ROZDZIAŁ 15

### 12 dni do walentynek

– Skąd biorą się takie substancje?

– Substancje czy produkty? Produkty mają nazwy. Mogą zawierać w sobie wiele substancji jednocześnie. Problemem jest to, że ta sama nazwa wcale nie gwarantuje tego samego składu. Substancje to co innego. Coraz częściej takie substancje sprzedawane są jako odczynniki chemiczne.

Artur Lipiec nawet nie spoglądał w kamerę. Ustawił ją na sztywno i włączył, by nagrywała rozmowę prowadzoną w Zakładzie Medycyny Sądowej. Kadr był ciasny. Obejmował popiersie specjalistki i jasną ścianę stanowiącą tło.

To, co było poza kadrem, interesowało operatora dużo bardziej. Z gablot na korytarzu uśmiechały się do niego muzealne eksponaty. Są dużo ciekawsze od naukowej paplaniny tej babeczki, pomyślał. Chętnie musnąłby je swoją kamerą i uwiecznił. Zaproponował to, jednak jego pomysł nie spotkał się z akceptacją. Specjalistka powiedziała, że to są ludzkie szczątki, więc nie można ich fotografować ani filmować.

Zdziwił się. Żył w świecie bez zasad, w którym można było filmować wszystko... Nawet przeciętny obywatel, zamiast oglądać i przeżywać wszystko na bieżąco, włączał kamerę i filmował.

– Ale skąd się biorą? – dopytywała Anna Rogozińska.

– Jako produkt uboczny przemysłu farmaceutycznego. Podczas badań powstają różne związki. Szuka się połączeń dających określony efekt leczniczy, a jednocześnie minimalizujących tak zwane skutki uboczne. Te najlepiej rokujące przechodzą do dalszego etapu badań, a te, które nie spełniają norm, powinny iść do kosza. Wykorzystuje się jednak je dalej. – Skupiona Magdalena Krajewska odpowiadała na pytania.

Koncentrowała się nie dlatego, że dziennikarka zadawała jej trudne pytania. W sprawach stanowiących temat rozmowy czuła się całkowicie pewnie. Rogozińska jednak speszyła Magdę.

Kazała włączyć kamerę i zadała pierwsze pytanie. Krajewska odpowiedziała. Następnie padło pytanie numer dwa, a zaraz za nim – kolejna odpowiedź. Mina dziennikarki zwiastowała problemy. Anna przerwała nagranie i zapytała Krajewską, czy jest w stanie wyeliminować manierę wtrącania uroczego, aczkolwiek mało medialnego zwrotu „proszę ciebie”.

– Nowe substancje powstają też wskutek walki z dopalaczami. – Magdalena starannie dobierała słowa. – Państwo zakazuje jakiejś substancji, więc trzeba ją zmienić na inną, ale działającą prawie tak samo. Zmienia się wtedy nieznacznie strukturę cząsteczki na przykład poprzez dodanie dodatkowej cząsteczki tlenu albo

wodoru i powstaje nowy związek chemiczny. Zachowuje on właściwości starego, ale ma zupełnie nową, jeszcze niezabronioną nazwę.

– W dopalaczach możemy znaleźć zatem wszystko...

– Nie sposób jest zbadać i sklasyfikować wszystko, co trafia do klientów kupujących dopalacze. W dwa tysiące dziesiątym roku zabezpieczono kilkanaście tysięcy próbek. Znaleziono w nich ponad dziewięćdziesiąt substancji o działaniu psychoaktywnym. Należały one do grup katynonów, fenetylamin, syntetycznych kannabinoidów, piperazyn, tryptamin...

– Czy mogłaby pani przybliżyć nam działanie takich substancji? – Anka przerwała niezrozumiały wykład. Uprzedziła rozmówczynię, że będzie zwracała się do niej tak, jakby się nie znały.

Wypowiedź profesjonalisty miała być chłodna, pełna faktów. Przede wszystkim miała budzić respekt. Gdyby była urozmaicona wtrąceniami typu „proszę ciebie” oraz bezpośrednimi formami „ty”, straciłaby autentyczność. Ekspert zawsze musi pozostawać obiektywny i niedostępny. Musi być za szybą.

– Upraszczając... – Przez chwilę zapanowała cisza, jakby Krajewska zastanawiała nad doborem słów zrozumiałych dla laików. – Substancja psychoaktywna zawarta w dopalaczu oddziałuje na receptory albo neuroprzekaźniki. Przykładowo: popularny „Tajfun” blokuje i zaburza równowagę jonową pomiędzy wnętrzem komórki a jej środowiskiem. Dzięki temu zmienia się różnica potencjału elektrycznego po obu stronach błony komórkowej i impuls nerwowy zostaje zniekształcony. To dlatego osoba, która go zażywa, czuje ogólne znieczulenie i depersonifikację. To, jak mocne są odczucia, zależy nie tylko od dawki substancji, ale też nastawienia przyjmującego, jego stanu zdrowia, lekarstw, które zażywa, i aktualnej sytuacji życiowej. Trip po „Tajfunie” porównywany jest do doznań po zażyciu opiatów.

– Dziękuję bardzo.

– To koniec?

– Tak.

– Chcesz jeszcze jakieś ujęcia? – Artur stanął przy kamerze zamontowanej na stojaku.

– Nie, dzięki. Mamy to. Możesz się zbierać.

Artur przystąpił do czynności porządkowych, a Anka stanęła blisko Magdy.

– Dziękuję ci bardzo. Dam znać, kiedy będzie emisja.

– Nie ma sprawy.

Krajewska wyglądała na zadowoloną. Przyglądała się Arturowi i sprzętowi, który pakował.

– Dobra jesteś, nadajesz się do pracy z kamerą. – Rogozińska skomplementowała Krajewską. Nie bez powodu. Chciała, by Magda się odprężyła, zanim padnie kolejne pytanie. Poza kamerą.

– Dziękuję. Chciałam być aktorką, ale... – Magdalena szybko przypomniała sobie, że nie prowadzi przyjacielskiej pogawędki. – Stare dzieje.

– Magda, chciałam jeszcze tylko zapytać o tę fenyloaminę.

– Fenyloetyloaminę.

– Właśnie. Wspominałaś, że w ciele obu facetów wykryłaś podwyższony poziom tej fenyloetyloaminy.

– Tak.

– Jeśli założyć, że nie wytworzył jej organizm, to jak ją można przyjąć?

– Fenki, bo tak, proszę cię, w uproszczeniu ćpuny mówią na fenyloetyloaminy, mają świetlaną przyszłość przed sobą. Weźmy na przykład taki 25i-NBOME. To psychodeliczna fenyloetyloamina strukturalnie zbliżona do 2C-I. To jest kilka razy silniejsze niż LSD. Silny antagonist receptorów serotoninowych.

– Mogłabyś trochę jaśniej?

Z ostatniego zdania Anka zrozumiała jeden wyraz. „Silny”. Pozostałe coś jej mówiły, ale nie wiedziała co.

– Receptory serotoninowe to receptory umieszczone na błonie komórkowej neuronów i na przykład mięśni gładkich. Pośredniczą w działaniu serotoniny. Serotonina, proszę cię, to tak zwany hormon szczęścia, związek chemiczny będący ważnym neuroprzekaźnikiem. Antagonista receptorów serotoninowych to substancja, która blokuje normalną pracę tych receptorów.

– Ale jak to się przyjmuje?

– Kupuje się w postaci kawałka papieru. Najlepiej wchodzi donosowo. Fenyloetyloamina pozwala na zwiększenie zdolności do pracy: tej fizycznej, proszę cię, i tej umysłowej. Jednocześnie stymuluje reakcję odczuwania przyjemności... spełnienia. Gdybyś chciała poczuć jego działanie, to proponuję stany silnych emocji. Zakochanie. Wszelkie przyjemności. Seks. Podniecenie emocjonalne. Ewentualnie zwycięstwo, takie, w którym konieczna jest pełna mobilizacja.

\*

Wiktor Braun opuścił pomieszczenie, w którym przesłuchiwał podejrzanego, i truchtem kierował się w stronę swojego gabinetu. Od ponad godziny czuł ssanie w żołądku. Przesłuchanie się przedłużało, a głodnemu prokuratorowi coraz trudniej było skupić się na pracy. Wielki głód wiercił mu dziurę w brzuchu i skutecznie utrudniał koncentrację.

Na ostatniej prostej, kiedy widział już drzwi z wyimaginowanym napisem „meta”, na drodze pojawiła się przeszkoda w postaci Maurycego – dobrze zbudowanego kolegi, słynącego z oratorskich talentów, chętnie prezentowanych na każdym kroku.

– O, nie – zdążył jęknąć Wiktor.

Od gabinetu dzieliło go nie więcej niż pięć metrów. Mógłby je pokonać w kilkanaście sekund. Usiąść w spokoju i pochłonąć kanapkę z łososem.

– Wiktor, dokąd tak pędzisz?

– Przepraszam, spieszę się. – Zareagował asertywnie.

– To tak jak ja – odpowiedź Maurycego jawnie kłóciła się z jego postawą. Stał na środku korytarza, torując przejście. Nie zamierzał się ruszyć. Był zrelaksowany i zadowolony, że na jego drodze znalazł się ktoś, do kogo można się odezwać. – Ale dobrze, że cię widzę. Chciałem zapytać o twoją sprawę. Wiesz, chodzi o tego faceta wyłudniającego kredyty. Czytałem w gazecie, że ma znajomych wysoko postawionych w tym banku...

– Czytujesz takie brednie? – Braun przerwał wypowiedź kolegi. Nigdy nie tracił czasu na dementowanie plotek pojawiających się gazetach.

Szczerze nienawidził dziennikarzy i mediów każdego rodzaju. Nie wyobrażał sobie, że mógłby się wypowiadać na jakikolwiek temat bez uprzedniego dogłębnego poznania sprawy. Nie ferował wyroków. Nie oskarżał na próżno.

Dziennikarze łapali cokolwiek, co można było uznać za gorącego newsa. Naginali fakty, zmieniali tło wydarzenia, wprowadzali bałagan. Swoim działaniem niejednokrotnie szkodzili wizerunkowi prokuratury, przebiegowi sprawy oraz podejrzanym, oskarżonym czy ofiarom.

– Nie czytuję, pomyślałem jedynie...

– Jedynie. – Zniecierpliwiony Braun machnął ręką. Minął Maurycego, ocierając się o jego ramię. Na odchodne zacytował ulubionego bohatera, Vaila: – *Nie dawaj wiary wszystkiemu, co czytasz. Wiesz, co mawiają o gazetach? Gdy wydrukują jakiś błąd po raz pierwszy, to pomyłka. Po raz drugi – fakt. I nie wierz we wszystko, co słyszysz*[\[14\]](#).

Nie czekał na reakcję. Skierował się do swojego pokoju. Z ulgą zamknął za sobą drzwi, opadł na krzesło i zatopił zęby w kanapce, o której marzył od dłuższego czasu.

– Panie prokuratorze? – Sekretarka zapukała do drzwi i nie czekając na pozwolenie weszła do środka. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale nie odbierał pan telefonu.

– Coś się stało? – spytał z pełną buzią. Nie mógł dłużej odwlekać drugiego śniadania.

– Smacznego. – Kobieta podeszła do biurka i położyła na nim kartkę. – Informacja od naczelnika. Wszystko spisałam. Zrobić panu kawę?

Na gładkiej kartce formatu A4 zapisane było nazwisko Wiktora, a poniżej – słowa w idealnie równych liniach. Usiłowanie zabójstwa. Szpital imienia Raszei. Piotr Przemysk. Przytomny. Po dopalaczach, ale podobno sam ich nie zażył.

– Byłaby pani tak uprzejma?

– Oczywiście.

Nie miał czasu na prowadzenie kolejnej sprawy. Naczelnik jednak zdecydował inaczej. Wiktor musiał przygotować się na kolejną „papierologię”. Nie miał wyboru. Z jutrzejszego dnia, w którym nie znalazłby nawet chwili na kawę, powinien wykroić przynajmniej godzinę na nową sprawę.

Spojrzał w kalendarz. Jutro o dziewiątej miał wokandę w Sądzie Okręgowym w Poznaniu.

– Może sprawa spadnie z wokandy?

Spodobała mu się ta myśl. Podejrzany już raz się nie stawił i przedłożył zwolnienie lekarskie. Mógłby to powtórzyć.

Braun dojadł kanapkę, ale nazwisko zapisane przez sekretarkę nie dawało mu spokoju. Piotr Przemyk. Przemyk Piotr. Coś mu mówiło.

Sekretarka uraczyła Wiktora filiżanką kawy i bez słowa wyszła z gabinetu. Prokurator zachłannie opróżnił całą filiżankę i zabrał się do przeglądania akt leżących na biurku.

– Piotr Przemyk – powtarzał na głos, wierząc, że gdzieś już widział połączenie tego imienia i nazwiska. Gdzieś całkiem niedawno.

Nie musiał długo szukać.

– Wiedziałem – zatryumfował.

Przez chwilę siedział nieruchomo, żeby zebrać myśli, a później sięgnął po telefon komórkowy.

– Aniu? – Zdziwił go ton głosu. Jego własnego głosu. Po wieczornej rozmowie w samochodzie żywił do dziennikarki cieplejsze uczucia.

– Wiktor, no cześć.

– Witaj. – Starał się ograniczyć emocje.

– Coś się stało? Brzmisz jakoś...

– Siedzisz? – przerwał jej. Wiedział, jak brzmi.

– Nie.

– To usiądź.

– OK.

– Oddział toksykologii. Szpital imienia Raszei.

– Kolejna ofiara dopalaczy?

– Właśnie.

– Dobra, podjadę do niego przy okazji.

– Na twoim miejscu pojechałbym teraz. Za chwilę możesz nie mieć okazji.

– Bo?

– Bo powołamy specjalną grupę policyjną. Nie będzie rozmawiać z mediami.

– Powiesz mi, kogo mam tam szukać, czy mam sobie sama radzić?

– Wiesz, że nie powinienem.



\*

– Przywieźli tu mojego kuzyna. – Anna próbowała dyskutować z pielęgniarką odgradzającą dziennikarkę od sali, w której leżał mężczyzna, podmiot pożądania dziennikarki.

– Kuzyna. A jak się nazywa?

Pielęgniarka była wyjątkowo upierdliwa. Cały czas dopytywała o szczegóły. I przyglądała się uważnie Rogozińskiej. Dziennikarka udawała głupiutką blondynkę, byleby tylko zamienić kilka słów z kolejną ofiarą dopalaczy.

Chciała chociaż wymienić się numerami telefonów, by później, gdy pacjent wyjdzie ze szpitala, opowiedział przed kamerami, jakim cudem uniknął śmierci.

– Pani wybacz, jestem tak zestresowana – Anna improwizowała – dzwoniła ciotka, matka kuzyna. Kazała mi tu przyjechać i dowiedzieć się o jego stan. Ciotka mieszka w Białymstoku. Prędzej umrze ze stresu, niż dotrze do Poznania.

– A mnie się wydaje, że skądś panią znam.

– Niemożliwe... Chociaż, rzeczywiście, czasem mężczyźni, którzy próbują mnie poderwać, mówią, że jestem podobna do tej baby z telewizji... nie pamiętam nazwiska. W ogóle nie mam pamięci do nazwisk.

– Przykro mi, musi pani odejść.

– Bardzo panią proszę.

– Nie ma mowy.

Mina pielęgniarki nie pozostawiała nadziei. Rogozińska mogła się dwoić i troić, a i tak nie zostałyby wpuszczona do pokoju, w którym znajdował się jej cel.

\*

Rezygnacja. Słowo, które idealnie pokazywało różnicę między teorią a praktyką. Z teorii Rogozińska była dobra.

Rezygnacja – zaniechanie jakiejś czynności. To słowo odbierała pejoratywnie. Zaniechanie celu bolało. zamiennie stosowała więc określenia pokrewne, zmniejszające negatywny ładunek emocjonalny: „odstąpienie”, „zmiana planu”, „znudzenie”.

Całkowicie nie pojmowała rezygnacji rozumianej jako stan przygnębienia towarzyszący zwykle sytuacji, na którą nie ma się wpływu. Rogozińska sądziła, że w jej życiu odsetek sytuacji, na które nie ma się wpływu, jest znikomy. Niezauważalny. Gardziła ludźmi, którzy z wygodny częstowali się wymówkami: „nie było szans”, „nie mogłem nic zrobić”. Szła przez życie, przekonana, że ma bezpośredni lub pośredni wpływ na wszystko, co się wokół niej dzieje. A jeśli na coś nie ma... to nie ma czym się przejmować. Wpadać w przygnębienie. Poszukiwać

winnych.

Rogozińska stała przy windzie. Czekala, aż otworzą się drzwi, i zastanawiała się, czy jest jeszcze coś, co może zrobić, by porozmawiać z ofiarą dopalaczy przywiezioną na oddział.

Może gdyby czatowała na korytarzu przez kilka dni, ustaliłaby, który to pacjent? Zagadałaby go, kiedy wracałby z toalety. Może nawet znalazłaby kilku nowych. W końcu na oddziale toksykologii znajdzie więcej interesujących ją rozmówców.

Krótki dźwięk zaanonsował windę jadącą z dołu. Metalowe drzwi się otworzyły. W środku znajdował się znajomy przystojny mężczyzna. Chciał wyjść, ale widok dziennikarki sprawił, że zmienił zdanie. Anna uśmiechnęła się na jego widok. Otworzyła usta, by przywitać się wylewnie, ale mina Wiktora Brauna powstrzymała ją w ostatniej chwili.

Prokurator się cofnął, a Anna weszła do środka. Nacisnęła na guzik z zerem. Drzwi się zamknęły.

– Dzięki, że zadzwoniłeś – zaczęła miło.

Odpowiedziała jej cisza. Wrócił prokurator Braun, pomyślała, zawiedziona.

– Możesz coś jeszcze mi powiedzieć?

– Zadaj jedno pytanie.

Winda niepokojąco szybko zbliżała się do celu. Na wyświetlaczu liczby malały, podobnie jak czas, który Wiktor mógł poświęcić na odpowiedź.

Ania nie miała złudzeń. Kiedy tylko otworzą się drzwi, Wiktor Braun zamilknie. Za bardzo dba o reputację, by pozwolić sobie na rozmowę z przedstawicielką mediów, i to rozmowę prowadzoną w miejscu publicznym.

– Skoro tu jesteś, to chodzi o coś więcej niż zwykłe przedawkowanie. Kim jest ten facet?

– Piotr Przemyk.

Zaskoczył ją. Nie spodziewała się usłyszeć odpowiedzi. Mógł milczeć. Mógł powiedzieć coś wymijającego. Mógł grać na zwłokę. Zamiast tego wypowiedział imię i nazwisko. Personalia, które nie były obce dziennikarce. Otworzyła szeroko oczy.

– Nikt nie może poznać jego nazwiska. Nie zawieź mnie, proszę. – Stał tak blisko niej, że gdy spojrzał w jej oczy, przeszedł ją dreszcz. – Mówi, że nie brał dopalaczy, ktoś musiał mu to jakoś zaaplikować.

Rogozińska chciała coś jeszcze powiedzieć, ale winda dotarła na parter. Drzwi się otworzyły, a prokurator skierował się do wyjścia. Skierował jeszcze tylko zniecierpliwioną wypowiedź niby w stronę Anny, niby w stronę ludzi, którzy czekali na windę:

– Odmawiam komentarza. Mówiłem już, proszę udać się do rzecznika.

– Miałaś przyjechać. – Matka jak zwykle miała wyczucie.

Zamiast zwykłego „dzień dobry, co słyhać” zaserwowała pretensję, z którą trudno było polemizować.

Anna nie zamierzała dyskutować z rodzicielką. Wyjeżdżała właśnie ze szpitalnego parkingu, automatycznie odebrała telefon, by zlikwidować denerwujące dzwonięcie, i usłyszała Renatę Rogozińską. Odrobina nieuwagi wystarczyła, żeby straciła panowanie nad kierownicą. Śnieg leżący na ulicy był ubity i lśniący. Koła mogły trafić na lód. Całkowicie straciły przyczepność, a samochód stał się bezwładną stalową masą zmierzającą ruchem jednostajnym w niewiadomym kierunku.

– Nie mogłam. Przyjadę.

– Kiedy? Nie wiem już, ile razy obiecywałaś, że przyjedziesz, a potem znajdowałaś wymówki, by tego nie zrobić. A ja mam ci tyle do opowiedzenia. – Po specyficznym wstępie Renata przystąpiła do codziennych opowieści o swoich sprawach – bardziej i mniej ważnych, a także tych błahych, które pozwalały na prowadzenie długiej rozmowy telefonicznej. – Bo wiesz...

– Przyjadę. – Anna przerwała kategorycznie. W tej samej chwili musiała wyprowadzić samochód z poślizgu i uspokoić matkę. – Jutro.

– Na obiad?

– Tak. – Skręciła koła w stronę, w którą uciekał tył. – Z Łukaszem – dodała przytomnie, bo wiedziała, że po takiej informacji matka skończy rozmowę i skupi się na przygotowaniach uroczystego obiadu.

\*

– Cześć. – W pokoju Małgorzaty pojawił się Bartek Krupa. – Twój ojciec mnie wpuścił.

– Ooo? – Dziewczyna siedziała przy biurku i malowała rzęsy.

Mieszkała z rodzicami i przeszkadzało jej to bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Na wiosnę planowała przeprowadzkę do ukochanego, jednak wypadki ostatnich tygodni zweryfikowały jej plany.

– Miło, że wpadłeś, ale ja za chwilę wychodzę.

– Dokąd? – Zabrzmiał jak Fabian. Troskę przykryła pretensja.

Nie mogła się pogodzić ze śmiercią Fabiana. Nie chciała pozwolić, by odszedł... Z tego świata i z jej pamięci. Wszystko przypominało jej ukochanego. Na ulicy zauważała taki sam samochód, jakim jeździł Fabian. W sklepie widziała jego ulubione perfumy. Na przystanku ktoś bawił się takim samym telefonem komórkowym, jaki miał Fabian. Ktoś inny śmiał się jak Fabian. Pracownik banku odgarniał włosy z czoła tak samo jak Fabian.

- Moja sprawa. Nie musisz mnie kontrolować.
- Martwię się o ciebie.
- Martw się o siebie.

Małgorzata zygzakowatym ruchem unosiła rzęsy ku górze. Wpatrywała się w lustro, aby uniknąć kontaktu wzrokowego z Bartkiem.

Dopóki Fabian żył, jego przyjaciele byli również jej przyjaciółmi. Cieszyła się, gdy bawili się wspólnie na imprezach. Gdy wyjeżdżali spontanicznie nad morze albo gdy wpadali do mieszkania Fabiana, aby obejrzeć mecz. Była wtedy obok ukochanego i miała wszystko na oku.

Teraz, kiedy Fabian odszedł od niej na zawsze, dawni przyjaciele powoli zaczęli zmieniać się we wrogów. Pozwalała sobie na negatywne odczucia.

W końcu chłopacy byli hermetycznie zamkniętą paczką. Mieli swoje tajemnice. Wspólne biznesy, do których nie dopuszczali Małgorzaty, jakby zakładali, że jest zbyt głupia na poważne rozmowy o pieniądzach.

Bartek siedział na łóżku. Spuścił głowę. Wpatrywał się w pasiaste skarpetki. Ośnieżone buty zostawił w przedpokoju.

- Martwię się też o siebie. Teraz moja kolej.

Małgorzata pokryła usta błyszczkiem i była gotowa do wyjścia. Za pół godziny powinna wejść do kawiarni „Czekolada” i przywitać się z dziennikarką z Primo TV.

- Gosiu... – szept Bartka na chwilę skupił jej uwagę. – Piotr zniknął.

– I co z tego? – Wzruszyła ramionami, udając obojętność. – Zniknął, to się i znajdzie.

- Nieprawda. Nie znajdzie się.

Usiadła na łóżku obok Bartka. Wyglądał na zmęczonego i spiętego. Kiedyś był zrelaksowany, uśmiechnięty, ale zdystansowany. Syn sędziego, szydzili z niego koledzy, nie potrafi okazywać emocji.

Małgorzata siedziała na łóżku obok zmartwionego Bartka i uświadomiła sobie, że z jego strony nigdy nie spotkało ją nic przykrego. Nie dogadywał jej, nie zaczepiał, nie wyśmiewał, nie opowiadał o poprzednich dziewczynach Fabiana. To Piotr z Grześkiem uwielbiali sprawiać, żeby czuła się źle. Snuli opowieści o byłych partnerkach Fabiana, ich atrakcyjnych częściach ciała i innych pikantnych szczegółach, których nie powinna i nie chciała znać.

- Znajdzie się – próbowała go pocieszyć.

- Wątpię. Coś się stało. Wiem to. Wieczorem bawił się na Starym Rynku.

Wyszedł z imprezy i tyle go widziano.

- Może się najebał i odsypia?

- Nie ma go w domu. Nie wrócił na noc.

– To może poderwał jakąś niunię? Poszedł do niej... – wymyślała kolejne usprawiedliwienia.

Przecież w ciągu jednego miesiąca nie może zginąć trzech kolegów... To oznaczałoby, że Fabian nie umarł przez przypadek. Myśli, które pojawiły się w głowie Małgorzaty, nie dawały jej spokoju. Może dziennikarka miała rację? Może cała trójka padła ofiarą mordercy?

– Niemożliwe. Miałem się z nim dziś spotkać. W sprawach zawodowych. ZAWODOWYCH – podkreślił. – Nie przyszedł. Nie dał znać, że nie przyjdzie. Nie odbiera telefonu. Zapadł się pod ziemię.

– Bartek, spokojnie, może niepotrzebnie się nakręcasz.

– Gośka, jestem spokojny. Bardzo spokojny...

– Myślisz, że... – Chciała wypowiedzieć myśli na głos, ale sama się ich przestraszyła.

– Boję się myśleć.

– Boże, Bartek, proszę powiedz, że Piotr żyje. Żyje, prawda?

– Nie wiem.

Zapadła cisza. Małgorzata zapomniała, że powinna już wychodzić z domu. Zachowanie Bartka oraz wydarzenia z ostatnich kilku tygodni zaczęły uwierać ją tak mocno, że po jej policzkach spłynęły pojedyncze łzy.

W ciągu miesiąca najpierw musiała wytrzymać huśtawkę emocjonalną Fabiana, potem jego śmierć, pogrzeb i pożegnanie się z wizją wygodnego życia u jego boku.

– Po co tu przyszedłeś? – Pociągała nosem.

– Prosić cię, żebyś nikomu nic nie mówiła.

– Czego mam nie mówić? – Patrzyła prosto w jego brązowe oczy, szukając odpowiedzi.

– Niczego. Wszystkiego. No wiesz. Po prostu. – Chciał powiedzieć jej wszystko, a jednocześnie nie zdradzić niczego. – Zapomnij o wszystkim, co kiedykolwiek usłyszałaś od Fabiana. Zapomnij.

– Ale o czym? Bartek, o co ci chodzi?

– Wiem, że nie był wylewny, ale mógł ci wspomnieć o problemach.

– Jakich problemach? Miał problemy?

– Gośka. Po prostu o nich zapomnij. – Złapał ją za ramiona. – Zapomnij. Tylko w ten sposób możesz być bezpieczna. Jeśli ktoś dowie się, że coś wiesz...

– Bartek! – Nie potrafiła pohamować płaczu. – Nie strasz mnie. I tak ledwo żyję. Jeśli masz na myśli jakieś firmowe sprawy... to nie wiem o nich nic. Fabian niczego nigdy mi nie mówił. Tłumaczył, że to męskie sprawy i że nie przynosi się pracy do domu. Nie rozmawiał ze mną na temat żadnych problemów...

– To może i lepiej. Spokojnie. Jeśli nie kłamiesz, to znaczy, że jesteś bezpieczna.

– Bartek, boję się. Chłopaki nie żyją, Piotrek zniknął. Chodzi o interesy, prawda? Zadarliście z niewłaściwymi osobami?

– Nie pytaj. Mieliśmy pewną tajemnicę. Fabian i Grzesiek zabrali ją do grobu.

Piotrek pewnie też. Teraz moja kolej...

\*

Mój dom jest moją twierdzą. Anna zgadzała się z takim twierdzeniem. Siedziała na kanapie, opatulona kocem. Grubymi murami oddzieliła się od świata zewnętrznego. Nie musiała oglądać innych ludzi. Słuchać ich rozmów. Nie musiała się odzywać ani uśmiechać.

Mogła być sama ze sobą. Uwielbiała takie towarzystwo. Akceptowała siebie, dlatego czas spędzony w samotności nigdy nie był czasem straconym.

Zbliżała się północ, a Anna powoli odzyskiwała spokój.

Ponad godzinę spędziła w kawiarni. Czekwała na rozmowę z dziewczyną Fabiana. Przyglądała się każdej osobie wchodzącej do lokalu. Nerwowo rozglądała się wokoło. Najpierw myślała, że rozmówczyni się spóźni, by zapewnić sobie dobre wejście i przewagę w rozmowie. Później, gdy minął kwadrans, Rogozińska próbowała dodzwonić się do dziewczyny. Na próżno. Nie odbierała telefonu.

Dziennikarka wysłała SMS-a. Nie czekała na odpowiedź. Wysłała kolejną wiadomość. Znowu nic.

Kiedy dopiła herbatę, a zegarek wskazywał wpół do siódmej, wyobraźnia Rogozińskiej zaczęła tworzyć przedziwne scenariusze, szukając odpowiedzi na pytanie: dlaczego rozmówczyni nie przyszła, mimo że sama zaproponowała miejsce i godzinę spotkania?

Być może komuś zależało na tym, by Anna bezproduktywnie spędziła czas na czekaniu? Może ktoś chciał w spokoju przeszukać jej mieszkanie? A może wcale nie umówiła się z dziewczyną Fabiana, tylko z jego mordercą? Zabił wcześniej dziewczynę i przywłaszczył sobie jej telefon. Dziennikarka dzwoniła kilka razy. Morderca widział połączenie przychodzące i dziewięć nic niemówiących cyfr. Nie mógł odebrać, wiadomo. Odczytał wiadomość testową, którą Anka przesłała później. Odpisał, bo wiedział, że odpowiedź wysłana z określonego numeru telefonu automatycznie zostaje uznana za napisaną przez właściciela aparatu.

Rogozińska wybiegła z kawiarni, zdenerwowana. Zapomniała o uporczywym zimnie. W rozpiętej kurtce, z czapką i rękawiczkami w torebce, dotarła do samochodu. Uruchomiła silnik i unikając gwałtownych ruchów kierownicą, pojechała do domu.

Na parkingu przy bloku panował ścisk. Jedyne wolne miejsce parkingowe zajęte było przez śnieg. Właściwie przez górę śniegu, odgarniętego z okolicznych uliczek.

– Grzegorz, Fabian, Piotr i Bartek.

Do domu dotarła zmarznięta i przerażona. Na szczęście wszystko stało na swoim miejscu. Nie zauważyła śladów bytności kogoś obcego. Zjadła kolację, wzięła gorącą

kąpiel, zawinęła się w koc i siedziała przed czystą kartką papieru, na której po raz kolejny usiłowała zapisać wszystkie swoje myśli.

– Znali się i przyjaźnili. Trzydziestego pierwszego grudnia w swoim towarzystwie rozpoczęli imprezę. Grzegorz nie miał stałej dziewczyny, podobnie Piotrek i Bartek. Dlaczego? Nie chcieli się jeszcze wiązać? A może byli gejami? – Przy dwóch imionach postawiła znaki zapytania. – Może byli parą? Dziewczyna Fabiana została w domu. Wiedziała, gdzie są chłopacy... wiedziała, co robią. A może chciała sprawdzić, czy są grzeczni? Czy nie zabawiają się z panienkami? Może poszła ich sprawdzić? – Kolejny znak zapytania pojawił się przy graficznym symbolu Wenus, mającym oznaczać dziewczynę. – Fabian i Grzegorz się kłócą. O co? – Imiona delikwentów połączyła linią przypominającą błyskawicę. Po chwili dodała dopisek: „kłótnia o?” – Grzegorz wychodzi na balkon. Wypadł czy został wypchnięty? Wiedzą o tym tylko Piotr, Fabian i Bartek. Ten ostatni mówił, że Ksawery Król groził Fabianowi. Jak to wszystko połączyć? I jeszcze dopalacze... fenylocośtam znaleziono w ciałach Grzegorza i Fabiana.

Wątków było za dużo, a Rogozińska była zmęczona. Czowała, że w tej historii jest coś, czego nie widzi. Coś, co w łatwy sposób spina wszystkie wątki, wyjaśnia sprawy na jej planie oznaczone znakami zapytania oraz zdradza motyw mordercy.

– Dopalacze. Jeśli coś byłoby w ich składzie, gdyby były zatrute... Brali je wszyscy, umarliby wszyscy naraz, a nie w odstępach czasu. Ktoś kogoś puszcza przodem... Piotr leży w szpitalu. Żyje. To szczęście. Muszę z nim porozmawiać i znaleźć odpowiedzi. Bartek miał rację: cała czwórka była w niebezpieczeństwie.

Minęła północ. Anna odłożyła notatki i poszła do łazienki. Jej myśli ciągle krążyły wokół jednego scenariusza. Grzegorza Króla zabił Fabian. Może to planował, a może stało się zupełnie przez przypadek. Nie zastanawiała się nad motywem, ważniejszy był efekt działania. Zabójstwo. Koledzy kryli Fabiana. Ksawery Król domyślał się, że nie dojdzie sprawiedliwości w sądzie. Wziął sprawy w swoje ręce. Zabił Fabiana. Może niekonieczne własnymi rękoma. Może kimś się wysłużył.

– Tylko co dalej? Piotr wiedział, że Król zabił? Dlatego sam zginął? Nie, Bartek też boi się o swoje życie. Oni muszą dysponować wiedzą, która dla Króla jest kompromitująca. – Rogozińska skończyła rozmowę z lustrzanym odbiciem.

Przebrała się w pidżamę i wróciła do łóżka – z myślą, że zanim porozmawia z Piotrem, musi zająć się Wiktorem Braunem. Powoli zaczęła go oswajać. Zyskiwała jego zaufanie. Nie miała jednak czasu na długą grę wstępną. Każdy dzień był na wagę złota. Musiała przyspieszyć i wcześniej ograć ostrożność prokuratora. Użyć wszelkich wdzięków, by uzyskać informacje, którymi dysponował Braun.

---

[14] Tamże, s. 47.

## ROZDZIAŁ 16

### 11 dni do walentynek

Prokurator Wiktor Braun był wierny zasadzie prowadzenia przesłuchań w budynku prokuratury. Oszczędzało to czas i ułatwiało prowadzenie czynności. Nie musiał wychodzić na dwór, stać w korkach, spóźniać się czy szukać miejsca, w którym powinien się pojawić.

Bardzo rzadko czynił wyjątki od tej reguły. Dziś znalazł jeden. Usiłowanie zabójstwa.

Znajdował się w szpitalu i przysłuchiwał się zeznaniom Piotra Przemyka, którego stan zdrowia ustabilizował się na tyle, by lekarze zezwolili na spotkania z przedstawicielami prawa.

– ... Byłem w kiblu. Dostałem SMS-a. Odczytałem go kilka minut później, bo miałem zajęte ręce. Nieznany numer przesłał krótką wiadomość „za dwadzieścia minut na Wrocławskiej”. Pamiętam, że spojrzałem na wyświetlacz, żeby ustalić, o której godzinie przyszedł ten SMS. Trzydzieści minut przed dwudziestą trzecią. Wyszedłem z kibla, wziąłem kurtkę i poszedłem tam... Ze Starego Rynku miałem jakieś pięć... może dziesięć... minut drogi.

– Do kogo należał ten numer?

– Mówiłem już. Nie znam go.

Prokurator pokiwał głową.

– Skąd wiedział pan, dokąd iść?

– No, na Wrocławską...

– Ale Wrocławską ile?

– Nie wiem. Po prostu poszedłem. Wrocławska nie jest długa. Doszedłem do końca. Poczuję się źle. Nie mogłem mówić. Usiadłem. Pamiętam, że wszyscy do mnie podchodzili, coś mówili, a ja byłem przekonany, że umrę. Umrę, jeśli nie odejdą.

Policji nie udało się ustalić nadawcy wiadomości tekstowej. Telefon zarekwirowali w momencie przyjęcia sprawy, przejrzeni historię połączeń i listę SMS-ów. Numer, z którego przyszła ostatnia wiadomość, pochodził z oferty na kartę. Kupił go anonimowy człowiek.

– Dostał pan wiadomość od nieznajomego i tak po prostu poszedł na spotkanie...

– Tak.

Prokurator milczał i czekał na wyjaśnienia. Nie chciał zadawać pytań. Nie chciał mówić, że wydaje mu się to dziwne. Zbudował zdanie w taki sposób, by poszczególne części się ze sobą kłóciły, i czekał na reakcję przesłuchiwanego.

– Jak pan prokurator zapewne wie, nie byłem całkiem trzeźwy – kontynuował Przemyk. Siedział na szpitalnym łóżku i gimnastykował dłonie. Zginał i prostował



palce. Masował je. Splatał. – Poza tym działo się coś ze mną dziwnego. Jakoś tak uznałem, że skoro bawię się na parkiecie z nowo poznaną dziewczyną... znikam na chwilę w kiblu i dostaje SMS-a... to jego nadawcą jest dziewczyna. Myślałem, że czeka na mnie na Wrocławskiej. Rozumie pan...

– Przyjmował pan jakieś środki?

– Pyta pan o dopalacze? Nie będę mówił, że nigdy tego nie robiłem. Owszem, nie widzę nic złego w pobudzaniu swojego organizmu za pomocą medykamentów różnego rodzaju. Ale tego dnia nie brałem. Przyrzekam. Poszedłem do klubu zarwać pannę. Nie lubię seksu po dopalaczach. Wypiłem tylko dwa kieliszki wódki, i to już w lokalu.

– W pana organizmie znaleziono środki psychoaktywne.

Braun przed przesłuchaniem przeczytał dokumenty zgromadzone w tej sprawie. Opinia lekarzy z oddziału toksykologii była jasna. Duże stężenie fenyloetyloamin. Toksykologodzy sugerowali, że to substancja z rodziny NBOMe'ów, ostatnio bardzo modnych na rynku.

– Sam ich nie wziąłem. Dlatego też podejrzewam, że ktoś chce mnie zabić. W Poznaniu grasuje morderca. Nie żyją moi przyjaciele, Grzesiek i Fabian. Ktoś chciał zabić też mnie! Zróbcie coś.

– Może przyjął je pan przez pomyłkę?

– Nie, nie, wykluczone. Tego nie bierze się przez pomyłkę.

– Ktoś panu je podrzucił na imprezie?

– Niby jak? Nie jestem głupią panną, której do drinka można wrzucić pigułkę gwałtu. Zamówiłem dwa kieliszki wódki. Zapytajcie barmana. Nalewał wódkę na moich oczach. Od razu łyknąłem.

– Co robił pan przed imprezą?

– W sumie nic ciekawego. To co zwykle. Byłem w pracy. Wieczorem pojechałem na imprezę.

Piotr Przemyk prowadził niewielką firmę budowlaną. Prokurator znał jej nazwę, adres oraz zakres działalności. Policjanci przesłuchujący rodziców Przemyka zanotowali w protokole, że Piotr ukończył studia prawnicze, ale zamiast iść na aplikację, postanowił zostać biznesmenem. Praktykę nabywał u znajomego ojca. Następnie zarejestrował własną działalność gospodarczą i wykonywał usługi, które zawsze będą potrzebne. Przeprowadzał mniejsze i większe remonty, od czasu do czasu budował domy jednorodzinne na zlecenie.

– Chociaż nie – Przemyk się zawahał. – Było jeszcze coś. Zanim dotarłem na Stary Rynek, odwiedziłem Króla.

– Był pan na cmentarzu?

– Nie, mam na myśli ojca Grzegorza. Byłem w jego biurze poselskim. Koło dwudziestej.

– Dlaczego tak późno?

– Nie wiem. Chciał ze mną rozmawiać. Podał miejsce i porę.

Prokurator zanotował, żeby sprawdzić sposób kontaktu mężczyzn. Powinien zostać ślad, rozmowa telefoniczna, adnotacja w kalendarzu lub wiadomość SMS.

– Jaki był temat waszej rozmowy?

– Właściwie żaden. Niby chciał rozmawiać, ale nie bardzo miał o czym. Złożyłem mu jeszcze raz kondolencje. On powiedział kilka miłych słów o Grzešku. Potem porozmawialiśmy jeszcze o pogrzebie i o pogodzie.

– Jedliście coś wspólnie? Piliście?

– On pił coś z filiżanki. Ja poprosiłem o sok.

\*

Renata Rogozińska otworzyła drzwi. Była ubrana w odświętną sukienkę. Niecodziennie przyjmowała u siebie Łukasza Zawodnego. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy, wiedziała, że jest idealnym kandydatem na męża dla córki.

Ania traktowała go wtedy jeszcze jak kolegę i głośno protestowała przeciwko wszelkim insynuacjom, ale matka i tak wiedziała lepiej. Wiadomość o tym, że córka zmieniała statut znajomości z Zawodnym (z koleżeństwa na związek), Renata przyjęła z denerwującym córkę uśmiechem i pytaniem: „kiedy ślub?”.

– No, jesteście w końcu, zapraszam do środka!

– Cześć, mamó.

– Dzień dobry, pani Renato.

– Mam nadzieję, że jesteście głodni.

– Bardzo, przyjechaliśmy prosto z pracy.

– I bardzo mnie to cieszy. Mam nadzieję, że się nie spieszycie. Posiedzimy w spokoju i porozmawiamy...

Uwagę Renaty przykuło dziwne zachowanie gości. Pierwszy do domu wszedł Łukasz, jakby zapominając o zasadach dobrego wychowania. Rozpiął kurtkę i zdjął czapkę. Dopiero za chłopakiem weszła Ania. Zamknęła za sobą drzwi i stanęła nieruchomo.

– No rozbierajcie się, rozbierajcie. – Pospieszała gospodyni, przyglądając się córce.

Stała w przedpokoju, w zapiętej kurtce, jakby bała się ją rozpiąć. Renata zwróciła uwagę na posturę Anny. Córka wyglądała jakoś inaczej. Miała zaburzone proporcje. Brzuch wydawał się nieproporcjonalnie wielki w stosunku do reszty ciała.

– Chwila – zaprotestowała dziennikarka. – Musimy ci coś powiedzieć.

– Tak? – Renacie zrobiło się słabo.

– Właściwie to mamy dla pani...

– Mamy dla ciebie... – Młodzi prześcigali się, aby ogłosić dobrą nowinę. – Prezent.

Renata Rogozińska oparła się o ścianę i czujnie obserwowała twarze gości. Byli zadowoleni i dumni z siebie. Córka rozpięła kurtkę.

– Prezent?

Spod kurtki spoglądało na nią przerażone psie spojrzenie.

– Ojej, a co to za słodkość?

Na rękach córki siedział dorosły ratlerek i małymi wybałuszonymi oczami obserwował zachowanie ludzi. Trząśł się.

– Pokaż mi go. Jaki on jest cudowny. – Matka przejęła psa i przytuliła go do swoich piersi.

– To ona. Suczka. Wabi się Gwiazdka.

– Zimno jej jest. Boże, boże, takiego małego piesiulka zabrali na taki wielki mróz? – Renata zaczęła rozmawiać z suczką, a Łukasz i Ania pozbyli się kurtek i butów. – Tak zimno? Tak zimno? Zaraz pieska rozgrzejemy. Chodźcie do salonu – zwróciła się do gości. – Mam taki ciepły koc, zaraz poszukam i dam Gwiazdeczce. Takie małe ciało musiało zmarznąć podczas podróży.

Renata najpierw opatuliła psa kocem, a dopiero potem usiadła na fotelu.

– Jaka słodka kruszynka – ekscytowała się nadal, ale po chwili dodała: – Po co mi pies?

– To ty jesteś potrzebna psu. Zaopiekuj się nim.

– Niepotrzebnie go kupowałaś – kobieta zaprotestowała. – Takie rzeczy uzgadnia się przecież...

– Mamo! – Anka uniosła głos, ale zobaczyła, że przestraszyła psa. Gwiazdka się skuliła i przerażonymi, wybałuszonymi oczami obserwowała, z której strony nastąpi atak. – Pamiętałam, że zawsze chciałaś mieć psa, ale ojciec był temu przeciwny. Może to czas, żeby zrobić to wszystko, czego kiedyś nie mogłaś. Poza tym – zaznaczyła wyraźnie – nie kupiłam! Przecież zwierząt się nie kupuje! Podobnie jak ludzi. Zacznijmy jeszcze raz. – Ania przystąpiła do oficjalnej prezentacji. – Mamo, to jest Gwiazdka. Gwiazdko, to jest twoja nowa pani.

Zakłopotana Renata pocałowała psią główkę. Z jednej strony bardzo chciała zatrzymać pieska. Z drugiej...

– Aniu, ale jak ty sobie to wyobrażasz? Jestem stara. Schorowana. I co ja mam teraz zrobić? W taki mróz mam wychodzić na spacer z psem? Przecież nie pomożesz mi w opiece nad Gwiazdką. Nie przeczę, jest piękna, ale ja już jestem za stara, by przyjąć taki kamień... u nogi.

– To mały pies, nie potrzebuje wiele. – Łukasz włączył się do rozmowy. W końcu to jego pomysł właśnie realizowali. – Nie musi spacerować.

– No właśnie. Masz ogród i dom. Jak nie będziesz chciała z nią wyjść na spacer,

wypuścisz ją do ogrodu.

– Córuś, do ogrodu? W takich warunkach? Przecież to maleństwo zapadnie się w śniegu...

– Mamo. Ja rozumiem, że ty jej nie potrzebujesz. Ale ona bardzo potrzebuje ciebie. Wyobraź sobie, że Gwiazdka żyła na dworze. Nie wiadomo jak długo. Dwa dni przed Wigilią jakaś rodzina mieszkająca w domku jednorodzinym zorientowała się, że bezdomny pies sypia przy ich śmietniku. Zaczęli ją karmić i oswajać. Była dzika, bardzo głodna i przestraszona. Znaleźli jej dom tymczasowy. Tak trafiła do Agnes, od której ją wzięłam. Tam nauczyła się żyć z ludźmi. Załatwić potrzeby fizjologiczne na dworze. Ufać człowiekowi. Tam też wróciła do zdrowia, bo po wizycie u weterynarza okazało się, że jest chora. Ona potrzebuje kogoś, kto ją pokocha. Jeśli jej nie chcesz...

– Przepraszam, ale czy przypadkiem nic się tam nie przypała? – Łukasz przerwał Ance i wskazał palcem w stronę kuchni.

– Jezus, mój obiad!!!

## ROZDZIAŁ 17

### 9 dni do walentynek

Rogozińska stała przed okazałą, pięciokondygnacyjną kamienicą na ulicy Wrocławskiej i w skupieniu obserwowała okolicę.

Naprzeciwko znajdował się rozległy, ale niski budynek, który wydawał się nie pasować do reszty zabudowy. Był o połowę niższy, a na morelowej elewacji widniał numer dwadzieścia pięć.

Ulica biegła od Starego Rynku w kierunku południowym i od kilku lat była deptakiem, udostępnionym pieszym i rowerzystom. W jego ciągu znajdowała się kiedyś Brama Wrocławska – jedna z głównych bram dawnego Poznania, stanowiąca element murów miejskich.

Dokładną lokalizację bramy upamiętniono czerwoną kostką brukową, której teraz nie było widać, gdyż cała ulica przykryta była śniegiem. Na chodniku leżała świeża warstwa piasku wymieszanego z solą. Mieszanki zabójczej dla skórzanych butów Rogozińskiej.

Dziennikarka podeszła do stalowej bramy oddzielającej posesję numer dwadzieścia od przypadkowych przechodniów, klientów sklepów monopolowych i baru z kebabem.

Naciągnęła na uszy czapkę, a szalik uniosła tak, by zakryć jak największą część twarzy. Miała dość zimy. Od kilku miesięcy walczyła z uczuciem chłodu. Ciepła jesień dawała nadzieję na zmianę klimatu. Zima mogła nie przyjść lub wpaść tylko na kilka tygodni. Najchętniej tych w okolicach Wigilii. Poproszyć śniegiem. Ucieszyć oczy. Zadowolić dzieci spragnione jazdy na sankach. Spakować walizki i uciec. Zrobić miejsce wiosnie, nawet jeśli wiosna miałyby być długa i chłodna.

Niestety. Zaraz po Wszystkich Świętych zima przypomniła sobie o obowiązku denerwowania wszystkich Polaków. Wpadła, nieproszona, jak co roku paraliżując ruch w miastach. Rozgościła się na dobre i nie zamierzała odpuścić. Mroziła zwierzęta, bezdomnych i emocje.

Anna z rezygnacją nastawiała się na kolejne miesiące zmarzniętych nóg, zatok wykazujących się nadprodukcją wydzieliny i odrętwiałych rąk.

– Przepraszam, chciałbym przejść.

Dziennikarka nieznacznie się odsunęła, by przepuścić chłopaka wychodzącego z kamienicy. Młodzieniec z gołą głową otworzył drzwi szeroko i poprawił fryzurę. Dziennikarka spojrzała na furtkę i zdążyła ją chwycić, zanim ta się zamknęła.

Rogozińska pojawiła się na Wrocławskiej w jednym celu. Chciała dostać się do środka i porozmawiać z mieszkańcami. Nagimnastykowała się, by ustalić, gdzie został znaleziony Piotr Przemek. W tym temacie nie mogła liczyć na przystojnego prokuratora.

Wykorzystała stare znajomości. Znajomości znajomych. Umówiła się na kawę, plotki i na herbatę. W końcu dotarła do ekipy karetki pogotowia, która odwiozła naćpanego mężczyznę do szpitala.

– Przepraszam – zagadnęła dziewczynę spotkaną na klatce schodowej.

Kolejna młoda osoba wychodząca na minus osiem stopni Celsjusza bez czapki, zauważyła Anna i podsumowała w myślach, że jednak młodość ma swoje prawa.

– Tak?

– Mieszkasz tu?

– A co? – Dziewczyna zatrzymała się i spojrzała na Rogozińską podejrzliwie.

– Jestem Anka. Anka Rogozińska.

– Chcesz mnie poderwać czy wbić się na chatę?

– Nie. Jestem dziennikarką – dopowiedziała Anka. – Z Primo TV. Szukam kogoś...

– Spoko, wal, kogo. Znam tu wszystkich.

– Szukam kogoś, z kim mogłabym porozmawiać. Znalaziono tu faceta nafaszerowanego dopalaczami...

– O, nie, w tym temacie nie pomogę. Nie sądzę, by ktoś chciał rozmawiać. To musiał być jakiś ćpun. To przypadek, że usiadł pod naszą kamienicą. Nie znamy go.

Rogozińską zdziwiła reakcja dziewczyny, która wypowiadała się autorytarnie w imieniu wszystkich mieszkańców sporej kamienicy. W dzisiejszych czasach człowiek rzadko wie, co dzieje się u sąsiada za ścianą.

– Bez obaw. – Dziennikarka uznała, że być może rozmówczyni się spięła, bo nie chciała mówić o dopalaczach. – Chciałam tylko porozmawiać z kimś, kto widział całe to zdarzenie. Która z sąsiadek siedzi całymi dniami w oknie?

– Z sąsiadek? – Śmiech dziewczyny przypominał odgłosy wydawane przez dzikie zwierzę.

– No wiesz, jakaś wścibska staruszka? Ktoś, kto wie wszystko o wszystkich.

– Rozbawiłaś mnie. Muszę lecieć na zajęcia.

– Poczekaj. Powiedz tylko, z kim mam porozmawiać.

– Sorry, znajdziesz tu wszystko. Naprawdę wszystko. Ale nie staruszkę. Wydaje mi się, bez urazy oczywiście, że to ty jesteś w tej chwili najstarszą przebywającą tu osobą.

– Nie rozumiem.

Dziennikarka bezradnie rozejrzała wokoło. Odnowione schody. Jaskrawo zielone ściany. Plastikowe okna. Znajdowała się w okazałej i zadbanej kamienicy w centrum miasta. Nie zauważyła spisu lokatorów, ale musiało ją zamieszkiwać przynajmniej dwadzieścia kilka rodzin.

– Myślisz, że w takiej kamienicy mógłby mieszkać ktoś po trzydziestce?

– O co ci chodzi?

- O to, że to jest Harvard.
- Harvard?
- Tak. Prywatny akademik.

\*

Ksawery Król na przesłuchanie do prokuratury dotarł punktualnie. Po budynku poruszał się dumnie i bez zbędnych pytań dotarł do gabinetu Brauna. Zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Zajął wskazane miejsce siedzące.

Najtańsze krzesło biurowe pochodzące z kolekcji dostępnej w supermarketach? Polityk uznał, że byłoby mu wstyd sadzać swoich gości na takim szajście.

– Następnym razem zapraszam pana do siebie – zaproponował, ale wcale nie dlatego, że planował kolejne rozmowy z prokuratorem. Był zapobiegliwy i chciał zaoszczędzić sobie kolejnej podróży przez pół miasta. – Przynajmniej podczas rozmowy napijemy się dobrej kawy.

W przeciwieństwie do większości gości odwiedzających budynek prokuratury nie czuł się nieswojo. Od lat był czynnym politykiem. Bywał w różnych miejscach. Ubogich i po brzegi wypełnionych przepychem. Rozmawiał ze społeczeństwem i elitą kraju.

– Proszę opowiedzieć mi o spotkaniu z Piotrem Przemyskim.

– Którym spotkaniu?

– A ile ich było?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nie liczyłem. Piotr był kolegą mojego syna. Czasem nawet u nas nocował. Nie liczyłem wszystkich spotkań. Przez kilkanaście lat trochę by się tego uzbierało.

– Mam na myśli ostatnie spotkanie.

– Ostatnie? – Król zawiesił głos.

Prokurator nalegał, a jego mina zdradzała, że nie przestanie zadawać pytań, dopóki nie otrzyma wyczerpujących odpowiedzi. Wyczerpujących i oszczędnych. Król dobrze wiedział, że prokuratorzy, w przeciwieństwie do wyborców, nie przepadali za kwiecistym językiem i nieostrymi deklaracjami.

– Ostatnie.

Prokurator nie podał daty ani nie wymienił dnia. Pozostawił w tym względzie pełną dowolność odpowiedzi. Ksawery Król był przygotowany do rozmowy. Na biurku zawalonym papierami i kartonowymi teczkami położył skórzaną aktówkę. Wprowadził kod pozwalający ją otworzyć, po czym z wnętrza wyjął kalendarz w skórzanej oprawie.

Lubił otaczać się luksusowymi przedmiotami stanowiącymi o jego statusie społecznym.

Przez chwilę przeglądał kalendarz. Zatrzymał się na stronie z datą śmierci Przemyska.

– O proszę, to było ostatnie spotkanie. Przemysk przyszedł do mnie.

– Pan pozwoli? – Prokurator Braun sięgnął po kalendarz.

Plan zadań wypełniony był szczelnie od godziny dziesiątej do osiemnastej trzydzieści. Przy godzinie dwudziestej widniał krzywy napis „Przemysk”, dodany zupełnie innym charakterem pisma.

W wyniku podjętych czynności sprawdzających policja ustaliła, że Piotr dzwonił do polityka z samego rana.

– Kto zrobił ten dopisek?

– Ja. Plan dnia wpisuje mi zawsze sekretarka. Pod koniec pracy przepisuje wszystko ze swojego kalendarza biurowego do mojego. Piotr zadzwonił rano, wpisałem go na pierwszą wolną godzinę.

– Przyszedł... w jakim celu?

– Nie wiem. Bliżej nieokreślonym.

– Wydawało mi się, że jest pan zabiegany człowiekiem.

– Co ma pan na myśli?

– Spotkał się pan w biurze z kolegą zmarłego syna, tak po prostu, bez powodu? I to o dwudziestej? W biurze, nie w domu?

– Piotr dzwonił do mnie. Błagał o spotkanie. Nie miałem czasu. Poprosił o pięć minut. Wiedziałem, że o dwudziestej będę w biurze, aby w ciszy pracować nad wystąpieniem. Kazałem mu przyjść. Nie chciałem tracić czasu na jazdę po mieście, rozmowy w kawiarni czy pubie.

– Przyszedł punktualnie?

– Tak.

– Co mówił?

– Właściwie nic. Kilka zdań o pogodzie, o pogrzebie, pytał, kiedy Grześ będzie miał pomnik na cmentarzu. Moim zdaniem chciał sobie pogadać. Nie miałem na to czasu. Kazałem mu wyjść.

– To wszystko?

– Tak.

– Kawy mu pan nie zaproponował?

– Nie.

– Nie?

– Kawę o dwudziestej? Nie. Poza tym nie było sekretarki, która by ją przygotowała. Musiałbym sam... Nie.

– Jak długo rozmawialiście?

– Nie wiem, z kwadrans. Może chwilę dłużej. On trochę mówił, trochę milczał.

– Siedzieliście tak bez kawy, herbaty?



– Już pan o to pytał.

Wiktor dobrze wiedział, o co pyta. Wiedział też, że dwukrotne pytanie o to samo nie zawsze pociąga za sobą te same odpowiedzi. Działał świadomie i z premedytacją. Zdawał sobie sprawę, z kim rozmawia. Przepytывał Króla przy okazji śmierci jego syna, Grzegorza. Oglądał wywiad z udziałem polityka. Od lat obserwował jego karierę. Prywatnie uważał, że Ksawery Król posiada wyjątkowy talent manipulowania rozmówcami, przekazywania niepełnych informacji, zgrabnego unikania kłamstw i osiągnięcia celu w każdej sytuacji.

– Gdyby to do mnie wpadł dzieciak, którego znam od lat, poczęstowałbym go czekoladkami.

– Nie trzymam w biurze czekoladek. – Ksawery Król wyglądał na rozbawionego. Zupełnie jakby prowadził luźną rozmowę podczas biznesowego lunchu. – Straciłbym linię. Chociaż uwielbiam czekoladę. Ale chyba już wiem, do czego pan zmierza. Wody mu nalałem. Nie siedzieliśmy o pustych pyskach. Właściwie to może nawet soku.

– Co dodał pan do soku?

– Nic. Nie miałem lodu. Czemu pan pyta? Jeśli chciałby pan podszkolić swoje umiejętności barmańskie, to obawiam się, że nie jestem dobrym nauczycielem. Jeśli nie ma pan więcej pytań, będę musiał się zbierać. – Król uniósł się, nie czekając na odpowiedź. – Muszę jechać do Urzędu Miasta, mam umówione spotkanie z prezydentem. Nie mogę się spóźnić.

– W takim razie oszczędzę pański czas i zapytam wprost. – Prokurator rozpostarł się na fotelu. Zamierzał zbić polityka z pantałyku. – Czy dodał pan do napoju Przemyka substancje psychoaktywne?

\*

Rogosińska, zaskoczona rozwojem wypadków, dotarła do samochodu, uruchomiła silnik i na telefonie komórkowym próbowała odnaleźć informacje dotyczące prywatnego akademika.

Po wpisaniu w wyszukiwarkę haseł „Harvard + Poznań” oczom Rogosińskiej ukazał się bezpośredni link do strony internetowej. Kliknęła na niego, ale strona nie chciała się otworzyć. Wczytało się jedynie przyjemnie wyglądające logo.

Klnąc w myślach na operatora komórkowego odpowiedzialnego za mocno ograniczony dostęp do internetu, włączyła się do ruchu.

Bardzo szybko dotarła do firmy i bez problemu znalazła miejsce parkingowe. Wbiegła po schodach, poprawiając sobie tym samym krążenie.

Rozgrzana, dopadła komputer stacjonarny. Włączyła przeglądarkę internetową i wpisała adres interesującej ją strony.

Okazało się, że Harvard to sieć prywatnych akademików znajdujących się w różnych częściach Poznania.

Nowoczesny układ graficzny strony oraz hasła marketingowe zachęcały studentów do zamieszkania w wyjątkowych i starannie wyselekcjonowanych budynkach. Poza dobrą lokalizacją i odpowiednim standardem miały one także to COŚ, co we współczesnych czasach decyduje o sukcesie. Elitarność.

Harvard obejmował sześć kamienic zlokalizowanych na Starym Mieście, w centrum lub w bliskim sąsiedztwie popularnych uczelni poznańskich. Każdy z budynków posiadał swoją unikalną nazwę nawiązującą do Harvardu i dodającą mieszkającym tam studentom przekonania o swojej wyjątkowości.

Osobne zakładki dotyczyły opisów poszczególnych lokalizacji. Nieruchomość znajdującą się na rogu Starego Rynku i ulicy Paderewskiego nosiła miano: Eliot House – dokładnie tak nazywał się najlepszy i najbardziej luksusowy dom studencki Uniwersytetu Harvarda.

– Określany jako bardziej harwardzki od Harvardu – odczytała na głos.

Były też Zuckerberg House, Gates House, Roosevelt House, Obama House, a także najbardziej artystyczny Morello House. Marketingowe określenia pochodziły od nazwisk znanych absolwentów Harvardu.

– Cześć, Aneczko. – Artur podszedł do niej w dobrym humorze. – Co słyhać?

– Świetnie. Byłam rano w domu Gatesa.

– Dobrze się czujesz? Nie masz gorączki?

– Czuję się świetnie. Wręcz wspaniale.

– Ale masz wypieki na twarzy...

– Zawsze je mam, gdy jestem podniecona... Zobacz. – Rogozińska otworzyła zakładkę z Gates House. – To prywatny akademik. Jeden z sieci. Ten mieści się na Wrocławskiej. Znalaziono przed nim nieprzytomnego Piotra, kolegę Grzegorza Króla.

– Latającego Grzesia, tak?

– Właśnie. A teraz patrz tu. – Tym razem otworzyła zakładkę prezentującą nieruchomość położoną przy ulicy Czartoria. – To jest Morello House.

– Morello? Od tego Morello? Gitarzysty *Rage Against the Machine*?

– Artur, proszę, skup się, bo nie ręczę za siebie. Popatrz!

Lipiec przez chwilę przyglądał się zdjęciom pokoi, łazienki, kuchni i pomieszczeń wspólnych. Miał nieodparte wrażenie, że gdzieś już je widział. Dopiero, gdy na końcu strony zauważył napis „strefa relaksu”, skojarzył fakty.

– Znam ten dom.

– Bingo. Byliśmy tam niedawno. To przed nim znalaziono zwłoki Fabiana, kolegi Grzegorza i Piotra.

– To co robimy?

Łukasza Zawodnego przeraził głos, który do niego dotarł. To był jego głos. Wrodzona sumienność i życie według planu wielokrotnie uniemożliwiały spontaniczność.

Siedział właśnie na kanapie w mieszkaniu Anki. Dziennikarka przylegała do Łukasza ciałem odzianym w dres.

– Ale co? – spytała leniwie.

– Wychodzimy czy zostajemy?

Przyszedł po nią o osiemnastej. Mieli odwiedzić nowo otwartą restaurację w centrum miasta. Ania nie była jeszcze gotowa do wyjścia. Otworzyła, ubrana w dres, i ze zboląłą miną kazała Łukaszowi poczekać. Zrobiła herbatę, bo skarżyła się na to, że zmarzła w ciągu dnia i nie może się rozgrzać. Usiadł na kanapie, przyciągnął ją do siebie. Anka nakryła ich kocem. Siedzieli przytuleni i wsłuchiwali się w odgłosy dochodzące zza ściany.

Przerażony, czekał na odpowiedź. Nie mógł już cofnąć pytania.

– Zostajemy! – zdecydowała automatycznie, po czym dodała delikatnie: – No chyba, że bardzo ci na tym zależy.

Spojrzała na niego uważnie. Ucieszył się. Przede wszystkim z tego, że podjęła dobrą decyzję. Wolał nie wypuszczać jej w tej chwili z objęć.

Z radością obserwował również to, że po podjęciu decyzji się wycofała i zostawiła miejsce na jego opinię. Zmieniała się właściwie z dnia na dzień. Napracował się, by ją otworzyć, ośmielić uczuciowo i zdobyć jej zaufanie. Zaczęła liczyć się z jego zdaniem. Zauważała go jako partnera. Chciał, żeby się w nim zakochała.

– Anno, zależy mi... na tym, żebyś była szczęśliwa.

– W takim razie restaurację zaliczmy następnym razem. Zostajemy.

Jeśli obiecujący pocałunek, który otrzymał, miał wynagrodzić mu opuszczenie kolacji serwowanej w restauracji, to był w stanie zrezygnować jeszcze z kilku wyjść zaplanowanych na ten miesiąc.

– Dobrze. W takim razie może zamówimy pizzę? Nie samą miłością człowiek żyje.

– Nie trzeba. – Dumna Anka wyskoczyła spod koca i pobiegła do kuchni. – Wyobraź sobie, że tym razem mam w lodówce coś więcej niż światło. Proszę bardzo. Leczo! – Wyjęła z zamrażalnika półtoralitrowe pudełko. – Rozmrozę i za godzinę będziemy mogli rozkoszować się smakiem lata.

– Świetny pomysł. To może, skoro mamy sześćdziesiąt minut, zagospodarujemy je tak, by nabrać jeszcze większego apetytu na kolację?

Przez całe życie Anna Rogozińska pędziła jak rozpędzony samochód terenowy. Nie zauważała małych muszek zgniecionych siłą rozpędu. Nie zauważała mijanych miejsc czy krajobrazów. Odliczała jedynie odległość dzielącą ją od celu.

Ściagała się w rajdzie Paryż-Dakar. Pokonywała kolejne odcinki specjalne. Radziła sobie z awariami i problemami, mobilizowała siły i podążała prosto przed siebie.

– Jesteś cudowna. – Łukasz powtórzył to po raz setny w ciągu ostatnich piętnastu minut i opadł na poduszkę.

Próbował zapanować nad zadyszką. Bezskutecznie.

Zegar z kukułką znajdujący się u sąsiadów zakomunikował godzinę dwudziestą. Anna leżała obok spoconego Łukasza i obserwowała jego klatkę piersiową, która się unosiła i opadała miarowo.

– Ty jesteś cudowny – szepnęła.

W końcu się rozgrzała. Było jej gorąco, miło i bezpiecznie. Ciepło zapewniła jej dawka ćwiczeń fizycznych, pomagających rozładować pożądanie. Łukasz muskał palcem włosy Anki. Prowadzili leniwą rozmowę. Bez napięcia, bez chęci zaimponowania, zabłyśnięcia intelektem. Spotykali się na tyle długo, by czuć się przy sobie całkowicie swobodnie.

Na balkonie gromadził się śnieg, po dworze hulał mroźny wiatr, ale Anna nie musiała wychodzić z domu. Tak właśnie rozumiała słowo „sielanka”. Niczym niezmaczone i spokojne życie. Chwila, którą chciałyby zatrzymać. Zapomnieć o wyścigu. Zapomnieć o zimie. Zapomnieć o problemach. Czuć ciepło drugiego człowieka i jego wsparcie. Łukasz dawał jej również ciepło emocjonalne. Okazywał zainteresowanie, zrozumienie i miłość. Uczucia będące czymś więcej niż chwilową fascynacją. Nie potrafiła ich jeszcze odwzajemnić w taki sposób, w jaki by chciała. Przyjmowała je jednak z satysfakcją.

– Aniu?

– Tak?

– Martwisz się czymś?

– Nie. Dlaczego?

– Miałem wrażenie, że podczas... że byłaś jakaś nieobecna.

– Wyekspediowałeś mnie w kosmos swoimi pieszczotami.

Próbowała żartem przykryć zdziwienie. Oczywiście, że była nieobecna.

– Dobra, dobra – Łukasz przyglądał się Annie podejrzliwie – a serio?

Wiedziała, że nie ucieknie od odpowiedzi. Pozwoliła się mu poznać na tyle, że straciła otoczkę tajemniczości. Był zbyt inteligentny, by nie zauważyć uników.

– Przepraszam. Spokoju nie daje mi się tych prywatnych akademików. Harvard. Jeśli przyjmiemy, że śmierć Grzegorza Króla i jego dwóch kumpli nie była przypadkiem, to być może miejsca, w których odnaleziono ich zwłoki, też nie były

przypadkowe. – Wyrzuciła z siebie kłębiące się myśli i dopiero po chwili poczuła, że nie powinna była się tak zachować.

Leżeli w łóżku. Nadzy. Łapali oddech po intymnym zbliżeniu. Powinna powiedzieć coś romantycznego. Powinna tulić się do jego ramion. Powinna wychwalać umiejętności seksualne. Zamiast tego opowiadała o zwłokach.

– Jak to dwóch kumpli? To ten ostatni już umarł? – Łukasz usiadł na łóżku, ożywiony.

– Oj, nie, nie umarł. Trochę przesadziłam. Grzegorza znaleziono na podwórku przy ulicy Ratajczaka. Wypadł z budynku, w którym znajdowało się jego mieszkanie. Fabiana Spychalskiego znaleziono przy Czartorii. Dokładnie tam mieści się Harvard. Piotra Przemyska znaleziono przy Wrocławskiej, przy kolejnym akademiku Harvarda. To nie może być zbieg okoliczności.

– Masz rację. Harvard? Nie słyszałem o tym. Kto jest właścicielem tych akademików? – spytał przytomnie.

– Nie wiem.

– No nie – wyraził niezadowolenie – to trzeba szybko sprawdzić!

– Wiesz co? Jesteś cudowny i pokrecony. – Anka wyskoczyła z łóżka i narzuciła na siebie szlafrok. – Za to cię uwielbiam.

\*

Zapach duszonej cebuli, papryki, kiełbasy i pomidorów unosił się w powietrzu, mimo że leczo zostało już tylko wspomnieniem. Puste talerze leżały na stole, a Łukasz z Anną wpisywali kolejne hasła w wyszukiwarce internetowej. Oboje mieli wypieki na twarzy. Zupełnie jakby złapali nić Ariadny. Każde kolejne zapytanie zbliżało ich do wyjścia z labiryntu Minotaura.

– W zakładce „kontakt” wpisana jest firma Invest Man. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

– Cholera, to nic nie mówi. Czy to jest właściciel czy tylko administrator?

– Administrator?

– No wiesz, ktoś tym musi się zajmować na bieżąco. Naprawiać, zbierać czynsze, pilnować porządku.

– Czekaj, poszperam głębiej. – Łukasz przekreślił laptopa w swoją stronę. – Tu jest artykuł. Zastępca dyrektora Mateusz Smyk wypowiedział się na temat mieszkań dla studentów. Zobacz, jaki młody...

– Myślisz, że ten Invest Man jest właścicielem sześciu kamienic?

– Nie sądzę, żeby wynajmowali je na pokoje, gdyby nie byli właścicielami. Zobacz, wszystkie wnętrza są odnowione. Nie inwestuje się w nieswoje!

– Fakt. Czartoria była zrobiona super. Ktoś wrzucił w remont kupę kasy. Dobra,

mają sześć kamienic. To znaczy, że dysponowali ogromną kasą. Po ile stoją teraz kamienice?

– W centrum miasta to... w milionach na pewno. Trzy, cztery, pięć... pewnie też więcej.

– To przyjmijmy: pięć razy sześć. Trzydzieści milionów plus remonty. Ogromny kapitał. Pewnie zagraniczny.

– Możemy to sprawdzić. Skoro to jest spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, to zaraz zajrzę do Krajowego Rejestru Sądowego.

Łukasz wpisał adres strony internetowej Ministerstwa Sprawiedliwości, odnalazł wyszukiwarke podmiotów w odpowiednim rejestrze i podał interesującą ich nazwę.

U sąsiadów trwała właśnie głośna wymiana zdań. Kobieta krzyczała, a mężczyzna odpowiadał jej lekceważąco.

Kiedyś Ankę krępowwały odgłosy dochodzące zza ściany. Zwłaszcza gdy przyjmowała gości. Wiedziała, że po kłótni pełnej emocji sąsiedzi zaczną się godzić, a wtedy ona, chcąc nie chcąc, będzie musiała słuchać jęczenia, rytmicznie poruszającego się łóżka i spazmatycznych okrzyków.

Teraz kłótnie sąsiadów jakby straciły na intensywności. Odbywały się coraz rzadziej, albo były na tyle ciche, że zostawały za ścianą. Seks nie zdarzał się już wcale.

– No pięknie. – Łukasz nie zwracał uwagi na to, co się dzieje za ścianą. Skupiony, przewijał dane dotyczące firmy Invest Man. – Do samodzielnej reprezentacji firmy uprawnieni są... – zawiesił głos.

– Mów, mów!

– Bartłomiej Krupa... i Grzegorz Król.

– Ja cię pierdzielę.

Dziennikarka przeraziła się i jednocześnie pękała z dumy. Wiedziała, że coś jest na rzeczy! Że mężczyźni nie giną przypadkiem. Za kolejnymi ofiarami stał konkretny motyw. Morderca działający z premedytacją. Nie знаła jeszcze ani motywu, ani osoby, która zabija, ale wiedziała, że jest już blisko rozwiązania zagadki.

– Bartek i Grzesiek? Trochę za młodzi na taki kapitał, nie uważasz?

– Grzesiek nie żyje. Bartek się boi. Komuś musieli się narazić.

– Ale dlaczego nie żyje też Fabian, a Piotr leży w szpitalu po nieudanej próbie pozbawienia go życia?

– Tego jeszcze nie wiem. Nie wiem, ale się dowiem.

Odepchnęła Łukasza od komputera i przejęła władzę nad klawiaturą. Wpisała w wyszukiwarke nazwiska Grzegorza, Bartka i pozostałych dwóch kolegów. Nie znalazła w wynikach niczego interesującego. Jedynie odnośniki do portali społecznościowych, na których mężczyźni byli bardzo anonimowi. Zero zdjęć, zero wiadomości. Oznaczało to, że albo bardzo cenili swoją prywatność, albo należeli do

rzeszy osób, których nie interesuje współczesna moda na chwalenie się coraz to nowszymi selfie.

– Zrobię herbatę – zaproponował Łukasz i zniknął w kuchni. Czuł się u Anki jak u siebie w domu.

Dziennikarka kiwnęła głową. Nie przestawała szperać w zasobach internetowych. Szukała czegokolwiek. Uderzała na oślep. Wierzyła, że prędzej lub później na coś trafi.

W końcu z powodu braku innych pomysłów wpisała w wyszukiwarkę adres Harvardu z Wrocławskiej.

– Łukasz, zobacz to. – Wskazała na ekran komputera i nie czekając, aż chłopak wróci z kuchni, zaczęła odczytywać treść artykułu sprzed półtora roku: – Przerażeni lokatorzy szukają pomocy... bla bla bla... W kamienicy przy ulicy Wrocławskiej starcie z lokatorami wygrali czyściciele kamienic.

## ROZDZIAŁ 18

### 6 dni do walentynek

– Musimy porozmawiać.

Zapamiętała głos Bartka Krupy. Zdążyła nawet sprawdzić jego koneksje rodzinne, to, w jakim środowisku się obracał, oraz miejsce, w którym mieszkał. Wykorzystała do tego stare znajomości w policji.

Bartek urodził się w prawniczej rodzinie. Jego matka, mimo że ukończyła studia z wyróżnieniem, szybko zaszła w ciążę i zajęła się wychowywaniem dzieci. Bartka i dwójki jego rodzeństwa. Ojciec był sędzią. Rodzina Krupów mieszkała w okazałym domu na Sołacz. Syn Bartek po ukończeniu studiów na warszawskiej SGH otrzymał w nagrodę mieszkanie w lokalizacji równie prestiżowej, jak dom rodzinny.

– Zgadzam się. Spotkajmy się jeszcze raz. Wiem już o Invest Man i o akademikach. Musisz odpowiedzieć na wszystkie moje pytania. Jestem o krok od zdemaskowania mordercy. Musisz mi pomóc. Wsadzimy go razem za kratki.

– Boję się. Mija tydzień od próby zabicia Piotra. Boję się, że mnie też zabije.

– Kto? Czy ty wiesz, kto zabija?

– Nie wiem dokładnie.

– To skąd wiesz, że i ciebie zabije?

– Bo reszta też została zabita.

– Grzegorz też?

– Nie mogę rozmawiać o tym przez telefon. Podśłuchują mnie. Spotkajmy się. Paranoja czy prawdziwy nieokiełzany lęk?

– Dobrze. Kiedy i gdzie?

– Teraz.

– Teraz nie mogę. – Anka przygotowywała materiał na zlecenie Grabowskiego.

– Myślałem, że ci zależy.

– Zależy. Będę wolna od szesnastej.

– No nie, tak późno? O szesnastej ja nie mogę. Ale dobra, spotkajmy się o osiemnastej.

– Tam, gdzie ostatnio?

– Nie, w miejscu publicznym, żeby był bezpieczny. Na Starym, dobra?

Przytaknęła, chociaż nie wyobrażała sobie spotkania na Starym Rynku wieczorną porą. W radiowej prognozie pogody zapowiadali, że wieczorem temperatura spadnie do minus dwunastu stopni.

Będzie musiała założyć na siebie podwójne skarpetki, bieliznę, kilka swetrów... Twarz nasmaruje tłustym kremem, żeby nie mieć później odmrożeń.

No nic. Praca wymaga poświęceń, podsumowała, może uda mi się go namówić na kawę w wybranym przez niego lokalu? W końcu będziemy na Rynku, tam jest



mnóstwo knajpek.

– Nie mów o tym spotkaniu nikomu, rozumiesz? Nikomu. I pamiętaj! Nie wyrażam zgody na kamery. Jeśli przyjdiesz z operatorem albo jakimś sprzętem rejestrującym...

– Bartek – przerwała mu – spokojnie. Będę sama. Powiedz mi chociaż, kogo się boisz....

– Zadarliśmy z niewłaściwym człowiekiem. – Słowa chłopaka zagłuszone zostały przez sygnał informujący o przerwaniu połączenia.

\*

To, że regularnie jeździła na basen, wcale nie oznaczało, że nie miała problemów z mobilizacją.

Wielokrotnie toczyła wewnętrzne rozmowy. Może dziś sobie odpuszczyć? Jutro będę mniej zmęczona. Dziś boli mnie głowa. Nie mam siły. Nie chce mi się rozbierać. Chyba nie ogoliłam nóg.

Mogła znaleźć milion wymówek, by usprawiedliwić prosty i logiczny brak chęci do jazdy na basen.

Nie mam czasu. Nie pływa się z pełnym żołądkiem. Nie pływa się z pustym...

Rogozińska potrafiła pokonywać przeszkody, podejmować wyzwania i odrzucać wymówki, nawet jeśli to ona sama je wymyślała. Była twardym przeciwnikiem, nie akceptowała sprzeciwu i dużo wymagała. Przede wszystkim od siebie.

Dzisiaj nie musiała ze sobą dyskutować. Rozpierała ją energia. Poranna rozmowa z Bartkiem sprawiła, że nie mogła znaleźć sobie miejsca ani podczas nagrywania materiału, ani podczas siedzenia w pracy, ani tym bardziej w domu.

Zjadła szybki i niewielki obiad. Chciała nasycić głód, ale jednocześnie nie wypełnić żołądka po brzegi.

Następnie do plecaka spakowała ręcznik i strój kąpielowy, okulary pływackie, zacisk na nos, klapki i płyn pod prysznic. Związała włosy w kok i była gotowa do wyjścia.

Oczekiwanie na spotkanie z Bartkiem postanowiła wypełnić litrami chlorowanej wody. Chciała wypływać stres. Zebrać myśli, by rozmowę z rozedrganym emocjonalnie chłopakiem przeprowadzić konkretnie, profesjonalnie i szybko. Bez wnikania w fobie, wgłębiania się w lęki. Nie interesowała jej kondycja psychiczna Krupy. Nie była przecież pogotowiem psychiatrycznym.

Anna Rogozińska, dziennikarka śledcza, miała na uwadze uzyskanie odpowiedzi na interesujące ją pytania. Z kim zadarła paczka przyjaciół? Czy młodzi biznesmeni uregulowali wszystkie należności z czyścicielami kamienic, którzy jak wynikało z doniesień prasowych, opróżniali kamienice dla Invest Man?

Rogozińska gotowa była usłyszeć nazwisko mordercy. Otrzymać namacalne dowody. Nakręcić materiał i zabłysnąć na ogólnopolskiej antenie.

Tak się skupiła na snuciu marzeń, że nie wiadomo kiedy pokonała piętnaście kilometrów dzielące poznańskie Rataje z Kórnikiem. Nie stała w korkach ani nie traciła czasu na światłach. Dotarła do basenu w nie więcej niż kwadrans.

Kiedy zaparkowała samochód, wybrała numer telefonu matki. Dawno nie rozmawiały. Matka przestała do niej wydzwaniać w najmniej oczekiwanych momentach. Przestała dzwonić w ogóle, co po kilku dniach zainteresowało córkę. Skorzystała więc z telefonu, ale nie porozmawiała z matką, gdyż ta była zajęta. Powoli zaczynała się martwić.

– Halo?

– No cześć, dzwonię teraz, bo wczoraj nie gadałyśmy... Wieczorem będę zajęta, a teraz mam chwilkę. Co słychać?

– Kochanie, wybacz, ale nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń później, dobrze?

\*

– Może trochę szybciej?

Łukasz nie zareagował. Wpatrywał się w światła samochodu stojącego z przodu. Jechali pod wiatr. Wycieraczki z trudem odgarniały śnieg pojawiający się na przedniej szybie. Przybywał jak kosmici. Z nicości. Biaława plama pojawiała się w ciemności kilka metrów przed samochodem, po czym nadciągała z prędkością światła, by ostatecznie rozbić się o szybę.

– Możesz jechać szybciej?! – Emocje gotowały się w Ance.

Nie przejmowała się aurą, miastem sparaliżowanym opadami śniegu ani staraniami Łukasza.

Bardzo starała się panować nad agresją, która pojawiła się niecałą godzinę temu. Oddychała rytmicznie. Powtarzała w myślach: uda się, uda, spokojnie, uda się.

Niestety. Czarne myśli atakowały jak śnieg. Nie zatrzymywały się jednak na szklanej zaporze. Docierały do wnętrza Anki i pobudzały w niej nerwowość.

O szesnastej trzydzieści wyszła z basenu. Miała półtorej godziny zapasu. Nie straszne były jej jakiegokolwiek korki. Szacowała, że dotrze do centrum Poznania przed czasem i jeszcze zdąży wypić kawę w jednej z kawiarni znajdujących się na płycie Starego Rynku.

Niestety. Citroen Rogozińskiej – mimo kilku prób odpalenia silnika, usilnych próśb i gróźb urozmaiconych wulgaryzmami – nie dał się przekonać. Niewzruszony, stał na parkingu. Nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Nagle z użytkowego samochodu zmienił się w kupę złomu.

Kiedy myślisz, że nad wszystkim panujesz, ktoś lub coś z satysfakcją wytknie ci

błąd w rozumowaniu. Rogozińska uznała, że sama niewiele zdziałała i musi wdrożyć w życie plan B.

Nie mogła przełożyć spotkania z Bartkiem, który jeszcze pozostawał przy życiu i resztkach zdrowych zmysłów. Nie chciała też się spóźnić. Bała się, że mężczyzna nie będzie czekał.

Mogła uprzedzić telefonicznie o możliwości przybycia po czasie, ale Bartek mógł potraktować tę rozmowę jako pretekst do wycofania się z wcześniejszej deklaracji.

Plan B powstał na poczekaniu. Jego realizacja opierała się na błagalnym telefonie do Łukasza i wypowiedzeniu prośby o przysługę najśłodszym głosem na świecie. Do prośby załączyła krótkie, aczkolwiek dramatyczne streszczenie sprawy: co, o której i z kim ma robić.

Łukasz zachował się imponująco. Bez marudzenia i bez zwłoki zmienił tor jazdy, by jak najszybciej uratować księżniczkę z opresji. Przyjechał na tyle szybko, że Anna podziękowała mu za mobilizację długim i gorącym pocałunkiem. Była gotowa na składanie jeszcze większych wyrazów wdzięczności, oczywiście nieco później. Obiecywała kolację i upojną noc.

Dobry nastrój i chęci minęły bezpowrotnie, gdy dotarli do ronda Rataje. Całe miasto stało w jednym wielkim korku. Światła się zmieniały, ale samochody nie ruszały się nawet o centymetr. Złe warunki pogodowe, ciemność i pora powrotów z pracy zrobiły swoje.

– No nie! Zrób coś!

– Co? – spytał spokojnie. Nie dawał jej pretekstu do kłótni.

– Nie wiem. Chociaż zmień pas, na prawym chyba szybciej idzie.

– Aniu...

Opanowanie Łukasza dodatkowo ją denerwowało. Czowała się lekceważona. Śpieszyła się na najważniejsze spotkanie w życiu, a jej chłopak siedział obok i uderzał palcami w rytm muzyki sączącej się z radioodbiornika, tak jakby jechał przed siebie, bez celu, bez stresu. Dla relaksu.

– Co? Aniu i Aniu – przedrzeźniała go. – No kurcze, Łukasz, ogarnij się! Poruszamy się jak ślimaki. Spóźnię się.

– Spokojnie. Wyluzuj, kochanie.

– Nie, dziękuję. Jesteś spokojny, bo się nie śpieszysz. Ja za kwadrans muszę być na Starym.

Dystans, jaki został im do pokonania, nie przekraczał dwóch kilometrów. Musieli tylko wydostać się z Mostowej, przejechać przez skrzyżowanie z Garbarami i wjechać w ulicę Wielką, prowadzącą do Starego Rynku.

– Dlaczego wyładowujesz się na mnie? Przecież nie zepsułem ci samochodu.

Odpowiedziała mu cisza. Wymowna i przykra. Odczekał, uspokoił emocje i odezwał się ponownie:

– Może na kolejnych światłach uda nam się wjechać na skrzyżowanie...

– Wkurza mnie twój pieprzony spokój – warknęła Anka. – Nie mogę się spóźnić. Mówisz, że rozumiesz, a potem jedziesz jak żółw.

– Czego ode mnie oczekujesz? Może powinienem sobie kupić helikopter, żeby zaspokoić twoje żądania?

– Wystarczy, żebyś szybciej jechał.

– Jest zbyt ślisko.

– Wiesz co? To właśnie jest twój problem! Jesteś chorobliwie ostrożny. W działaniu przeszkadza ci to ciągle „zbyt”. Zbyt ślisko, zbyt szybko...

– Przesadzasz.

Zegar wskazywał siedemnastą pięćdziesiąt pięć, a oni nadal byli w drodze.

– Odblokuj drzwi, wysiadam – zdecydowała.

– Poczekaj, podwożę cię bliżej. Kilka minut cię nie zbawi.

– Kilka minut, kilka minut?! Obawiam się, że tych kilka minut to będzie ZBYT późno.

Anka wybiegła z samochodu bez pożegnania. Mocno trzasnęła drzwiami i się poślizgnęła. Spojrzała na zegarek. Wiedziała, że jest spóźniona. Zostały jej dwie minuty. Nie była w stanie dotrzeć w tym czasie do Starego Rynku.

Pokonanie Wielkiej ostrożnym truchtem, szacowała w myślach dystans, to przynajmniej pięć minut. Bieg przez płytę Starego Rynku, by stawić się na miejscu spotkania, to kolejne pięć minut.

Ścisnęła torebkę pod pachą i skupiła się na zadaniu. Mięśnie, zmęczone pływaniem, protestowały. Ciało również. Rozleniwione ciepłem pływalni sprzeciwiało się wrednym powiewom mroźnego wiatru.

Wpadła na Stary Rynek, rozglądając się jak uczestnik biegu na orientację. W tym jedynym miejscu w mieście traciła poczucie kierunku. Nie wiedziała, czy szybciej dotrze do pręgierza, jeśli pobiegnie w lewą stronę, czy – w prawą.

Pręgierz był charakterystycznym miejscem położonym przy południowo-wschodnim narożniku ratusza. Współczesnym miejscem spotkań wszelkiego rodzaju. Najczęściej randek i spotkań w ciemno. Kiedyś służył do wykonywania kary chłosty, obcinania palców czy uszu i innych form publicznego piętnowania.

– Jest! – krzyknęła z ulgą Rogozińska, gdy na horyzoncie zobaczyła przykryty śniegiem pręgierz, a obok niego Bartłomieja Krupę, prezesa zarządu spółki Invest Man, przestępującego z nogi na nogę.

\*

Widzi ją. Widzi pannę z telewizji. Kazała na siebie czekać. Wielka paniusia. Celebrytka.

Nie wie, która jest godzina. Próbował odczytać ją z zegarka, ale ten chyba się zepsuł. Wskazówki biegały po tarczy jak oszalałe.

Jaka piękna pogoda. Wcześniej jej nie zauważył. Idealna aura do biegania. Czarne niebo, białe chodniki. Nie, zaraz. Nie ma chodnika pod stopami, tylko wielkie puchowe poduszki. Skacze po nich. Są lepsze niż trampolina. Przebiera nogami i biegnie w miejscu.

Coś musi zrobić z rozpierającą go energią. Gorąco mu. To pewnie od tego skakania. Zdejmuje kurtkę.

– Przepraszam za spóźnienie.

Dziennikarka też podskakuje. Albo może faluje? Nie wie. Nie będzie się jej przyglądał. Jest brzydka. Przeróżająca. Ciągnie się za nią zielony dym. Może to smród. Bawi go to.

– Dobrze się czujesz?

Dobiega do niego pytanie. Tylko z której strony? Rozgląda się i upada. Nie powinien tego robić. Rynek zaczął falować, a on sam stracił równowagę. Nie może się podnieść, ale w sumie dobrze mu się siedzi.

Kto pytał? Czy zna ten głos? Może to ktoś z otchłani? Grzesiek?

– Ddd...daaa.

Chce powiedzieć, że czuje się świetnie. Pierwszy raz od wielu tygodni. Ma czystą głowę, niezmacone myśli. Czuje, że żyje, i jest szczęśliwy. Kocha życie. Kocha ludzi. Kocha świat. I te wielkie puchowe poduszki też. Ciekawe, kto miał taki odjechany pomysł, by wykładać rynek poduszkami? Prezydent? Studenci? Radni?

Chce odpowiedzieć, ale nie może. Język odmawia posłuszeństwa. Chociaż nie, nawet gdyby mógł odpowiedzieć, toby tego nie zrobił. Bo po co? Co to kogo interesuje, jak on się czuje. To jego prywatna sprawa.

Nie odpowiada więc, bo nie chce.

– Co brałeś? Co brałeś?

Dlaczego ktoś na niego krzyczy? Dlaczego? Kto? To ta dziennikarka, tylko dla niepoznaki założyła maskę.

Dotyka jego twarzy. Ma lodowate ręce. Jej dotyk sprawia ból.

Broni się przed nią. Musi się bronić.

– Brałeś? Kiwnij chociaż głową. Bartek, słyszysz mnie? Boże, już dzwonię po karetkę.

Kiwa głową. A co? Skoro proszą, trzeba kiwnąć. Nie ma, że boli.

Tak. Boli go głowa. Reszta członków też. Ból staje się nie do wytrzymania. Towarzyszy mu poczucie satysfakcji.

Odgania od siebie maskę. Nikt nie będzie przeszkadzał mu w przeżywaniu rozkoszy, nawet jeśli jej przeżywanie wiąże się z bólem.

Wiadomo, że maska chce wydrzeć od niego tajemną wiedzę. Też chce czuć się

częścią Boga. Jak on teraz.

Zaraz, ale on przecież niczego nie brał. Nie brał, prawda?

Brał?

Nie.

Ale może jednak przyjął? Pamięta męskie dłonie, sine, wystające żyły i kartonik. Tak. To on. To on stoi za tym wszystkim. On musi ponieść karę.

Musi o tym komuś powiedzieć. Chce powiedzieć. Języku, współpracuj! Głowo, skup się!

## ROZDZIAŁ 19

### 4 dni do walentynek

Od dawna Anka nie musiała skupiać się na synchronizacji podczas pływania. Nogi, ręce, barki, głowa, wdechy, wydechy. Wchodziła do wody i robiła wszystko automatycznie. Płynęła do ściany, odbijała się od niej i płynęła dalej. Do ściany. Jak rybka w akwarium albo zdenerwowany lew chodzący po klatce. Ograniczały ją pionowe płaszczyzny. Ograniczały i jednocześnie zapewniały bezpieczeństwo.

Powtarzalność czynności wykonywanych przez ciało pomagała odkleić się Ance od rzeczywistości. Świadomość ulatywała z ciała i lewitowała gdzieś pod sufitem. Myśli krążyły wokół zajmującej je sprawy.

Bartek Krupa wyzionął ducha na płycie poznańskiego rynku. Rogozińska nie była w stanie nic zrobić. Mówiła do niego. Próbowwała cucić, gdy stracił przytomność. Bez skutku. Mężczyzna wydusił z siebie jedynie krótki komunikat:

– To on.

Nerwowe oczekiwanie na pomoc przerwał sygnał zbliżającej się karetki pogotowia. Lekarz wybiegł z ambulansu, gotowy do ratowania życia. Podbiegł do pacjenta leżącego na ziemi.

Po kilku minutach energia medyka ustąpiła miejsca bezradności.

– Nastąpił zgon – oznajmił. – Pani go zna?

Rogozińska nie mogła pozbyć się z pamięci wyrazów twarzy mężczyzn.

Najpierw umierającego Bartka. W ciągu kilku minut wyraziła wszystkie emocje. Od euforii po strach.

Potem lekarza. Jego twarz wyrażała prosty komunikat. „Nie mogę nic zrobić”. Bez „przepraszam”, bez „proszę”, bez emocji. Prostą fakt w pełni zaakceptowany przez lekarza: „nic tu po mnie”.

– Kluczyk poproszę!

Kobiety głos wytrącił dziennikarkę z zamyślenia.

Stała przy barierkach znajdujących się obok kasy, gotowa do wyjścia. Musiała wcześniej się przebrać, spakować i zmienić buty. Nie odnotowała tego jednak w świadomości.

– Oczywiście, przepraszam. – Anka oddała kasjerce bransoletkę zawierającą elektroniczny klucz zapewniający dostęp do szafek w szatni.

– Jest dopłata. Pięć złotych. – Kobieta zeskanowała klucz i przyglądała się podejrzliwie klientce.

– Dopłata? – Anka się zdziwiła. Zazwyczaj idealnie panowała nad czasem pływania i mieściła się w ciągu godziny opłaconej z góry. – Już chwileczkę, jakoś dzisiaj jestem nieprzytomna. – W portfelu odnalazła karnet abonamentowy. – Proszę odliczyć od wartości.

Po chwili kasjerka oddała Ance karnet i otworzyła bramkę wyjściową. Dziennikarka podeszła do pierwszego wolnego krzesła i zrzuciła na nie swoje rzeczy.

Musiała skupić się i sprawdzić, czy kiedy działała w zamyśleniu, nie zgubiła na przykład stroju kąpielowego. Przejrzała zawartość plecaka. Wszystko było na swoim miejscu.

Rogozińska ukryła mokrawe włosy pod czapką i skierowała się ku wyjściu, zdegustowanym spojrzeniem omiatając otoczenie.

Krwawa czerwień zdominowała przyjemne ceglane wnętrza. Bajkowe serca krzyczały do klientów Kórnickiego Centrum Rekreacji i Sportu „Oaza”. Plakaty zachęcały do spędzenia zbliżającego się święta zakochanych w Oazie. Oferta dotyczyła romantycznej kolacji oraz walentynek w saunie.

– Ohyda – nie mogła powstrzymać się od komentarza, ulżyła sobie, gdy wsiadła do samochodu. – Hol zamienił się w krwawą reklamę kardiologii. Jak ludzie mogą się na to łąpać? Na bajkową wizję miłości? Na te wszystkie równiutkie serduszka? Do wyrzygania. Serce to serce. Wyjęte z klatki piersiowej, z resztkami aorty, tętnicy i innych tam... Niech takie zamieszczą na plakatach! Tak. I niech dodadzą statystyki rozwodowe.

\*

– Jesteś gotowy do drogi?

Jak w każdy drugi wtorek miesiąca Magdalena Krajewska stała przed mieszkaniem Mario i czekała, aż ten zamknie drzwi.

Potem wsiedli do jej samochodu i jak zwykle pokonali pół miasta, by dotrzeć na miejsce.

– A co? Fundujesz dzisiaj odlot? – Mario był w dobrym humorze, chociaż wcale nie miał ochoty opuszczać czterech ścian.

– Jestem, proszę cię, do twoich usług. Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

– Wiem, wiem. Dzięki. Dodajesz mi sił.

Ich wspólne wyjazdy urosły do rozmiarów rytuału. Kiedyś, kiedy Mario był „początkujący”, wyjazdy były częstsze. Teraz to Magda dbała, by nie przeoczył tego jednego popołudnia w miesiącu. Nie odmawiał jej. Nie zgłaszał sprzeciwu. Nawet lubił tę całą otoczkę. Bycie razem. Jazdę samochodem. Rozmowy.

– Nie dziękuj, wiesz przecież, że robię to dla siebie. Jestem pieprzoną egoistką.

– Wiem jedynie, że jesteś dla siebie zbyt surowa. Wspierasz mnie, motywujesz i podtrzymujesz w chwilach zwątpienia. – Zamilkł i udał, że coś za oknem przykuło jego uwagę.

Mario chciał przemilczeć trudny temat. Roztrząsali go tyle razy. Oglądali z każdej



strony. Próbowali sobie wybaczyć, zapomnieć, wymazać pretensje. Prawie im się to udało. Zbudowali specyficzny związek. Coś na kształt przyjaźni opartej na poczuciu winy.

Poznali się lata temu. Magdalena była starsza, nieosiągalna i w odczuciu Mario... całkiem nudna. Chłopak chodził z jej bratem do gimnazjum.

Młody Krajewski powtarzał rok i trafił do klasy prymusa, którym był Mario. Dość szybko się zaprzyjaźnili – na przekór wszystkim osobom zdziwionym tym faktem. Kiedy Mario po raz pierwszy odwiedził dom Krajewskich, Magda powiedziała mu, że powinien znaleźć sobie lepszego kolegę. Próbował dopytać dlaczego. Nie uzyskał odpowiedzi, więc uznał siostrę kolegi za wredną dziewczuchę i zapomniał o radzie.

Nie pamiętał momentu, kiedy Krajewski stał się jego duchowym przewodnikiem. Musiało nastąpić to całkiem naturalnie. Mario został wprowadzony w krainę pozornie kontrolowanej przyjemności delikatnie. Z asekuracją przyjaciela i przekonany o swojej silnej woli, czuł się bezpiecznie. Nie zauważał ryzyka. Nie mógł wpaść w nałóg.

– Jesteśmy na miejscu. – Głos Magdy wybudził mężczyznę z odrętwienia.

Mario z niechęcią odnotował, że zaparkowali przed osiedlowym domem kultury, w którym odbywały się mityngi anonimowych narkomanów. Od lat w tym samym miejscu – w dusznym lokalu kojarzącym się z konfesjonalem. Ludzie, którym się nie powiodło, spowiadali się publicznie z błędów, słabości i chwil zwątpienia.

Mario uważał się za wygranego. Zachłysnął się światem narkotykowych wizji. Parę razy zaliczył detoks. Eksperymentował też ze środkami psychoaktywnymi. Był najlepszy w te klocki. Jak rasowy naukowiec: zażywał i opisywał. Sprawdzał połączenia, sposoby zażywania i dawkowanie.

Później w jego drzwiach pojawiła się Magda.

Wielokrotnie wyciągała Mario i swojego brata z opresji. Próbowwała dotrzeć do resztek ich instynktu samozachowawczego, tłumaczyć, jak niszczą siebie, swoje rodziny i przyszłość. Czasem zabierała im towar. Czasem, gdy płakali z głodu, pożyczala pieniądze albo sama kupowała im towar. Znała się na rzeczy. Była współuzależniona, tak Mario określiłby ją dzisiaj, po latach terapii.

Pamiętnego dnia pojawiła się w jego drzwiach, zapłakana, ze spuchniętą twarzą. Wyduśla z siebie, że jej brat przedawkował. Tym razem nieodwracalnie. Umarł. Magda na kolanach błagała Mario, żeby przestał się odurzać, żeby żył... dla niej. Powiedziała też, że nie przeżyje, jeśli zostanie sama ze świadomością, że mogła COŚ zrobić. Nigdy nie zapomni tego, jak się w niego wpatrywała.

– Idź już. Pamiętaj, jestem z ciebie dumna. Nie śpisz się. Będę czekała.

– Czegoś mi tu brakuje.

Rogosińska oderwała wzrok od ekranu komputera i spojrzała pytająco na Artura. Liczyła się z jego zdaniem. Ceniła wrażliwość i profesjonalne oko swojego współpracownika. Zarabiał na życie jako operator kamery, ale bywał kimś więcej... Artystą, który w obrazie zawierał wszystko, nawet emocje wiszące w powietrzu. Potrafił wyczuć klimat i idealnie go pokazać.

– Hm. Jest sensacja i akcja – podsumował to, co zobaczył.

– Brakuje czegoś... nie wiem... artyzmu jakiegoś... grama do doskonałości. Pomóż, mistrzu!

– Artyzmu w trzyminutowym materiale?

– Artur!!!

– Dobra, puść to jeszcze raz.

Zrobiła, jak kazał.

– Zatrzymaj – rozkazał po kilkunastu sekundach. – Brakuje pręgierza. Zobacz, gdyby tu była przebitka? Pręgierz, a wokół niego mnóstwo ludzi. Wiesz, dzień jak co dzień... przecież tam zawsze ktoś stoi, czeka, coś je. Normalne życie. Do tego spojrzenia ludzi przyglądających się poznańskim koziołkom.

– Rzeczywiście...

„Widzimy się pod pręgierzem”. Ile razy Anka to słyszała w swoim życiu?

Późnogotycka kolumna dźwigająca kata ubranego w rycerską zbroję znajdowała się przy południowo-wschodnim narożniku ratusza, czyli budynku, w którego wieży mieściła się jedna z największych atrakcji turystycznych Poznania – koziołki. Metalowe samce codziennie punktualnie w południe wyjeżdżały zza zamkniętych drzwi usytuowanych nad zegarem i bodły się ku uciesze widzów.

– No, a do tego przebitka tego filmu z komórki – dodał Artur.

W chwili, gdy Bartek Krupa umierał, Anna zrozumiała, że konieczność relacjonowania zdarzeń nie jest tylko obowiązkiem zawodowym. Dziennikarce weszło to w krew do tego stopnia, że gdy zauważyła, że jeden z przechodniów nagrywa komórką ostatnie chwile umierającego, uznała to za swoją szansę. Zdobyła film, by wyemitować go na antenie.

– Niezły jest, co? – Rogosińska żadna była pochwał.

– Rewelacja i jakość nie najgorsza. Trzeba przyznać, że masz refleks!

– Się wie! To nakręcisz mi ten pręgierz?

– Nie ma sprawy. Ale zobacz, to miejsce mówi samo za siebie. Scena dawnego reality show wraca teraz jako scena współczesnego show.

– Również reality show.

– Kiedyś ludzie zbierali się przy tej kolumnie, by oglądać tortury zadawane innym. Wiedziałaś, że poznański kat specjalizował się w odcinaniu ucha?

– Dość widowiskowe...

– No. – Lipiec pokiwał głową. – A teraz dokładnie w tym samym miejscu jacyś gapie nakręcili film, jak umiera człowiek.

– Dzięki mnie będą mieli o wiele większą oglądalność, niż myśleli. Ale wiesz, to nie chodzi tylko o śmierć. Bartek był na dopalaczach. Produktach ogólnodostępnych, rozumiesz to? Twoja córka może w każdej chwili kupić sobie teoretycznie nieszkodliwy produkt kolekcjonerski i odjechać... na zawsze.

– Dobra, już przestań. – Artur się skrzywił. Nie spodobał mu się przywołany przykład. – Wolę żyć w świadomości, że wychowuję córkę tak, by w odpowiedniej chwili podjęła odpowiednie decyzje.

– Dobra, przestaję. – Roześmiała się. – Jesteś dobrym ojcem i mężem.

– Rodzina jest dla mnie najważniejsza.

– Rodzina, kanapa i kaptcie, co?

– Zapomniałaś o dresie...

– Napijesz się kawy? – zaproponowała.

Kiwnął głową, więc przenieśli się do pomieszczenia szumnie zwanego kuchnią. Oprócz stołu i krzesel znajdowały się tam dwie szafki – jedna wisząca z zastawą kuchenną, a druga stojąca – oraz lodówka.

Anna włączyła ekspres do kawy, a Artur podał zimne mleko.

– Naprawdę wyjeżdżasz za miesiąc? – szepnął konspiracyjnie.

Dziennikarka momentalnie spoważniała. O terminie zakończenia stosunku pracy i przeniesienia się do Warszawy rozmawiała jedynie z zarządem i Kamilem Grabowskim. Nikt z załogi nie miał prawa się o tym dowiedzieć. Teoretycznie.

– Wszyscy już wiedzą? – odpowiedziała szeptem, mimo że byli sami w kuchni.

– Wiesz, że niewiele się tu ukryje. Zwłaszcza że Grabowski ma nową pupilkę, a komentarze dotyczące twojego odejścia są niesione wielką falą zazdrości. Będiesz miała swój program... Niektórych to boli. Miej oczy dookoła głowy, bo jeszcze któraś z bab wbije ci nóż w plecy.

– No tak. – Uśmiechnęła się nerwowo.

Spełnienie marzeń, zazdrość, pomyślała, a zamiast satysfakcji milion trudnych decyzji do podjęcia.

– Anka, co jest? Nie cieszysz się? Przecież tego chciałaś. Po to zapieprzałaś jak z motorkiem w tyłku.

– Cieszę się, cieszę...

– Czekaaj, niech zgadnę. Znalazłaś jakieś „ale”.

– I tu cię zaskoczę. Nie znalazłam. Cieszę się. – Położyła nacisk na „cieszę” i spuściła głowę. – Tylko że Łukasz... – dodała.

– Więc nie „ale”, lecz „tylko”. – Artur po przyjacielsku poklepał ją po plecach. – No pięknie. Co Łukasz? Nie jest zadowolony? Boi się, że mu uciekniesz?

– Nie do końca...

– Nie do końca? Kobieto, nie mów, że jeszcze mu nie powiedziałaś?!

Po raz kolejny uświadomiła sobie, że po wyjeździe najbardziej będzie brakować jej Artura. Przeżyje brak ukochanego miasta. Z matką i tak widuje się od czasu do czasu. Ale nigdzie nie znajdzie tak mądrego przyjaciela. Przecież nie powiedziała nic, a on zrozumiał wszystko. A nawet odrobinę więcej.

– A ty byś od razu powiedział żonie? – zaatakowała w odruchu obronnym.

– Nie rozmawiamy o mnie. Moja żona głądzi bez powodu. Powiedziałbym, przynajmniej dostarczyłbym jej jeden na tacy.

\*

To samo miejsce. Ta sama późna pora. Nieodparte wrażenie, że przeżywana sytuacja wydarzyła się już wcześniej, oraz pewność, że to niemożliwe.

Czy to déjà vu? – zastanawiała się Rogozińska, siedząc w samochodzie Wiktora Brauna. – Nie, to nie wydarzyło się w nieokreślonej przeszłości. Dokładnie pamiętam datę naszego pierwszego konspiracyjnego spotkania. Też dochodziła północ. Było tak samo zimno. Zimno na zewnątrz.

Tego wieczora Wiktor był inny niż wcześniej. Tak inny, że Ance wydawało się to niemożliwe. Dotychczas unikał dwuznaczności. Mroził ją lodowatymi wypowiedziami. Informacje, które przekazywał, skracał do minimum.

Teraz zadzwonił do niej sam z siebie. Zapropował potajemne spotkanie pod osłoną nocy. Zgodziła się. Zaparkowała samochód w tym samym miejscu, gdzie kilka dni wcześniej, niedaleko Kinopolis. Czekał na nią.

Nie знаła powodu spotkania. Kiedy wsiadła do auta Wiktora, nastawiła się na spontaniczne reakcje. Nie wiedziała, co ją czeka.

Krótko omówili szalejącą wokół zimę. Braun zapytał o materiał w sprawie dopalaczy. Ona opowiedziała o postępach i spytała o sprawę nieżyjących kolegów Grzegorza Króla. Nie odpowiedział jej, tylko posłał długie, melancholijne spojrzenie i zapytał:

– Byłaś kiedyś zakochana?

Sparaliżował ją tym pytaniem. Przez chwilę wpatrywała się w jego niebieskie oczy, ale nie wytrzymała napięcia. Odwróciła głowę. Nie mogła postąpić inaczej. Nie powinna rzucać się na Wiktora tylko dlatego, że czuła rosnące podniecenie.

– Zakochana? Skąd ci się to wzięło? – burknęła.

– Nie wiem. – Speszył się. – Za chwilę święto zakochanych... tak jakoś.

Ściągasz mnie tu w środku nocy, żeby porozmawiać o tym pieprzonym komercyjnym święcie – chciała krzyknąć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

– Przepraszam – dodał i zaczął szukać innej stacji radiowej.

Anna postanowiła zapomnieć o swoich emocjach i przyjrzeć się rozmówcy. Po raz

pierwszy okazywał uczucia w jej obecności. W końcu stał się ludzki. Jakby tym razem zostawił swoją ochronną maskę prokuratora w domu.

– Zakochana? Byłam raz.

– I?

– Skończyło się odwrotnie niż w bajkach, no wiesz: żyli długo i szczęśliwie.

– Życie... – westchnął.

– Życie – powtórzyła z rezygnacją.

– A teraz?

– Pytasz, czy kogoś mam?

– Aniu, wiem, że masz. Pytam, czy jesteś zakochana.

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że poczuła motyle objijające się o ściany brzucha.

– Wiktor...

Musiała zebrać myśli. On wiedział, że ma partnera. Skąd? Interesował się nią? Sprawdzał? Dlaczego? Szukał na nią haków czy wręcz przeciwnie – badał grunt? Intrygowała go? Chciał sprawdzić, czy nadaje się na dziewczynę prokuratora...?

– Może jestem za stara na takie uniesienia? – odpowiedziała najzwyczajniej jak potrafiła, aby ukryć zdenerwowanie, na wypadek, gdyby jego słowa nie były niczym więcej, tylko prowokacją. – A może po prostu nie umiem zapaść się w ten stan jak kiedyś. Trudno jest komuś zaufać. No wiesz, tak na sto procent, kiedy posiada się taką wiedzę o świecie... Łukasz jest w porządku. Jest miły...

– Miły. – Wiktor się roześmiał. – Chyba nie ma większej obelgi dla faceta.

– Nie przejmuj się. To ci nie grozi. Ty nawet nie bywasz miły.

– Co ty nie powiesz, pani mądralińska.

Poczęstowali się złośliwościami i niewygodne napięcie wyparowało. Roześmiali się z ulgą. Wtedy ich twarze niebezpiecznie zbliżyły się do siebie. Zniknęły uśmiechy, w oczach obojga pojawiło się to samo pytanie. Wiktor postanowił nie czekać na odpowiedź.

Jego wargi subtelnie musnęły usta Anki. Ta oddała pocałunek. Bardzo szybko delikatność ustąpiła miejsca namiętności. Jakby prowadzili grzecznościowe rozmowy o pogodzie, a jednocześnie czekali, aż je zakończą i przejdą do kolejnego etapu.

Ręce Wiktora zaczęły błądzić po nieznanym jeszcze ciele. Anna przeczesała jego włosy palcami. Nie oderwałyby się od siebie jeszcze przez długi czas, gdyby nie nieprzyjazne otoczenie.

Dźwignia zmiany biegów, hamulec ręczny, kokpit, kierownica. Stałe elementy wyposażenia samochodu utrudniały kontynuowanie namiętności.

– Przepraszam. – Wiktor opanował się pierwszy.

– Nie przepraszaj. – Anna poprawiała włosy.

Mogła pozazdrościć mu umiejętności odzyskiwania spokoju w każdej sytuacji,

nawet najtrudniejszej emocjonalnie.

Siedziała na miejscu pasażera i po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, jak się zachować. Udać, że nic się nie stało, że to dla niej zupełnie normalne i nie widzi w tym problemu? A może powiedzieć o motylach w brzuchu?

– Spokojnie, myślę, że sąd mógłby uznać to za chwilową niepoczytalność – uznała, że strategia przykrycia onieśmienia żartem rozładuje napiętą sytuację i tym razem.

– Aniu? – Nie miał ochoty na żarty. Zabrział bardzo sentymentalnie.

– Tak?

– Mogę ci zaufać?

– Oczywiście.

Złapał ją za rękę i po raz kolejny tego wieczoru sprawił, że sparaliżowało ją zdziwienie.

– Nie powinienem o tym z tobą rozmawiać, ale czuję, że między nami... no wiesz. I że mnie nie skrzywdzisz, będziesz dbała o mnie... jak o swoje najcenniejsze źródło.

Kiwnęła głową, chcąc zachęcić go do zwierzeń. Nie wiedziała, jaki będzie ciąg dalszy, ale koniecznie chciała go usłyszeć. Tej nocy wszelkie negatywne odczucia związane z prokuratorem Wiktorem Braun odeszły w zapomnienie.

Anka, kobieta po trzydziestce, siedziała w środku nocy w samochodzie Wiktora, faceta przed czterdziestką, i czekała na kontynuację.

– Mam duży problem z dopalaczami. Nasze prawo w tej kwestii skonstruowane jest jak sito. Wychwytuje tylko ogromne naruszenia prawa. Państwa Inspekcja Sanitarna, która zgodnie z przepisami może sprawdzać legalność produktów sprzedawanych w sklepach z dopalaczami, ma obowiązek uprzedzić podmiot o kontroli.

– Uprzedzić łamiącego prawo, że przyjdzie i będzie sprawdzała, czy ten nie łamie prawa?

– Właśnie. Wyprzedzenie wykorzystywane jest przez sprzedawcę bardzo pracowicie. Na czas kontroli usuwany jest nielegalny asortyment, a na półkach pozostają jedynie niezabronione środki.

– W głowie się nie mieści...

– Aniu, na to nie jesteśmy w stanie nic poradzić, ale jest coś... Może mogłabyś mi pomóc? W zasadzie pomogliśmy sobie wzajemnie.

– Słucham?

– Przez ostatnie siedem dni skupiłem się na sprawie, zrobiłem małe śledztwo i wpadłem na coś bardzo niepokojącego, czego nie załatwię oficjalnymi kanałami.

– Mów, mów, bo nie wytrzymam!

– Sprawdziłem dane z całej Polski. W ciągu ostatniego miesiąca gwałtownie

przybyło śmiertelnych ofiar dopalaczy. Ich liczba jest dwu-, a nawet trzykrotnie wyższa niż na początku zimy. Co gorsza, wydaje się, że ofiar przybywa w postępie geometrycznym. Obawiam się, że za kilka miesięcy będziemy mówić o czymś w rodzaju epidemii.

– Czyli co? Chcesz mi wmówić, że zgony w ekipie Grzegorza Króla są przypadkowe?

– Nie. Nad tą sprawą pracuje specjalna grupa. Wytypowany jest już podejrzany, z którym zadarli Grzegorz K. i reszta.

– Powiedz mi, chodzi o Ksawerego Króla? – Anka wykorzystała okazję, by zapytać o polityka, który w jej mniemaniu był zamieszany w śmierć Fabiana Spychalskiego.

– Czynności operacyjne wykluczyły jego udział... nie mogę nic więcej powiedzieć, przepraszam. Jak tylko potwierdzi się nasza hipoteza, dam ci znać. Ale ja nie o tym chciałem powiedzieć. Wiem, dlaczego umieralność jest taka wysoka. Ustaliłem to, ale w tej chwili mam związane ręce.

– Jak to ustaliłeś?

– Jestem prokuratorem. – Uśmiechnął się. – To moja praca.

– Dobra, co ustaliłeś? Masz konkrety?

– Mam sprawdzone informacje od pracownika pewnej fabryki dopalaczy usytuowanej w naszym regionie. Zatrął wszystkie produkty, które przeszły przez fabrykę od grudnia do końca stycznia tego roku. Ilości towaru wpuszczane przez nich do obrotu w jednym miesiącu są tak ogromne, że śmiem twierdzić, że mogą przekraczać pięćdziesiąt procent rynku. Rozumiesz? Zalał całą Polskę felearnymi produktami. Co drugi użytkownik, przykładowo gimnazjalista bawiący się z dopalaczami, może umrzeć.

– Nie tylko gimnazjalista. Grzesiek Król, Fabian i Bartek gimnazjum skończyli dawno temu. Dlaczego ten facet to zrobił?

– Typowy motyw zemsty osobistej. Jego szef odbił mu dziewczynę. Jeśli pozwolisz, to zacytuję: „Poleciała na jego kasę”. Facet przyjął za punkt honoru zniszczenie biznesu byłego szefa. Wiedział, że prędzej czy później jego działanie przyniesie efekt. W tej branży siłą napędową są stali klienci. Jeśli jednak zorientują się oni, że towar jest felearny, odpuszczają.

– Byłego szefa?

– Nie mówiłem, że zrezygnował z pracy? Odszedł z końcem stycznia. Teraz czeka, aż klienci zaczną kojarzyć zgony z nazwą producenta tak zwanych produktów kolekcjonerskich.

– Ja wszystko rozumiem. Trudno żyć ze świadomością zdrady... ale co? Ten facet nie ma świadomości, że przez niego umierają ludzie?

– Jego psychika... nie mogę wtajemniczać cię w szczegóły. Powiedziałbym

delikatnie, że ma skrzywiony osąd rzeczywistości. Poza tym oprócz zdrady istniały wcześniejsze nawarstwione problemy i facet uważa, że były szef sobie na to zasłużył. Aniu, w tej chwili jego motywacja nie jest ważna. Ważniejsze jest społeczeństwo!

– I w tym mam pomóc ja, tak?

– Uwielbiam twoją inteligencję. Trzeba uświadomić ludziom, że w obecnie każdy środek zakupiony w sklepie, w internecie czy na ulicy niesie ze sobą potencjalnie ryzyko śmierci.

– A nie możesz kazać wycofać z rynku tych wszystkich produktów?

– Anno, gdyby to było takie łatwe, to nie łamałbym tajemnicy zawodowej i nie rozmawiałbym z tobą...

W tym mogą pomóc tylko media.



## ROZDZIAŁ 20

### 3 dni do walentynek

Artur Lipiec usiadł na blacie biurka, mniej więcej metr od Anki. Dziennikarka była tak zajęta, że nie zauważyła mężczyzny. Wpatrywała się w ekran komputera, nerwowo poruszając oczami. Spod włosów przykrywających jedno ucho wychodził cienki kabel do słuchawek. Część muzyki sączyła się do otoczenia stłumionym i niewyraźnym strumieniem.

Rogozińska funkcjonowała obecnie w zupełnie innym świecie. Z daleka od studia telewizyjnego, roztrząsania po raz kolejny tych samych babskich plotek i rubasznym uśmiechów męskiej załogi Primo TV.

– Co ty sobie podśpiewujesz pod nosem? – spytał Artur na tyle głośno, by został usłyszany.

Anka podskoczyła, zestresowana. Właśnie otworzyła usta, by wraz z wokalistką wykrzyknąć refren. Wykrzyknąć szeptem, bo nie miała zamiaru narażać pracowników Primo TV na konieczność słuchania jej śpiewu. W samochodzie brzmiała świetnie, ale tylko jako tło głośno odtwarzanego oryginału. Bez tego nie przeszłaby nawet przez wiejskie eliminacje do lokalnego talent show.

– Nic. – Speszyła się.

– Jako to nic? Przecież słyszę.

– Skoro słyszysz, to po co pytasz?

– Bo własnym uszom nie wierzę. Miłosny hit? W twoim wykonaniu? Czyżbyś jednak uległa jedynie słusznej koncepcji walentynek? – zasugerował z nieukrywaną radością.

Artur nie widział nic złego w publicznym obnoszeniu się ze swoją miłością. Świętował dzień czternastego lutego od lat tak samo. Na czerwono. Bukiet czerwonych róż, czerwone wino i żona w czerwonej bieliźnie. Nie miał powodu, by przejmować się wykrzywioną miną Anki lub innych desperatów. Kochał swoje życie, żonę i dzieci. Okazywał to na co dzień, nie widział więc powodu, by nie robić tego i od święta.

Nie dyskutował z wypowiedziami znajomych, którzy krytykowali święto skopiowane z Zachodu. Nie przejmował się zarzutami dotyczącymi amerykanizacji ani ślepego powielania schematów. Śmieszyły go argumenty singli potępiających walentynki tylko dlatego, że takie święto piętnuje osoby żyjące w pojedynkę.

– Spadaj! – warknęła Anka.

Wszelkie synonimy święta zakochanych budziły w niej agresję – tym większą, im bliżej było do czternastego lutego.

– *Uczę się ciebie na pamięć niecierpliwymi palcami, rozpaczliwie na pamięć. Szeroko zamkniętymi oczami czytam zachłannie od nowa...* – powtórzył usłyszany

tekst. – Czy to Łzy? Smutne to bardzo. Anka, czy ja o czymś nie wiem?

– Artur, proszę. – Jej spojrzenie błagało o litość. – Nie mam nic do powiedzenia. Nie w tej chwili, dobrze?

– Dobrze, ale jak będziesz gotowa...

– Tak – przerwała, zniecierpliwiona. Wydarzenia ostatniego wieczora trochę namieszały jej w głowie. – Wtedy powiem. Mogę teraz wrócić do pracy?

\*

Starła się z całych sił zapomnieć o prywatnych i osobistych aspektach wczorajszego spotkania z prokuratorem. Skupiała się na pracy. Odnowiła swoją znajomość z Wiktorem właśnie w celach zawodowych. Ciągle liczyła na gorące doniesienia z pierwszej ręki.

Mimo że nie było łatwo, osiągnęła swój cel. Informację o zatrutych dopalaczach postanowiła wykorzystać jako zwiastun reportażu, nad którym ostatnio pracowała.

Idealna sytuacja, cieszyła się w myślach, najpierw w świat pójdzie informacja o prawdopodobieństwie zatrucia większości dopalaczy dostępnych na polskim rynku, a później zapowiedź, że większy materiał mojego autorstwa wyemitowany zostanie za tydzień.

Liczyła na to, że przez siedem dni informację podchwycą również inne media, a temat dopalaczy wróci na usta wszystkich Polaków. Rozpali ich zmysły i przyciągnie przed telewizory. To zapewni materiałowi Anki rekordową widownię, odejście z poznańskiego Primo TV z podniesioną głową i zadowolenie zarządu, który powierzył jej nowe wyzwanie zawodowe.

Przed wyjściem z biura chciała skupić się jeszcze na mordercy młodego Króla, Sychalskiego i Krupy. Bartek, kiedy się z nią umawiał na spotkanie, wspomniął, że zadarli z kimś nieodpowiednim. Podobnego sformułowania użył też Wiktor podczas wczorajszej rozmowy.

– Kto to może być?

Miała dwa typy. Pierwszy to Ksawery Król – polityk i mistrz udawanych emocji. Tyle że jego wykluczyła wczorajsza nieoficjalna rozmowa z prokuratorem. Drugi pojawił się stosunkowo niedawno. Miał jeszcze nieustalone personalia, ale dziennikarka wiedziała, że związany był z czyścicielami kamienic.

Wyczytała w internecie, że tak zwani czyściciele działają na zlecenie właściciela nieruchomości. Ich praca polega na pozbyciu się lokatorów ze wskazanych kamienic.

– Artur? – Anka zagadnęła operatora przechodzącego obok. – Słyszałeś o czyścicielach kamienic?

– Noo. – Ucieszył się, że dziennikarka zajęła się pracą, zamiast słuchać depresyjnej muzyki. – A co? Dostałaś w spadku kamienicę i chcesz ich zatrudnić?

– Jeszcze nie dostałam, ale już się przymierzam...

– Czyściciele są uwielbiani przez kamieniczników, ale nienawidzeni przez lokatorów. Właściciele kamienic korzystają z takich usług, by wyczyścić swoją własność. Nie jest tajemnicą, że pusta kamienica jest warta na wolnym rynku o wiele więcej niż taka z lokatorami. Niektórzy kamienicznicy tanio kupują nieruchomości z ludzką zawartością, czyszczą je, a potem sprzedają z zyskiem. Dobry sposób na biznes.

– Dobry? – oburzyła się.

– Wyluzuj. Dobry, jeśli nie ma się sumienia. Wiesz, w biznesach albo masz twarde serce, albo twardy tyłek. Niepłacący lokatorzy, niskie czynsze, ochrona zagwarantowana ustawą, a z drugiej strony wypełnianie kosztownych obowiązków, do których zobowiązuje właściciele prawo. Zapewnienie odpowiedniego stanu technicznego, przeprowadzanie przeglądów instalacji... Z pustego i Salomon nie naleje. Jeśli wpływy z wynajmu kamienicy są mniejsze niż wydatki na utrzymanie, to albo sprzedajesz ją dużo poniżej wartości rynkowej, albo czyszczysz z brudów i zarabiasz tyle, ile powinnaś.

– Brudów, czyli lokatorów.

– Właśnie. Widziałem kiedyś taki program. Czyściciele to naprawdę żadna nowość...

– Dobra, dzięki. Pomogłeś mi na swój obrzydliwie nieludzki sposób usystematyzować wiedzę.

– Nie ma sprawy, ale myślałem, że pracujesz nad dopalaczami, a nie...

Pokazała mu, żeby zamilkł. Machnęła ręką i odszedł w stronę kuchni.

Poczekwała, aż zniknie z pola widzenia, i z myślą, że musi odszukać kontakt do firmy oferującej usługi oczyszczania nieruchomości z niepożądanych lokatorów, wróciła do przeglądania zasobów internetu.

\*

Założę się, dedukowała w myślach, że Invest Man współpracuje z czyścicielami od dawna, od swojej pierwszej kamienicy. Może przy ostatniej inwestycji coś poszło nie tak? Może mieli spięcie? Może z jakiegoś powodu nie uregulowali całej należności? Czyściciele się wkurzyli – fakty zaczęły układać się w jedną całość. Chcieli postraszyć Grzegorza. Wystawili za balustradę. Ktoś nie trzymał wystarczająco mocno? Król wyleciał z balkonu, przyjmijmy nawet, że przez przypadek. Czyściciele nie mają sumienia. Zastraszają tylu ludzi, że kilka dodatkowych osób nie robi różnicy.

Rogozińska nadal nie wiedziała, dlaczego czyściciele mieliby chcieć pozbyć się wszystkich kolegów z paczki, skoro mieli na pieńku tylko z Grzegorzem i Bartkiem –

współwłaścicielami Invest Man.

Może chcieli pozbyć się niewygodnych świadków? – szukała po omacku, przeglądając kolejne strony internetowe. Jej komórka zawibrowała.

– Halo? – Spodziewała się telefonu od matki.

– Cześć, Aniu – Głos koleżanki z liceum zaskoczył Ankę i jednocześnie odświeżył jej pamięć. Siedziały z Martą w jednej ławce przez cztery lata. Przeżyły niejedną przygodę, złamane serce i dwóję złapaną przypadkiem.

– No, cześć, miło cię znowu słyszeć.

– Ustaliłam to, o co mnie prosiłaś.

Marta Sołtysek pracowała w Geopozie, czyli Zarządzie Geodezji i Katastru Miejskiego. Ania przypomniawszy sobie o tym, kiedy intensywnie myślała o kamienicach, w których znajdują się prywatne akademiki. Wykopała spod ziemi numer telefonu Marty i zleciła jej wykonanie niezwykle ważnej misji.

– Super, wiszę tobie wielki deser lodowy. Może w weekend? – zaproponowała od razu, żeby spotkanie nie przesunęło się na niedookreślone w czasoprzestrzeni „kiedyś”.

Miała wielką ochotę na lody w babskim gronie. Zawsze tak dobrze im się rozmawiało. Poza tym pamiętała o tym, że niebawem wyjedzie z Poznania na dłużej, o ile nie na zawsze.

– Umówimy się później, dobra? W weekend wyjeżdżamy z Jurkiem na walentynki w góry. – Marta była podekscytowana. Od lat emocjonowała się mężczyznami, z którymi akurat sypiała. – Zawsze tam spędzamy ten romantyczny czas.

– Dobrze, zgadamy się w przyszłym tygodniu. – Anka przerwała koleżance. Nie miała ochoty słuchać o celebrowaniu tak głupiego święta. – Co ustaliłaś?

– Wszystkie nieruchomości, o które pytałaś, są własnością jednej firmy...

– Invest Man?

– Nie.

– Nie? – Odpowiedź zdziwiła dziennikarkę. Skoro akademiki nie były własnością Grzegorza Króla i Bartka Krupy, to czyją? Dlaczego ich firma widniała na stronie internetowej akademików, i to w zakładce „kontakt”? Przez chwilę Anka nawet zwątpiła, czy wcześniej dobrze sprawdziła nazwę i skład osobowy firmy. – A czyją?

– Apartament. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

– Jesteś pewna?

– Anka, sprawdziłam księgi wieczyste wszystkich pięciu kamienic. Wszędzie jest napisane jak byk: „Apartament sp. z o.o.”. Podeślę Ci e-mailem numery ksiąg, sprawdź sama, niedowiarku.

– Będę wdzięczna. I przepraszam, wiesz, w moim zawodzie wszystko trzeba sprawdzić trzy razy.

– Spoko, mnie nie musisz tłumaczyć, w końcu pracuję w urzędzie. Zdzwonimy się, pa...

Rogozińska odłożyła telefon i w oczekiwaniu na dane pozwalające sprawdzić kto, kiedy i gdzie nabył określoną nieruchomość postanowiła jeszcze raz zajrzeć do Krajowego Rejestru Sądowego. Chciała sprawdzić firmę „Apartament”. To, co ukazało się jej oczom, sparaliżowało ją na kilka minut.

\*

Prokurator Wiktor Braun przeglądał akta grupy śledczej, gdy jego wzrok padł na protokół z przesłuchania Marka Grzesiaka. Wiedział, że mężczyzna prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą pod dwuznaczną nazwą „Czysty Świat” jest podejrzewany o popełnienie zabójstwa. Wbrew pierwszym skojarzeniom ta firma nie oferowała usług porządkowych, takich jak zmiatanie, mycie podłóg czy odśnieżanie.

Grzesiak pracował na zlecenie właścicieli nieruchomości. Działał na granicy prawa i niejednokrotnie ją przekroczył. Wraz z pomocnikami niewiadomego pochodzenia odcinali lokatorom wodę, gaz i prąd. Pod pozorem rozpoczętych remontów demolowali nieruchomości. Robili wszystko, by najpierw utrudnić, a w końcowym etapie uniemożliwić życie ludziom, którzy nie zgodzili się dobrowolnie opuścić zajmowanych mieszkań.

Braun odczytywał protokół i bez trudu projektował w wyobraźni scenę przesłuchania.

– Odpowiadałem na to pytanie. – Oburzony przesłuchiwany rozgląda się nerwowo na boki.

Ciągłe powtarzanie odpowiedzi budzi w mężczyźnie gniew. Tym większy, im trudniej jest trzymać się raz wypowiedzianej wersji.

– Tak? Uciekło mi to, odpowiedz raz jeszcze. – Policjant uśmiecha się drwiąco i bezczelnie śledzi werbalną i niewerbalną reakcję rozmówcy. – Fabian Spychalski. Dzwoniłeś do niego w dniu jego śmierci.

– Gdybym wiedział, że tego dnia umrze, darowałbym sobie rozmowę.

– Jaki był cel rozmowy?

– Sprzątanie kamienicy. Prosił kilka dni wcześniej o przygotowanie wyceny.

– Jakiej kamienicy?

Mężczyźni bawią się w kotka i myszkę. Policjant chodzi po pokoju. Przesłuchiwany udaje niewzruszonego.

– Nie wiem. Pytam tylko o metraż, żeby obliczyć, ile zajmie to czasu, ile zużyję środków chemicznych.

– Dobra, umówiliście się na spotkanie...

– Nie. Powiedziałem, że potrzebuję jeszcze kilku dni na wycenę. Nie widziałem

się z nim.

– Kiedy się poznaliście?

– Nie pamiętam. Zadzwoił, bo chciał skorzystać z moich usług.

– Tak zwyczajnie zadzwonił? – Policjant nachyla się nad przesłuchiwanym, prezentując siłę.

– Mam firmę, a on był klientem.

– Akurat z twojej firmy musiał skorzystać?

– O to mnie nie pytajcie, gadajcie ze Spychalskim.

– Ostatnie zlecenie, które miałeś od Spychalskiego, to...

– Nie pamiętam. Musiałbym spojrzeć w papiery.

W tej chwili Braun wyobraził sobie jedyną słuszną reakcję policjanta na jawne lekceważenie. Odrobina przemocy była częstym lekarstwem na wulgarną ignorancję.

– Sprzątałem na Wrocławskiej.

– Spychalski nie zapłacił ci jednak za ciężką pracę?

– Co ci do tego?

– Nie zapłacił.

– Zapłacił. Spróbowałby nie... Poza tym stał za nim potężny kapitał.

Braun wyobrażałby sobie dalej scenę, ale usłyszał sygnał informujący o pojawieniu się nowej wiadomości tekstowej na jego komórce.

Odłożył akta i sięgnął po telefon. Nadawcą SMS-a była Anna Rogozińska.

Przez chwilę wahał się, czy sprawdzić zawartość teraz czy dopiero wieczorem, po pracy. W końcu zdecydował się na kompromis: odczytać teraz, odpisać wieczorem. Zerknął więc jednym okiem na wyświetlacz. Suchy komunikat go zaskoczył.

*Włącz Primo TV. Teraz!*

\*

Ulubiony fotel Stanisława Rogozińskiego od roku stał w tym samym miejscu, na wprost telewizora. Świętej pamięci mąż Renaty siadywał w fotelu codziennie. Z pilotem w dłoni śledził najnowsze wydarzenia polityczne i gospodarcze w kraju oraz za granicą.

Tak było również pamiętnego dnia. Zasiadł przed odbiornikiem, bo uległ prośbom małżonki. Na fotelu zaskoczył go zawał serca.

Przez pierwszych kilka tygodni po śmierci męża Renata spoglądała na fotel i zalewała się łzami. Miała wrażenie, że Stanisław nadal tam siedzi. Że może wyszedł tylko na chwilę do kuchni... że zaraz wróci z kubkiem gorącego kakao.

Kiedy oswoiła się ze świadomością, że została sama, udawała, że nie widzi fotela. Stał więc bezużyteczny i bezpieczny. Zapewniał najlepsze miejsce do oglądania telewizji... ale nikt z niego nie śmiał korzystać.

Wszystko zmieniło się niedawno. W domu Renaty zamieszkała Gwiazdka – suczka, która już pierwszego dnia wskoczyła na fotel. Renata zamarła. Gwiazdka zakręciła się wokoło, wydeptała sobie dołek i zwinęła się w kuleczkę. Małe, przerażone i trzęsące się ciało przyglądało się przestraszonymi oczami swojej nowej właścicielce.

Renata nie miała serca przegonić suczki z fotela.

Dzisiaj obie siedziały na fotelu i rozkoszując się swoim towarzystwem, oglądały telewizję.

– Zobacz, nasza Ania. – Renata zajadała orzeszki. Jedną ręką wrzucała je do ust, a drugą drapała za uchem Gwiazdkę leżącą na jej kolanach.

Suczka nie odstępowała Renaty ani na krok. Chodziła z nią do kuchni. Obserwowała przygotowywanie obiadu. Stała się niezbędnym pomocnikiem. Próbowła wszystkich składników, i to bez względu na to, czy były mięsne czy nie.

– Zobacz, Gwiazdeczko, jak ona pięknie wygląda, prawda? Ale w ogóle nas nie odwiedza. Nawet nie wie, jak bardzo się zaprzyjaźniłyśmy.

Na ekranie telewizora Anna Rogozińska dzieliła się ze społeczeństwem niepokojącą informacją dotyczącą niebezpiecznych dopalaczy, zatrutych przez psychopatę, którego celem jest oczyszczenie Polski z uzależnionych ludzi. Statystyki, które zaprezentowała dziennikarka, całkowicie uzasadniały dramatyczny ton, jakim przekazywała wstrząsającą wiadomość.

– Liczba zgonów po zażyciu tych środków rośnie z dnia na dzień, dlatego apeluję o ostrożność, a przynajmniej o wstrzemięźliwość do czasu, gdy z rynku wycofana zostanie zatruta partia towaru.

Po tych słowach Anna zniknęła z ekranu, a prezenter telewizyjny dodał:

– Jeśli temat dopalaczy wzbudził państwa zainteresowanie, zapraszam w imieniu Anny Rogozińskiej na jej niesamowity reportaż. W najbliższą środę po wieczornym wydaniu wiadomości będą mogli państwo zobaczyć, jak w Polsce ma się ten problem.

– No widzisz, Gwiazdeczko – Renata odstawiła orzeszki. – Ania ciągle ma na głowie ważne tematy. Pracuje jak szalona, a my tu siedzimy, bezużyteczne...

Kobieta zawiesiła głos i zakryła twarz dłońmi. Nie zdążyła jednak wydusić łez. Suczka polizała ją po ręce, domagając się głaskania.

– Dobrze, dobrze, zaraz pani będzie cię pieścić. Poczekaj. – Przełożyła Gwiazdkę na sofę znajdującą się obok. – Zjemy sobie coś słodkiego na osłodę życia, co? Czas na podwieczorek. Masz ochotę na ciasto drożdżowe?

Czarna, przerośnięta, ratlerkopodobna istota wykrzywiła pysk i zamerdała ogonem. Znała smak ciasta drożdżowego.

## ROZDZIAŁ 21

### 1 dzień do walentynek

Dumny Wiktor szedł przed siebie tak długo, aż w końcu uznał, że oddalił się od sklepu na tyle, by nie został skojarzony z dokonanym wcześniej zakupem. Promienie słoneczne sprawiały, że miasto przykryte białą kołdrą wyglądało jak na pocztówce. Idealnie i zachęcająco.

Braun minął przystanek, na którym na tramwaj czekało zbyt dużo ludzi, i skręcił w wąską uliczkę. Dopiero tam się zatrzymał i z kieszeni płaszcza wyjął telefon komórkowy. Przez chwilę mocował się z tylną klapką aparatu, którą musiał zdjąć, by wyjąć baterię. Bez efektu. Skutecznie przeszkadzały mu w tym jego własne ręce, a dokładniej rękawiczki, które w tej chwili okazały się zbyt śliskie i złośliwie utrudniały precyzyjne ruchy.

Uwolnił więc dłonie. Pozbył się baterii, wyjął kartę SIM i schował ją ostrożnie do kieszeni, w której wcześniej trzymał telefon. Z drugiej kieszeni wyjął nową kartę SIM, zakupioną przed chwilą, utrudniającą identyfikację dzwoniącego. Tak zwany telefon na kartę – sprzedawany w sklepach jak bułki, bez konieczności legitymowania się dowodem tożsamości – stanowił idealny sposób komunikacji w innych, gdy człowiek chciał zapewnić sobie pełną anonimowość.

Braun włożył nową kartę w odpowiednią przegródkę, dodał baterię i po chwili gotowy był do wybrania numeru. Znał go już na pamięć.

Po trzech sygnałach usłyszał znajomy głos.

– Halo?

– Halo – odpowiedział lakonicznie. Ciekawy był, jaką minę robiła teraz Anna Rogozińska, zastanawiając się kto do niej dzwoni.

– Halo?

– Cześć.

– Cześć. – Pierwsza odpowiedź była automatyczna, ale zaraz po niej pojawiło się długie: – Aaaa cześć, Wiktor.

– Szybka jesteś.

– Sorry, nie od razu cię poznałam, bo nie wyświetlił mi się twój numer, czekaj... co to za numer? Zmieniłeś komórkę?

Nie mógł odmówić jej umiejętności szybkiej i prawidłowej oceny sytuacji. Imponowała mu i niepokoiła go jednocześnie.

– Mniej więcej.

– Ale co, tak na zawsze, czy dla każdej nowej kochanki masz inny numer?

Nie był głupi. Dobrze wiedział, że taki żart ma drugie dno. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał porozmawiać z Anką na temat pocałunku. Wolał zrobić to później.



– Oglądałem dwa dni temu Primo TV. Dzięki. Teraz muszę zachować środki bezpieczeństwa na wypadek, gdyby ktoś chciał ustalić, skąd wyszedł taki przeciek do mediów. Podzieliłem się z tobą informacją, którą powinienem zachować dla siebie. Rozumiesz? – Dramatycznie zawiesił głos, po czym dodał szeptem: – Nikt nie może nas połączyć. Nikt...

– Wiktor, spokojnie. Jestem profesjonalistką. Chronię swoje źródła. Ciebie też. Nie powiem nikomu. Możesz być tego pewien.

Braun spacerował wąską uliczką, mijając wystawy sklepowe. Wszyscy handlowcy próbowali wykorzystać dobry nastrój klientów i dlatego oferowali mydło i powidło, oczywiście w promocyjnych cenach. Mydło, rzecz jasna, w kształcie serca. Powidła, dzięki którym można dotrzeć przez żołądek do serca. W spożywczym wisiały balony w kształcie serc. Witryna apteczna zachęcała do zadbania w walentynki o serce ukochanej osoby. Popularny lek polecany przez kardiologów można było kupić w atrakcyjnej cenie, podobno tylko z okazji walentynek. Plakat w kwaciarni przekonywał, że bukiet róż najlepiej wyrazi siłę twoich uczuć.

– Aniu, wiem, że mogę ci ufać. Jestem pewien, że mnie nie wydasz. Ale dobra wiara to jedno, a dowody to drugie. Nie chcę zostawiać śladów, nie mogę... tak w razie czego. Muszę być stuprocentowo czysty... dlatego, bardzo cię proszę, nie dzwoń do mnie przez najbliższy tydzień, a najlepiej dwa, dobrze? – Odpowiedziała mu cisza, więc postanowił uzupełnić swoją wypowiedź. – Później wszystko sobie odbijemy, dobrze? A jeśli miałabyś coś bardzo pilnego, to dzwoń na ten numer, który ci się wyświetlił. Ale nie zostawiaj wiadomości. Będę sprawdzać go raz dziennie. Jakby co, to oddzwonię.

– Dobrze – zgodziła się – jeśli powiesz mi teraz, oczywiście anonimowo, jakie są ustalenia w sprawie śmierci Bartka. Kto go zabił? Czyściciel kamienic?

– Anka! – Ostro zaprotestował. – Znasz zasady. Nie mogę powiedzieć...

– Ale wtedy w nocy mogłeś? – zaatakowała go.

Wyczuł, że jeśli się nie wytłumaczy, zostawi ją podenerwowaną, gotową zrobić jeszcze jakieś głupstwo.

– Aniu, to nie jest rozmowa na telefon. Wtedy... tamtej nocy... jakoś klimat rozłożył mnie na łopatki. Wyglądałaś tak jakoś... i w ogóle jesteś... Poza tym od kilkunastu dni miłość wisi w powietrzu. Wszędzie. Na poczcie, w barze, na ulicy. Wszędzie są te serca i hasła związane z uczuciem. Człowiek myśli sobie, że może warto zaryzykować i być szczęśliwym.

– Zweryfikowaliście podejrzanego? – Anka była skupiona na sprawach zawodowych.

– I tak, i nie.

– Czy to czyściciel?

Nie mógł odmówić Ance determinacji, inteligencji, profesjonalizmu i urody. Nie

miął siły po raz kolejny tłumaczyć motywów swojego postępowania. Nie po to dzwonił do niej w tym momencie. Poza tym czuł, że z zimna drętwieją mu ręce. Podeksytowany możliwością rozmowy z Anną, zapomniał założyć rękawiczek.

Zdecydował się więc na najwygodniejsze wyjście z sytuacji. Westchnął głośno i powiedział:

– Muszę kończyć.

\*

– Jakoś tego nie czuję.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie mogę tego zapamiętać. I nie przemawia do mnie.

– Proszę mi zaufać. Siedziałem nad tym tekstem przez cztery dni. Ostrożnie doбираłem słowa. Przemyślałem każde zdanie, i to nie tylko pod kątem poprawności językowej i politycznej. Uwzględniłem reakcje, jakie może wywołać w publicznych sercach. O to przecież nam chodzi! Przemówienie ma poruszać tłumy, nie pana. Pan jest zbyt inteligentny na taką manipulację.

– No dobrze, może masz rację. Jeszcze raz.

Ksawery Król pochylił się nad tekstem. Zadrukowana kartka formatu A4 zakreślona była różnymi kolorami sugerującymi, w którym miejscu powinien zrobić wdech, a w którym teatralnie zawiesić głos.

Fryderyk Chmielewski jak zwykle wykonał czarną robotę. Polityk musiał tylko zaznajomić się z tekstem, postarać się go zapamiętać i na spotkaniu z wyborcami wyrecytować tak, by zabrzmiał jak jego własne przemyślenia snute na bieżąco.

– Przepraszam, ale pozwolę sobie zauważyć, że przygotowany przeze mnie tekst spełnia wszelkie wymogi idealnej przemowy. – Asystent jak zwykle przeproszał za wszystko. Król zastanawiał się, kiedy dojdą do momentu, w którym przeprosi nawet za to, że żyje. – Myśli wyrażone zostały w sposób możliwie prosty, dobitny i sugestywny, prawda?

Król kiwnął głową.

– O żywiołowość wypowiedzi nie musimy się martwić, bo w tym jest szef mistrzem. Poza tym wiemy, do kogo będzie szef mówił, prawda? – kontynuował Chmielewski, a gdy doczekał się kolejnego przytaknięcia, dodał: – Proszę pamiętać tylko o takcie i poczuciu umiaru, a efekt będzie murowany.

Ksawery Król spojrzął po raz kolejny na kartkę, a później poprawił krawat i postanowił ponowić próbę.

– Przyjaciele.... – zaczął energicznie, dodał krótką pauzę, ale zamiast kontynuować, skupił się na radioodbiorniku stojącym na regale. – Zrób głośniej! – zażądał, wskazując radio.

– Cały kraj obiegła informacja, że na rynku znajdują się śmiertelnie niebezpieczne substancje dostępne właściwie dla każdego. Dopalacze, bo o nich mowa, stanowią ogromne niebezpieczeństwo dla ludzi, którzy po nie sięgają. Jakby tego było mało, z podpoznańskiej fabryki dopalaczy, produkującej ponad 70 procent substancji dostępnych w Polsce, na rynek trafiły dopalacze ze śmiertelną domieszką. Nie wiadomo, ilu serii to dotyczy. Prokuratura nie chce komentować sprawy, ale statystyki mówią same za siebie. Udało nam się porozmawiać z ordynatorem szpitalnego oddziału toksykologii. Lekarz powiedział nam, że w takiej sytuacji jedynym sposobem uniknięcia śmierci jest zaprzestanie przyjmowania jakichkolwiek środków psychoaktywnych. Jeśli substancje dostępne na rynku zostały zatrute, oznacza to, że dokonać tego musiała osoba pracująca przy ich produkcji, najprawdopodobniej chemik nadzorujący cały proces.

Ksawery Król słuchał wypowiedzi radiowej, nerwowo przemierzając pokój wzdłuż i wszerz. Fryderyk Chmielewski stał usłużnie przy regale i czekał na dyspozycje.

– Ścisz to! – zażądał polityk, gdy po wiadomości rozbrzmiała muzyka.

Mierny, w jego ocenie, utwór od tygodnia kreowany był na hit zimy. Ksawery Król był zbyt stary, by łąpać się na te pioseneczki skrojone przez fabryki, wszystkie wyprodukowane według tego samego wzoru i śpiewane przez setnego zwycięzcę kolejnego talent show. Zwycięzcę, którego nazwiska nikt nie kojarzył.

– No – sapnął, gdy usiadł na fotelu.

– Noooo, to problem rozwiązał się sam – podsumował Chmielewski.

– Teoretycznie, ale nie o takie rozwiązanie nam chodziło. – Polityk się zamyślił.

– Szef wybaczy, ale skutek czasem jest ważniejszy od środków. Fabian próbował szefa szantażować.

– „Próbował” to dobre słowo. Przychodził, udawał silnego. Żonglował argumentami, bo myślał, że jest panem sytuacji. A mówiłem mu: „chłopcze, uważaj, z kim zadzieras. Przeproś i wyjdź”.

– Gdyby miał chociaż odrobinę oleju w głowie, toby tak zrobił. Za głupotę każdy człowiek musi zapłacić. Prędzej lub później.

– Tak jak mówisz, Fryderyk. Prędzej... lub później...

Ksawery Król zamilkł, bo myśli, które przysły mu do głowy, nie nadawały się do wypowiedzenia na głos. Musiał zachować je dla siebie. Wiedział, że w życiu każdego człowieka zdarzają się chwile zwątpienia, że każdy czasem podejmuje złe decyzje. Wiedział też, że ludzie sukcesu różnią się od nieudaczników tym, że potrafią ponosić wszelkie konsekwencje z godnością i w ciszy.

Bardzo dobrze pamiętał dzień, w którym Grzegorz stanął przed nim z miną pomysłowego Dobromira. Był ciepły, majowy wieczór. Gdzieś w oddali grała muzyka, a syn z pasją opowiadał o pomysłe na biznes życia. O wielkich

możliwościach, łatwych pieniądzach, ogromnych zyskach i świetlanej przyszłości. Rosły mu skrzydła. Czuł, że lata studiów na SGH nie pójdą na marne.

Według założeń sieć prywatnych akademików miała wypełnić lukę na rynku wynajmów. Do tej pory studenci mogli mieszkać albo w akademikach uczelnianych kiepskiej jakości, albo w wynajętym pokoju u samotnej staruszki, albo w mieszkaniu studenckim.

Konieczność dokonania wyboru między kiepskimi rozwiązaniami potęgowała studenckie poczucie utraconych korzyści. Bo zajmowanie pokoju w akademiku – oprócz oczywistych zalet w postaci bujnego życia towarzyskiego – posiadało również dużo minusów: peerelowski standard pokoi, odgórny przydział lokatorów i przekonanie, że do akademików trafiają ubodzy przyjezdni z okolicznych miasteczek i wsi.

Mieszkanie wynajęte w całości przez studentów stwarzało zarówno możliwości dowolnego kształtowania życia towarzyskiego, jak i dostosowania standardu lokalu do wymagań zamieszkujących go osób. Byłoby to idealne rozwiązanie, gdyby nie potrzeba idealnej zgody wśród lokatorów. Kiedy jednemu z nich zmieniała się wizja przyszłości i odchodził w siną dal, reszcie raptownie wzrastały miesięczne opłaty i poczucie niesprawiedliwości.

Natomiast wynajmowanie pokoju na stacji oznaczało dzielenie kuchni i łazienki z upierdliwą staruszką. Zaletą był oczywiście relatywnie niski koszt wynajmu, ale nie można było nawet śnić o sprowadzaniu gości.

Grzegorz przekonał ojca. Prywatny akademik oferujący podwyższony standard pokoi, doborowe towarzystwo i możliwość prowadzenia bujnego życia towarzyskiego przeszedł pozytywnie proces ponownej weryfikacji.

Kiedy Ksawery przytaknął synowi, dowiedział się, że do rozkręcenia biznesu potrzebna jest jego pomoc. Spodziewał się takiego obrotu spraw. Był gotów pożyczyć synowi konkretną sumę. Szybko okazało się, że nie chodziło o pieniądze. Grzegorz miał zagwarantowane finansowanie, zaplanował też kolejne etapy inwestycji. Potrzebował jedynie stworzenia sprzyjających okoliczności umożliwiających zakup kamienicy usytuowanej w centrum miasta. Zakup w bardzo atrakcyjnej cenie.

Dzisiaj Król wiedział, że w tamten majowy wieczór powinien był wybić synowi z głowy wszelkie pomysły. Powinien odwrócić się na pięcie i odejść.

Chciał jednak wyciągnąć jak najwięcej zysku z posiadanych kontaktów. Zgodził się pomóc. Wypytał tu i ówdzie o problemowe kamienice. To dzięki Ksaweremu chłopacy zdobyli nieruchomości. Polityk wiedział o ich biznesie wszystko. Kto za co miał być odpowiedzialny. Zbierał haki na każdego, tak na wszelki wypadek. Chłopacy zaczęli zgarniać dużą kasę. Zachłysłeni się i zaczęli brać dopalacze.

– Może czegoś się napijemy? – Fryderyk Chmielewski otworzył barek z alkoholem. – Mamy powód do radości. Fabian próbował, ale nigdy już nie

spróbuje.

– Ani on, ani żaden z jego kolegów. – W mniemaniu polityka winę za nieszczęśliwy obrót sytuacji ponosili koledzy syna.

– Po przypadkowej śmierci Grzegorza musieliśmy zacząć kreować rzeczywistość. Po pierwsze, wykorzystać to PR-owo, a po drugie, przeciwdziałać wylewowi informacji.

– Oszczędź mi szczegółów. Miałeś zamknąć twarz Fabianowi i to zrobiłeś. Nie wnioskuję jak. Nie interesuje mnie to. Zbliżają się wybory. Interesują mnie sondaże i kampania.

– W końcu skończą się krępujące pytania i niepotrzebne przesłuchania.

– I odpieprzy się ode mnie ten wypielegnowany prokurator. Nareszcie!

\*

Przyjemne ciepło panoszyło się w całym domu rodzinnym Anny. Przywitało ich już na progu w postaci uśmiechniętej Renaty Rogozińskiej, która najpierw przytuliła córkę, a później – Łukasza.

Stała przy nich, podekscytowana, czekając, aż pozbędą się wierzchnich okryć, a później zaprosiła gości do salonu.

W korytarzu dogonił Łukasza zapach domowego jedzenia, a w salonie zachwyił widok suto zastawionego stołu. Różnego rodzaju wędliny, sałatka, aromatyczny bigos, papryka konserwowa.

– Mamo, spodziewasz się jeszcze kogoś? – spytała z autentycznym zdziwieniem Anka.

– Kogo mam się spodziewać?

– Nie wiem, ale na tym stole jest żarcia przynajmniej na osiem osób.

– I to osiem bardzo głodnych – dodał Łukasz.

– Wy wyglądacie na głodnych.

– Oj, to chyba przeszacowałaś nasze apetyty...

– Mów za siebie – z uśmiechem zaprotestował Łukasz, gdyż nie zdążył tego dnia zjeść ani drugiego śniadania, ani obiadu.

Gwiazdka, która uważnie i z dystansem obserwowała gości w korytarzu, zaczęła machać ogonem i ocierać się o ich nogi. Widocznie uznała, że dzieje się coś radosnego, z czego należy się cieszyć.

– Siadajcie, siadajcie, ja jeszcze przyniosę gorącą kiełbasę. – Renata promieniała szczęściem. Lubiła, kiedy dom wypełniały rozmowy i śmiech najbliższych. – Kupiłam taką swojską, ze świniobicia. Zobaczycie, jaka pyszna.

– Jeszcze kiełbasę? Mamo, przecież tego nie zjemy! – strofowała ją córka.

– Mówiłaś, że będziecie na kolację, przygotowałam więc prawdziwą ucztę.

– Ooo, i grzybki marynowane też są. – Łukasz z uwagą przyglądał się zawartości poszczególnych talerzy i miseczek. Wszystko wyglądało tak smakowicie, że z trudem powstrzymywał chęć rzucenia się na jedzenie. – Uwielbiam.

Renata zniknęła w kuchni, a Gwiazdka położyła się na sofie.

– No ciao? Jaka ty piękna jesteś i jak przytyłaś. – Ania usiadła obok suczki i zaczęła ją głaskać. – Taki brzusek pełny masz. Widzę, że ktoś dobrze o ciebie dba.

Łukasz usiadł przy stole, niedaleko kominka, i próbował w myślach odpowiedzieć sobie na pytanie, co najpierw trafi na jego talerz.

W kominku wokół świeżo dołożonych polan tańczyły płomienie. Dynamicznie przemieszczały się pod wpływem podmuchów powietrza, jakby musiały obejrzyć intruza z każdej strony, ustalić jego słaby punkt i w końcu unicestwić.

– Ale gorąco! – Łukasz zdjął sweter i zawiesił go na oparciu krzesła.

Ciepło wypełniało salon, w którym siedzieli goście. Rozluźniało mięśnie zmęczone zimą, uspokajało organizm i wyciszało zmysły.

– Anuś, chodź do stołu. – Renata pojawiła się z talerzem parującej kiełbasy. – Jedzcie już, jedzcie. Pewnie w tym Poznaniu głodni chodzicie.

Łukasza nie trzeba było zachęcać. Nałożył na swój talerz konkretną porcję bigosu i jedną kiełbasę. – Jedliście w ogóle obiad? Łukasz, nie schudłeś przypadkiem? Aniu, dbasz o niego? – Renata przez dłuższą chwilę zasypywała młodych pytaniami.

Nie odpowiadali, bo zajęci byli jedzeniem. Przesyłali jej jedynie uśmiechy, a Łukasz od czasu do czasu chwalił kolejny produkt.

– Przepyszna papryka konserwowa.

– Własnoręcznie robiona, według naszej rodzinnej receptury. Ania ją zna, może na starość też będzie ci taką robić? Dam wam kilka słoików. A właśnie, wpadniecie na kawę w Dzień Kobiet? Zrobię tort. Dostałam świetny przepis od sąsiadki.

Ania przyglądała się matce, która dawno nie wyglądała tak dobrze. Uśmiechnięta, zadowolona, szczęśliwa. Po śmierci ojca z dnia na dzień stawała się coraz bardziej przezroczysta, jakby tylko czekała, aż zejdzie z tego świata. Żyła od serialu do serialu i skupiała się na swoich dolegliwościach.

Przywiezienie matce bezdomnej Gwiazdki, pomyślała Anka, było świetną decyzją.

\*

– Jak długo już się spotykacie?

Dobrze, że goście skończyli jeść, bo pytanie zadane przez matkę mogłoby sprawić, że zadławią się ostatnimi kęsami. Renata Rogozińska nie byłaby sobą, gdyby prędzej czy później nie wróciła do ulubionego tematu. Zmierzała w jednym kierunku. Interesowały ją ślub, wnuki i rodzinna przyszłość córki.

– Długo. – Tym razem Anka była przygotowana i odpowiedziała z nieukrywaną satysfakcją. – Na tyle długo, że Łukasz zaproponował, byśmy razem zamieszkali.

Zawodny potwierdził kiwnięciem głowy. Rzeczywiście nieśmiało wysunął taką propozycję. Nie doczekał się jednak odpowiedzi.

– Zamieszkali? – powtórzyła niepewnie Renata. – Jak to? Tak bez ślubu?

Reakcja matki była dokładnie taka, jak przewidziała Anka. Dziennikarka ucieszyła się więc, że zaplanowana manipulacja się uda. Wiedziała, że funduje niepotrzebną huśtawkę emocji matce i Łukaszowi, ale nie widziała innego sposobu na powiadomienie swoich bliskich o nadchodzących zmianach.

– W zasadzie... – Łukasz do wątpliwości wyrażonych przez Renatę próbował ustosunkować się również pozawerbalnie.

– Oj, mam. – Z pomocą przyszła mu Anka. – W dzisiejszych czasach trzeba najpierw sprawdzić, czy się do siebie pasuje. Czy można razem żyć. Dopiero potem można myśleć o ślubie.

– Nie wiem, nie wiem. Nie wszystko to, co jest teraz jest dobre...

– Pani Renato, proszę się nie obawiać. Ja mam wobec pani córki bardzo poważne zamiary. Naprawdę poważne!

Kobieta nie wiedziała, co odpowiedzieć. Kręciła głową, szukając odpowiednich słów. Wyprzedziła ją córka. Uśmiechnęła się do Łukasza i ku zdziwieniu wszystkich osób przebywających w salonie powiedziała:

– Ja też mam poważne zamiary wobec ciebie. I chcę z tobą zamieszkać.

– Naprawdę?

Zdziwienie ustąpiło miejsca radości. Łukasz podszedł do Ani i wziął ją na rękę. Tak długo czekał na jakąkolwiek odpowiedź, że stracił już nadzieję.

Renata przytuliła Gwiazdkę i szeptała jej na ucho słowa zadowolenia. Co prawda, wspólne mieszkanie nie było ślubem i nie zgadzało się z matczynym światopoglądem, ale z dwojga złego było lepszym wyjściem. Renatę cieszył fakt, że córka mikroskopijnymi krokami zmierza do wiadomego celu. Najpierw przywiozła Łukasza do domu rodzinnego i przedstawiła go jako kolegę. Później stali się parą. To, że zdecydowała się z nim zamieszkać, musiało oznaczać, że jest zaangażowana w związek i myśli poważnie o wspólnej przyszłości.

Kiedy radość została wyrażona, a wszyscy wrócili na swoje miejsca, Anka dodała nieśmiało:

– Jest tylko jeden problem. Mam nadzieję, że...

– Jaki problem? – zamarł Łukasz.

– Jesteś w ciąży! – próbowała odgadnąć matka.

– Nie – kontynuowała śmiało. – Zaproponowano mi awans. Będę prowadziła program. Sama. Jak Cherry Healey.

– Kto?

– Taka sympatyczna blondyneczka, na pewno ją kojarzysz, mamó. Brytyjka, prowadzi program o kobietach. Ja będę robiła coś podobnego. Będę jeździła po Polsce i rozmawiała z ludźmi o różnych ważnych sprawach. Tematyka społeczna, szeroka perspektywa, popularny program. Emitowany będzie w nowej stacji, córce Primo TV – Ania opowiadała, podekscytowana. Mocno gestykulowała, a z jej oczu bił blask. – Jeśli osiągnie dużą oglądalność, pojawi się w niedzielnym paśmie Primo TV. Rozumiecie, co to oznacza?

Matka i Łukasz przyglądali się dziennikarce, oszołomieni.

– Skoro zarząd Primo TV o tym mówi, to znaczy, że są duże szanse. Obecnie w tym paśmie puszczają Martynę Wojciechowską i jej podróże. A może za kilka miesięcy puszcza Annę Rogozińską i jej reportaże. Super, prawda?

– W niedzielę, w ogólnopolskiej telewizji? – Renata nie dowierzała. – Kochanie! – Uściskała córkę. – To chyba dobra wiadomość. Promieniejesz i spełniasz swoje marzenia. Ciężko na to pracowałaś!

– Dziękuję, mamus, dziękuję, że mnie rozumiesz. – Ania podkreśliła ostatnie słowo, czekając na reakcję Łukasza.

Bała się tej rozmowy, ale kiedy wszystko wyrzuciła z siebie, poczuła ogromną ulgę i radość. Stała przed bramą z napisem „sukces zawodowy” i jako jedyna miała możliwość przez nią przejść. Podjęła decyzję, z opóźnieniem, ale jednak poinformowała o niej bliskich. Nie wiedziała, jak zareagują. Właściwie bała się, że zareagują źle. Matka rozchoruje się jak na zawołanie, bo będzie chciała zatrzymać córkę na miejscu. Łukasz poczuje się odtrącony, zrobi jej scenę i odejdzie w siną dal, zabierając ze sobą miłość, którą jej podarował.

– W stacji córce w Warszawie? – Łukasz wycedził pytanie przez ściśnięte zęby.

– Tak. Ale nie będę mieszkać w stolicy. Owszem, muszę tam być podczas montażu i tak dalej, ale będę jeździć po Polsce...

– Przyjął go, prawda? – Przerwał jej takim tonem, że się przestraszyła.

Jego policzki drgały nieznacznie, jakby zapowiadały nadchodzący wybuch. Oczy wierciły dziurę w twarzy kobiety, która w ciągu pięciu minut najpierw zgodziła się z nim zamieszkać, a później oznajmiła, że dostała pracę w stolicy.

– Wstępnie – zająknęła się – ale mogę jeszcze zrezygnować...

Sprytnie to sobie zaplanowałam, pochwaliła się w myślach, nie wiem, jakby zareagował, gdybyśmy byli sami.

Obecność Renaty Rogozińskiej sprawiała, że Łukasz ze wszystkich sił starał się zapanować nad negatywnymi emocjami. Nie mógł uderzyć pięścią w stół ani wybiec z domu. Walczył ze sobą, powtarzając w myślach, że wyrzuci z siebie wszystko... ale dopiero jutro. Najpierw musi się przespać i uspokoić myśli.

– Będę przyjeżdżała do Poznania na dwa, trzy dni w tygodniu. Jeśli zgodzisz się ze mną mieszkać, to będziemy spędzać razem o wiele więcej czasu. No, chyba że już



mnie nie chcesz...

## ROZDZIAŁ 22

### Walentynki

Nie miała ochoty otworzyć oczu. Choć skończyła się noc, Anna nie czuła się wypoczęta.

Do domu dotarła wieczorem, podwieziona przez Łukasza pod blok. Przez pięćdziesiąt minut spędzonych w samochodzie nie zamienili ze sobą ani jednego zdania. W domu Renaty Rogozińskiej Łukasz uśmiechał się rzadko, starał się włączyć w dyskusję, jednak gdy tylko usiadł za kierownicą, zrzucił maskę miłego chłopaka z sąsiedztwa. Z wydętymi ustami i napiętym czołem wpatrywał się w drogę.

Rozstali się bez słowa. Odjechał z piskiem opon. Ona poszła do domu. Położyła się spać, ale organizm się buntował. W kółko odtwarzała przebieg rozmowy przy kolacji. Przewracała się z boku na bok. Z pleców na brzuch i z powrotem. Nad ranem zasnęła, zmęczona wierceniem się w łóżku.

Obudził ją sygnał informujący o nadejściu nowej wiadomości tekstowej. Komórka leżała przy łóżku. Zerknęła na nią jednym okiem. Nadawcą SMS-a był Łukasz.

– Nie... – Odepchnęła komórkę z taką siłą, że spadła z nocnego stolika.

Anka nie chciała wracać myślami do tematu, który utrudnił jej zasypianie. Nie miała ochoty roztrząsać sytuacji, która w jej ocenie niepotrzebnie urosła do rozmiarów problemu.

Leżała jeszcze przez chwilę, ale jej wyobraźnia zaczęła produkować alternatywne scenariusze.

Skruszony Łukasz przysyłający SMS-a z wielkimi przeprosinami.

Agresywny Łukasz domagający się wyjaśnień.

Zbolały Łukasz żądający wyjaśnień, dlaczego go nie kocha i traci jego czas.

Chciała uciec przed sobą i przykrymi wizjami. Wybiegła z łóżka jak sprinter, włączyła radio i wróciła z powrotem. Jeszcze ciepłą kołdrą nakryła się po sam czubek nosa.

Muzyka miała wyprzeć przykre myśli, a ciepło zachęcić organizm do chociaż krótkiej drzemki.

– W końcu jest sobota. Nic mnie nie goni.

Mogła spędzić w łóżku cały dzień. Nie musiała śpieszyć się ani do pracy, ani na śniadanie. Nadal czuła się syta. Podczas kolacji najadła się tak, że na samą myśl o jedzeniu czuła odruch wymiotny.

– Wracamy do was z kolejną porcją muzyki. – Niski głos prezentera radiowego z radością zameldował się po porannych wiadomościach. – Trwa „Walentynkowy Top 10”. Głosowaliście na miłosne hity przez cały tydzień. Wybraliście najbardziej miłosne utwory wszech czasów. Przed nami miejsce trzecie. Przyznam szczerze, że to moja ulubiona piosenka: Whitney Houston, *I Will Always Love You*. Pamiętajcie, moi

drodzy, że dziś jest wyjątkowy dzień. Idealny na takie wyznania. Zawszę będę cię kochać. Cudowne słowa. Dobrze, teraz zamilknę, a wy posłuchacie, w jakim stylu miłość wyznaje Whitney Houston.

– O, nie! – Anka zaprotestowała. Odruchowo schowała głowę pod poduszką. Momentalnie przeszła jej ochota na drzemkę. – Wyjąca Whitney? Wrrr. Wyznania miłosne? Nie ma mowy! Walentynki? To już dziś? – Wyłączyła radio, nachyliła się i podniosła komórkę z podłogi. Kontrolnie spojrzała na wyświetlacz i odczytała: – Czternasty lutego dwa tysiące piętnastego. Godzina dziewiąta dwanaście. – Przez chwilę zastanawiała się, co o tym myśleć, aż w końcu odetchnęła z ulgą: – Nareszcie! Jeszcze tylko jeden dzień i skończy się zamieszanie związane ze świętem zakochanych. W końcu świat wróci do normy.

Wierna zasadzie, że nawet w najbardziej pesymistycznych wydarzeniach można znaleźć coś optymistycznego, ucieszyła się, że w tym roku walentynki wypadły w sobotę. To było wielkie szczęście. Nie musiała iść do pracy i oglądać mimowolnie tych wszystkich zakochanych błakających się po ulicach. Szaleńców, którzy przez cały rok oszczędzali uczucia, by okazać je właśnie tego sztywno ustalonego dnia w roku.

W walentynki ludzie wylegali na ulice, w rękach dumnie nieśli róże, rezerwowali stoliki w kawiarniach i restauracjach, wykostrowywali się, jakby chcieli udowodnić sobie, a może przede wszystkim innym, że ich miłość jest prawdziwa. Prawdziwsza i bardziej okazała niż rok wcześniej, podczas poprzednich walentynek.

Zanim odłożyła komórkę, sprawdziła wiadomość od Łukasza.

– Miłego święta zakochanych? – Krótka i całkowicie obojętna treść ją zaskoczyła.

Nie wiedziała, jak zidentyfikować intencje nadawcy. Złośliwość? Ironia? Odbębnienie przykrego obowiązku? Do wiadomości dołączone było zdjęcie rysunkowej róży. Pięknej, ale sztucznej.

\*

Wiktor Braun od ponad piętnastu minut stał w kolejce. Mógł się założyć, że w tym dniu kwiaciarnie są najbardziej obleganymi punktami handlowymi. Wszyscy mężczyźni, którzy nie zdążyli kupić prezentu walentynkowego, nie mieli na niego pomysłu lub zwyczajnie o nim zapomnieli, czternastego lutego tłumnie przybywali do kwiaciarni, by kupić jakąkolwiek roślinę i wręczyć ją swojej kobiecie.

Wiktor zdążył przyjrzeć się kwiatom zajmującym niewielkie pomieszczenie, a teraz przysłuchiwał się rozmowie dwóch mężczyzn dobrze po czterdziestce.

– Słyszałeś o tym psycholu, co chce oczyścić świat z narkomanów?

– Nie?

– No jak? Przecież wszyscy o tym mówią.

– Wszyscy?

– No... pisali o nim w gazetach.

Wiktor uśmiechnął się pod nosem. Wszyscy o nim mówią, powtórzył w myślach, i pochwalił sam siebie: no tak, pięknie to zaplanowałem.

Dotychczas brzydził się manipulacjami. Był krystalicznie czysty i unikał mediów jak ognia. Nie pamiętał już, kiedy wpadł na pomysł, by wykorzystać rzeczywistość w określonym celu. Anna Rogozińska pojawiła się w najbardziej odpowiednim momencie. Domagała się informacji, wręcz błagała o współpracę. Mrugała rzęsami i posyłała miłe uśmiechy, jakby liczyła, że jej uroda będzie argumentem, który pomoże prokuratorowi w podjęciu decyzji.

Wiktor zaintrygowała determinacja dziennikarki. Ucieszył go również zbieg okoliczności. Anna pracowała nad tematem będącym także przedmiotem jego śledztwa. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia i uznał, że inteligencją i zmuszeniem przeciwnika do działania może osiągnąć więcej niż kurczowym trzymaniem się prawa.

– Dla pana? – kolejka się przesuwiała.

Dwie ekspedientki się uwijały, próbując rozładować tłok.

– Kwiatów potrzebuję – odpowiedział mężczyzna stojący przed Wiktoorem.

– Jakich?

– No wie pani, zwyczajnych. Ładnych.

– Na walentynki?

– No.

– To może bukiet róż? – Kobieta zaproponowała gotowy, okrągły, biało-różowy bukiet zawinięty w różowy tiul.

– Czy ja wiem? A ile kosztuje?

– Pięćdziesiąt osiem złotych.

– Nie, ten kolor się mojej nie spodoba. A co w ogóle znaczy różowy kwiat? Bo wy, kobiety, tłumaczycie sobie te rośliny na jakieś wyznania. Nie chciałbym wyjść na kretyna.

– Różowa róża to elegancja i wdzięk.

– A te tu? – Mężczyzna wskazał na dużo mniejszy bukiet frezji.

– Generalnie frezja to wyraz szacunku, uznania, radości, ale także zaproszenia do flirtu.

– A po ile?

– Bukieciak trzydzieści osiem.

– O, to już lepiej. Dobra, to niech będzie.

Mężczyźni, których obserwował Braun, zostali obsłużeni mniej więcej równocześnie.

– Dla pana? – W końcu przyszła kolej na Wiktorą.

Przesunął się do lady i złożył zamówienie:

– Poproszę najpiękniejszą, najświeższą i najładniej pachnącą czerwoną różę. Rozwiniętą, ale nie przejrzałą.

Ekspedientka zniknęła na zapleczu i wróciła z kwiatem idealnym. Wiktor powąchał go i kiwnął głową. Kwiat był doskonały.

– Z przybraniem? – Kobieta sięgała już po czerwoną wstążkę.

– Nie – zaprotestował.

Wchodząc do kwaciarni „Poczty Kwiatowej®”, dokładnie wiedział, co chce kupić. Nie podejmował decyzji spontanicznie. Orzekł, że kwiat, który podaruje Annie, ma wyrażać jego uczucia do niej. Ma być piękny, naturalny, nieśmiały. Wrażenie mają robić czerwone płatki i delikatny zapach. Zielone liście i kolce mają być ozdobą, a nie tłem dla wstążek, gipsówki i innych udrziwnień.

– Zapakować w folię czy w papier?

– Chciałbym zamówić wysyłkę. Doręczenie dziś.

– Oczywiście, nie ma problemu, proszę tylko zapisać dokąd.

Otrzymał długopis i bloczek samoprzylepnych kartek. Zanotował adres Anny Rogozińskiej.

– Mam jeszcze prośbę, by dostarczono różę w kartonie wyłożonym takim delikatnym papierem.

Braun wyobrażał sobie minę Anki podnoszącą kartonowe wieko.

– Oczywiście. Proszę jeszcze wypisać bilecik. Rozumiem, że to przesyłka walentynkowa?

– Tak.

Wiktor otrzymał czerwony bilecik. Otworzył go i wpisał wiadomość dla pięknej odbiorczynie:

*Może czas przestać się bać?*

*Zaufaj mi, Anno!*

*Całuję, W.B.*

\*

Braun wychodził właśnie z kwaciarni. Miał poczucie dobrze wypełnionej misji. Nagle poczuł wibracje telefonu. Zdjął rękawiczki, podwinął kurtkę i dostał się do kieszeni dzinsów.

– Tak?

– Prosił pan, żeby informować na bieżąco.

– Tak? – zamarł.

Mimo że nie znał numeru dzwoniącego, w mig skojarzył, o co chodzi.

– Cel zbliża się do obiektu – zameldował policjant, z którym ostatnio ściśle

współpracował.

Braun ruszył w stronę swojego samochodu, jakby otrzymał nagły zastrzyk adrenaliny.

Nie myślał, że tak krótko będzie czekał na efekty zaplanowanej akcji.

Podkoloryzował rzeczywistość, wypuścił przeciek kontrolowany i dał działać dziennikarce. Obserwował, jak wszelkie możliwe media eksploatują nośny temat, i czekał na reakcję osoby, dla której odbywało się to całe przedstawienie.

– Bardzo dobrze. Już jadę.

Zbliżała się wielka chwila. Finał akcji.

Aresztowanie płotki funkcjonującej w dopalaczowym biznesie nie przyniosłoby rezultatów. By osiągnąć spektakularny sukces, musiał zakuć w kajdanki rekina. Zakuć i dostarczyć sądowi dowody wystarczające do wydania wyroku skazującego. Ale najpierw musiał wykurzyć bossa z jaskini, a nie osiągnąłby tego bez pomocy uroczej dziennikarki.

\*

Anka wyszła z łazienki ubrana tylko w szlafrok. Prysznic zmył z niej poczucie straconej nocy i zepsutego wieczoru. Poczwała chęć na przyjemności.

W kuchni przygotowała kubek kakao z pianką i usiadła przy ławie. Zamierzała uczcić kardiologiczne święto odpowiednim kolorem paznokci. Na blacie stała już buteleczka z szybko schnącą emalią.

– Krwista czerwień. Soczysta barwa świeżej krwi, która opuszcza ciało. – Krwawienie kojarzyło się jej się z bólem, lękiem i niepewną przyszłością. – Kolor miłości, który mówi o uczuciu więcej, niż by chciał. Kolor, na który zakochani patrzą przez jakieś przydymione szkiełka... Jak można cieszyć się z miłości, nie zauważając, jak bardzo jest niebezpieczna?

Ledwo skończyła nakładać na paznokcie drugą warstwę czerwonego lakieru, a jej telefon zaczął wibrować i dzwonić. Spojrzała na wyświetlacz. Numer nieznany.

– Nie odbieram nieznanych w weekendy!

Obserwowała przez chwilę, jak aparat tańczy na blacie. W końcu wibracje i muzyka zamilkły, by za chwilę znowu się rozpocząć.

– Co za uparty osioł!

Tym razem Anka zdecydowała się odebrać. Zaczęła więc przebierać palcami w powietrzu, by przyspieszyć schnięcie lakieru. Do nadania koloru płytce paznokciowej użyła produktu szybko schnącego, który według etykiety po sześćdziesięciu sekundach od nałożenia miał być gotowy do zadań specjalnych. W tej chwili nie zamierzała jednak sprawdzać, czy deklaracja producenta jest prawdą czy jedynie hasłem marketingowym. Jej paznokcie miały być idealne, bez zarysowań.

Przesunęła delikatnie opuszką palca wskazującego po ekranie, a bokiem dłoni starała się unieść komórkę.

– Halo, chwileczkę, już, chwileczkę – powtarzała, dopóki aparat nie znalazł się przy uchu. – Tak, słucham?

– Czy rozmawiam z dziennikarką Anną Rogozińską?

– O co chodzi?

– Czy dobrze się dodzwoniłem?

– To zależy – warknęła. Nie znosiła ludzi, którym brakowało elementarnych zasad kultury. – Nie wie pan, że jak się do kogoś dzwoni, najpierw należy się przedstawić?

– Już poznaję po głosie i dobie specyficznej zarozumiałości. Pani Aniu... mam pani numer ze szpitala, od pielęgniarki.

– Jakiej pielęgniarki?

Czerwień na paznokciach, lista miłosnych utworów wszech czasów oraz zniechęcone święto zakochanych sprawiły, że Ania pomyślała, że rozmawia z jakimś widzem ośmielonym do miłosnego wyznania.

– Pielęgniarki. Nie wiem, nie znam jej nazwiska.

– Pan wybaczy, nie mam czasu na takie rozmowy.

– Pani Aniu, z tej strony Piotr Przemysław.

Przemysław, Przemysław, kilkakrotnie powtórzyła nazwisko w myślach, aż trafiła na dobrą ścieżkę skojarzeń.

– Piotr?

– Tak.

– Jesteś w szpitalu? – podekscytowana, przeszła na ty. Momentalnie zapomniała o świeżo pomalowanych paznokciach. Usiadła wygodnie, zatkała ucho jedną dłonią, by nie stracić ani jednego słowa rozmówcy.

– Nie, wypuścili mnie do domu.

– Czyli doszedłeś do siebie?

– To dość optymistyczna interpretacja mojego stanu zdrowia, ale lekarze uznali, że bardziej mi nie są w stanie pomóc. Słyszałem, że chciałeś ze mną porozmawiać. To aktualne?

– Tak, jak najbardziej. Zwłaszcza że Bartek... – zagalopowała się i kiedy to sobie uświadomiła, przerwała. Nie wiedziała, czy do Piotra dotarła informacja o śmierci kolegi.

– Tak, słyszałem. Właśnie z tego powodu chcę się spotkać. Mam wiele do powiedzenia, chcę to z siebie wyrzucić.

Anka słuchała z otwartymi ustami. Nie mogła wymarzyć sobie lepszego prezentu.

– Nie ma sprawy. To co? Kiedy możemy się spotkać? Dzisiaj?

– Tak, jestem w drodze, za godzinę mogę być...

Sześćdziesiąt minut? Miała cztery kwadransy, by wysuszyć włosy, ubrać się

i zorganizować mobilne studio nagrań.

– Wiesz co, może oddzwonię do ciebie za pięć minut? Sprawdzę, czy mój operator będzie wolny za godzinę. Jest sobota i jeszcze na dodatek walentynki.

– Poczekaj – zaprotestował – chyba się nie zrozumieliśmy. Będę rozmawiał tylko z tobą. Rozmawiał, OK? Tylko z tobą. Nie nagrywaj tego. Nie mów nikomu o naszym spotkaniu. Nikomu. W przeciwnym razie skążesz mnie na śmierć.

– Wiesz, kim jest morderca?

– Wiem. Dlatego kategorycznie żądam, żebyś nikomu nie mówiła...

– Dobrze – przytaknęła, mimo że w jej głowie rodziło się mnóstwo pytań. Wyczuła zniecierpliwienie rozmówcy. Pytania musiała zostawić na później. W tej chwili priorytetem było to, by umówić się na spotkanie.

– W takim razie za godzinę czekam na ciebie...

W torebce znalazła długopis, wyjęła też kalendarz i zanotowała miejsce, w którym mieli się spotkać. Nazwa kawiarni brzmiała znajomo.

\*

Łukasz Zawodny zaparkował samochód pod blokiem, w którym mieszkała Anna. Wyłączył silnik i zastanawiał się, jak powinien postąpić. Przez noc przeszła mu złość i był gotowy na huczne świętowanie walentynek. W końcu do niespodzianki przygotowywał się przez dłuższy czas. Nie powinien pozwolić, by została zepsuta przez awans, na który jego dziewczyna ciężko pracowała.

– Halo?

– Cześć – odezwał się niepewnie, kiedy usłyszał jej głos w telefonie. Postanowił najpierw uprzedzić ją o swojej wizycie.

– Cześć – odpowiedziała jak echo.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

– Nie.

– Wiesz, dzwonię, bo chciałem porozmawiać... – cedził kolejne słowa, a ona słuchała w ciszy i niczego mu nie ułatwiała. – Jesteś w domu?

– Nie.

– Nie?

– Jestem, ale jakby mnie nie było.

– Brzmi to mało przekonująco... i mało logicznie.

– O rany, jestem, ale już mnie nie powinno być. Teraz jest wystarczająco logicznie?

– Aniu, przepraszam. – Bębnił palcami o kierownicę i wpatrywał się w wejście do klatki schodowej. – Wczoraj trochę mnie poniosło. Zaskoczyłaś mnie. Potrzebowałem trochę czasu. Zaserwowałaś zbyt dużo wiadomości podczas jednej kolacji. Dobrze,



złe... Wszystko mi się pomieszało. Nie obrażaj się, proszę.

– Nie obrażam. – Ton jej głosu i brak odpowiedzi na SMS-a przesłany kilka godzin wcześniej świadczyły o czymś zupełnie przeciwnym.

– Wpadnę, porozmawiamy, dobrze? Zajmę ci nie więcej niż kwadrans.

– Łukasz, nie teraz.

– Dlaczego?

– Jestem zajęta.

– Co masz takiego ważnego? Randkę? – Przemówiła przez niego zazdrość.

Nawet jeśli za chwilę wychodziła, powinna chcieć spotkać się ze swoim chłopakiem chociaż na chwilę. Przytulić. Poczuć, że wszystko wróciło do normy. Omówić, jak spędzą walentynki.

Ania rozmawiała z nim od niechcienia. Nie miała ochoty na spotkanie. Czuł, że coś przed nim ukrywa.

– Jaką randkę? – Zaśmiała się nerwowo.

– Nie wiem, ty mi powiedz.

– Łukasz, naprawdę nie mam teraz czasu na takie rozmowy.

– Dobrze. – Uspokoił poczucie frustracji i postanowił wykreować najbliższą przyszłość. – W takim razie porozmawiamy wieczorem.

– Wieczorem?

– Tak, dziś są walentynki. Rezerwuj dla mnie wieczór. Przygotowałem niespodziankę. Nie przyjmuję odmowy!

Na tylnym siedzeniu leżał bukiet róż i niewielkie pudełko oznaczone logiem producenta biżuterii.

Po osiedlu wśród prószonego śniegu przemykały pojedyncze pary przytulonych zakochanych. Mężczyzna z różą biegł na przystanek tramwajowy.

– Wiesz, że nie obchodzę...

– Wiem, że sprawię ci przyjemność, tylko przestań się wykręcać. Ubierz się ładnie. Zarezerwowałem eleganckie miejsce.

– Dobra, wieczorem. O której i gdzie?

\*

Łukasz Zawodny zastanawiał się, co powinien zrobić. Skoro stał już pod blokiem Anki, mógł bez problemu sprawdzić, czy jego dziewczyna rzeczywiście jest w domu i zbiera się do wyjścia czy go okłamała. Może nie chciała z nim rozmawiać? Potrzebowała spokoju i ciszy, by pozbierać myśli? A może pocieszał ją były chłopak?

Zawodny usiadł tak, by mieć na oku wszystkich wchodzących i wychodzących z bloku.

Pod klatkę podjechał mały samochód oklejony reklamami sieci „Poczty

Kwiatowej®”. Kierowca dynamicznie wyskoczył ze środka. Miał na sobie śmieszna czapkę przypominającą nakrycie głowy Stańczyka. Spojrzał na zegarek, rozejrzał się wokoło, jakby chciał sprawdzić, czy trafił w odpowiednie miejsce, a następnie wyjął z bagażnika wąski karton.

Samochód częściowo zasłonił wejście do budynku. Łukasz wychylał się, próbując powiększyć sobie pole widzenia. Nie mógł przeoczyć Anki.

– Bliżej nie mogłeś podjechać, co? – skomentował szyderczo.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zauważył, że drzwi do klatki się otwierają, a przed doręczycielem w skupieniu studiującym napisy na domofonie staje Anka Rogozińska.

– O, jest. Czyli jednak nie kłamała.

Dziewczyna zatrzymała się i zamieniła kilka słów z doręczycielem. Przez chwilę Łukasz widział tylko plecy chłopaka. Dopiero później głowa przykryta śmieszna czapką zniknęła w samochodzie, który po chwili odjechał i poprawił widoczność.

Łukasz przyglądał się Ance. Stała przy klatce, z kartonem w ręku. Wahala się, czy do niego zajrzeć. W końcu to zrobiła. Ze środka wyjęła różę. Przyłożyła ją do twarzy i pogładziła płatki dłońmi. Uśmiechnięta, udała się w kierunku swojego auta, a po drodze wyrzuciła karton do kosza na śmieci.

Łukasz poczuł się rozdarty. Powinien teraz biec do kosza i szukać śladu, który pozwoli mu stwierdzić, kto był nadawcą pojedynczego kwiatka. Może powinien śledzić Ankę, bo istnieje duże prawdopodobieństwo, że pojedzie prosto do nadawcy kolczastego prezentu.

\*

Kawiarnia „Nas dwoje” przywitała Annę aromatem świeżo parzonej kawy. Nie minęło jeszcze południe. Mimo że do walentynkowego wieczornego szczytu zostało kilka godzin, to ponad połowa stolików była już zajęta. Statystycznie rzecz ujmując, ponad połowa zajętych stolików była wolna. Każdy przeznaczony był bowiem na cztery osoby, a wśród gości dominowały pary. Wyjątek stanowiła grupka sześciu kobiet co najmniej w średnim w wieku oraz samotny mężczyzna.

Ten ostatni siedział przy oknie i wpatrywał się w Ankę.

Dziennikarka uśmiechnęła się szeroko. Kiedy dojeżdżała na miejsce spotkania, Piotr zadzwonił do niej i powiedział, że czeka już w lokalu, i to przy najlepszym stoliku. Poinstruował ją, że po wejściu do środka powinna spojrzeć w prawo, a on będzie na nią czekał przy stoliku znajdującym się między oknem a filarem.

– Witaj – odezwała się pierwsza i wyciągnęła rękę.

– Witaj. Usiądź, proszę.

Mężczyzna przyglądał się Ance z niekłamanym zachwytem. Czula na sobie jego

wzrok, kiedy odwieszala kurtkę. Jak wracała do stolika, wpatrywał się w jej nogi.

– Czego się napijesz? – zapytał w końcu.

– Soku pomarańczowego.

Mężczyzna spojrział w kierunku baru, ale kelnerka zajęta była rozmową telefoniczną. Wstał więc od stolika i po chwili wrócił ze szklanką soku przyozdobioną czerwoną słomką z papierowym serduszkiem.

– Trochę dużo ludzi, myślałam, że wybierzesz jakieś bardziej ustronne miejsce.

– Mnie to nie przeszkadza, a tobie? Jeśli chcesz, możemy pójść do mnie.

– Nie, dla mnie jest OK. Myślałam, że... – Zamilkła i zanurzyła usta w soku.

W jego oczach odnajdywała wszystko poza lękiem. Spodziewała się, że będzie zachowywał się podobnie jak Bartek podczas spotkania. Będzie nerwowo się rozglądać, szukać podsłuchów, dziwnych ludzi. Jednak zamiast przestraszonej ofiary obserwowała pewnego siebie mężczyznę. Mężczyznę, który zamiast rozmawiać z nią jak z dziennikarką, skupiał się na jej cielesności. Intuicyjnie czuła, że rozmówca z trudem powstrzymuje ślinotok, że ma ochotę rzucić się na nią i wykorzystać.

W pracy, zwłaszcza w kontaktach z płcią przeciwną, wielokrotnie wykorzystywała swoją kobiecość, by zyskać więcej korzyści.

Teraz miała ochotę zapaść się pod ziemię albo zakryć ciało i włosy workiem pokutnym. Zupełnie jakby znalazła się w klatce głodnego lwa. Każdy ruch, nawet najbardziej niewinny, mógł spowodować atak.

– Cieszę się, że w końcu możemy porozmawiać. – Nie odrywał od niej oczu.

– Szkoda, że tak późno.

– Jakoś inaczej sobie ciebie wyobrażałem.

– To co? Może przejdziemy do konkretów. – Nie chciała być niemiła, ale przyszła na spotkanie w określonym celu.

Starala się panować nad emocjami. By ukryć nerwowość i zająć czymś ręce, co chwilę sięgała po szklankę, popijała jej zawartość i odkładała na stół tylko po to, by za kilka sekund znowu ją podnieść.

– Konkrétów? – Mężczyzna dopił kawę i zaprezentował gotowość do wyjścia. – Szybka jesteś. Podobasz mi się, Walentynko.

– Walentynko? – powtórzyła, zdziwiona. Przez głowę przemknęło jej pytanie: czy to możliwe, że stałam się ofiarą paskudnej pomyłki? Sytuacja wydawała się Ance zbyt absurdalna, by mogła dziać się naprawdę. – Jak masz na imię? – Chciała potwierdzić przypuszczenia.

– A jakbyś chciała mnie nazywać?

– Umówiłam się tu z Piotrem.

– Piotrem?

Kiwnęła głową, a mężczyzna przestał się uśmiechać.

– Obawiam się, że to pomyłka. Cholera, wiedziałem, że to brzmi zbyt pięknie. Ale

wiesz co – dodał szybko – może to przeznaczenie? Moja panna z randki w ciemno się zgubiła, twój Piotr się zgubił. Olać ich. Może masz ochotę na loda? W sensie: deser lodowy? Zamówiłbym, porozmawialibyśmy i poznali się lepiej.

Od udzielenia kategorycznej i lodowatej odpowiedzi Annę uwolnił wibrujący telefon. Odebrała i usłyszała głos Piotra:

– Przepraszam, pomyliły mi się lokale, czekam na ciebie na ulicy...

\*

Łukasz po raz pierwszy w życiu kogoś śledził. Sytuacja, która miała miejsce przed blokiem Anki, wytrąciła go z równowagi. Postanowił się upewnić, czy nie popełnił błędu, pokładając bezgraniczne zaufanie w kobiecie. Nie mógł pozbyć się poczucia, że wszystko zaczyna składać się w jedną całość.

Może Ania uznała, że nie mogą być razem? Może ma kogoś innego? To od niego dostała dziś różę? Może dlatego zdecydowała o przyjęciu awansu sama, bez konsultacji? Nie miała odwagi poinformować go o rozstaniu wprost, dlatego teraz czekała na naturalny rozpad związku...

Było mroźnie i słonecznie. Śnieg przyjemnie skrzypiał pod naciskiem butów Łukasza.

– Idealna aura na romantyczny spacer...

Zgubił ją w momencie, gdy w centrum miasta wyszła z zaparkowanego samochodu. Nie mógł zostawić swojego auta na środku drogi. Musiał znaleźć wolne miejsce na poboczu, co w sobotę, kiedy nie obowiązywała płatna strefa parkowania, było niewykonalne.

Łukasz pieszo wrócił do miejsca, w którym widział Annę po raz ostatni. Minął jej samochód i kierował się w górę ulicy, uważnie się rozglądając. Mijał kolejne kawiarnie i zastanawiał się, czy takie poszukiwania mają sens.

Nie mogę wchodzić do każdego lokalu, bo Anna mnie zauważy, w myślach analizował sytuację. O ile w ogóle szła do kawiarni, a nie na przykład do mieszkania gacha.

Nagle zauważył ją kątem oka. Siedziała tyłem, bezpośrednio przy witrynie z napisem „Nas dwoje”, dokładnie po tej stronie ulicy, którą szedł.

Spanikował. Nie wiedział, czy się cofnąć, przejść na drugą stronę ulicy, czy może wejść do kawiarni. Nie potrafił podjąć decyzji i dlatego szedł przed siebie. Nieznacznie przyspieszył i postawił kołnierz, by zakryć jak największą część twarzy. Nie chciał być zauważony.

Kiedy był na wysokości stolika, na ułamek sekundy odwrócił głowę w kierunku Anki, by zobaczyć, z kim ona rozmawia.

Był tak blisko niej, że gdyby nie szyba oddzielająca kawiarniany szum od mroźnej

rzeczywistości, mógłby dotknąć jej rozpuszczonych blond włosów.

Tak, to była ona. Poznałyby ją nawet w ciemności. Towarzyszył jej mężczyzna. Raczej młody, z kilkudniowym zarostem na twarzy ukrywającym drugi, tłusty podbródek.

\*

– Wiesz, kto próbował cię zabić? Kto zabił twoich kumpli?

– Gdybym nie wiedział, nie zawracałbym ci głowy. Wydaje mi się, że o wiele ważniejsze jest to, dlaczego to zrobił.

– Dlaczego? – powtórzyła Anna i wyminęła wielką zaspę śniegu. Spacerowali ulicą, oddalając się od Starego Rynku.

Kiedy w końcu spotkała Piotra Przemyska, odetchnęła z ulgą. Z ledwością powstrzymała prośbę o to, by okazał jej swój dowód osobisty.

Była zdenerwowana i poirytowana wcześniejszą absurdalną rozmową z mężczyzną, który rozbierał ją wzrokiem. Musiał wziąć ją za pierwszą lepszą sztukę mięsa poszukującą wrażeń i umawiającą się na randki w ciemno.

Piotr przeproszał za zamieszanie i tłumaczył pomyłkę. Nie słuchała go jednak. Była rozkojarzona. Starła się opanować emocje i skupić się na zadaniu. Musiała rozwiązać zagadkę śmierci Grzegorza Króla, Fabiana Spychalskiego i Bartka Krupy. Być może miała jedyną, niepowtarzalną okazję rozmowy z ostatnią osobą z ich paczki.

Przymyk zaproponował spacer. Rozglądał się nerwowo, jakby się bał, że dziennikarka przyszła z obstawą.

Ania przystała na propozycję z kilku powodów. Po pierwsze, musiała jak najszybciej rozchodzić złość i odzyskać panowanie nad sobą. Potrzebowała kilkunastu minut ruchu na świeżym powietrzu, by odzyskać spokój. W przeciwnym razie mogła zacząć reagować irracjonalnie i natarczywie, tym samym zrażając Piotra do siebie.

Po drugie, rozmowa podczas spaceru wydawała się mniej kontaktowa. Mogli iść, wymieniać się myślami i spoglądać na chodnik zamiast na siebie nawzajem. Ance zależało na tym, by rozmówca nabrał do niej zaufania.

Po trzecie, i ostatnie, pogoda sprzyjała spacerom. Słońce świeciło na tyle mocno, że zamiast martwić się srogą zimą, można było zauważyć jej zalety. Białe dachy i parapety, cudne sople zwisające z gzymsów i śnieg skrzypiący pod nogami.

– Dlaczego? – powtórzył pytanie jak echo.

– Bartek mówił, że zadarliście z nieodpowiednim człowiekiem.

– Wiesz, zadzieraliśmy z taką liczbą osób, że trudno było określić, z kim można, a z kim nie. W pewnym momencie wydawało nam się, że jesteśmy tak wielcy, że nikt

nam nie podskoczy.

– Masz na myśli wasze firmy, tak?

– Musisz przyznać, że zarówno pomysł, jak i realizacja były świetne. Prywatne akademiki. Gdyby nie chciwość Fabiana, żylibyśmy jak pączki w maśle.

– Co masz na myśli?

– Pomysł na biznes urodził się po udanej imprezie w jednym z poznańskich akademików. Potrzebowaliśmy jedynie lokalu, bo dysponowaliśmy wspólnie jakimś tam wkładem własnym. Zaczęliśmy rozglądać się tu i tam. Przymierzaliśmy się do kupna czteropokojowego mieszkania. Bartek i Grzegorz, nasi ekonomiści, zrobili analizę, no wiesz, koszty i wpływy. Okazało się, że taka inwestycja będzie opłacalna, ale tylko w bardzo długim okresie. Nie będziemy w stanie utrzymywać się z takiego biznesu. Nie przy jednym mieszkaniu. Wtedy podjęliśmy wyzwanie. Biznes na wielką skalę. Potrzebowaliśmy domu w bardzo dobrej lokalizacji. Ktoś rzucił pomysł kamienicy. Chcieliśmy kupić ją w okazyjnej cenie. Na rynku nie było jednak dobrych ofert. Potrzebowaliśmy kontaktów, dzięki którym znaleźlibyśmy coś odpowiedniego. Z pomocą przyszedł Król, ojciec Grzesia. Był politykiem od wielu lat. Miał wejścia wszędzie, w każdym urzędzie. Wynalazł nam perełkę, którą można było wziąć za bezcen. Kamienica z problematycznymi lokatorami i ze zmęczonym właścicielem. Wskoczyliśmy z kasy, chłopaki i ja. Grzegorz dostał trochę kasy od tatusia, Bartek podobnie. Najwięcej gotówki miał Fabian. Kiedy my studiowaliśmy, on zajął się zarabianiem. Najpierw kupił jakiś grunt rolny, potem przekształcił go i podzielił na działki budowlane, które sprzedał z kilkukrotną przebitką. Zarobioną kasę inwestował, bawił się w szybkie kredyty i złapał kontakt z nazwijmy to odpowiednimi ludźmi.

Spacerowali już dobry kwadrans, a Anka poczuła, że łapie ją zadyszka. Oddychała coraz szybciej, ale pobieżnie, jakby nie dostarczała do płuc odpowiedniej ilości tlenu.

– Ale nie wystarczyło wam pieniędzy, bo wzięliście kredyt. – Przypomniała sobie, że we wszystkich księgach wieczystych, które sprawdzała, widniały hipoteki.

– Widzę, że jesteś świetnie poinformowana. Bartek mi o tym wspominał. Tak, braliśmy kredyty, bo nie zawsze warto finansować wszystko ze swojej kieszeni. Poza tym potrzebowaliśmy kasy na remonty kamienic. Każdy z nas miał równy udział w biznesie. Dwadzieścia pięć procent. Grzegorz załatwiał namiary na nowe kamienice. Bartek był odpowiedzialny za kredyty. Korzystał z kontaktów brata swojego ojca, który zasiadał w radzie nadzorczej w banku. Ja zapewniałem obsługę prawną i remonty kamienic, a Fabian zajmował się bezproblemowym czyszczeniem kamienic. Kumplował się z takim jednym, co usuwał pluskwy z lokali. Wiadomo, każdy włożył też kasę i swoją pracę.

– Ale stworzyliście dwie firmy.

– To była konieczność. Grzegorz i Bartek nie mogli figurować jako właściciele

nieruchomości. Wiesz, zbyt duże ryzyko, że ktoś połączy nazwiska właścicieli z przekrętami. Duża kasa kole w oczy. Nie chcieliśmy ryzykować. Ktoś by się dopatrzył kolejnego kredytu udzielanego przez ten sam bank firmie bratanka szefa. Ktoś inny skojarzyłby czyszczenie kamienic na zlecenie syna polityka. Ostrożności nigdy nie za wiele. Tak więc w firmie skupującej nieruchomości działałem z Fabianem. Kupowaliśmy i czyściliśmy kamienice. Grzegorz z Bartkiem byli właścicielami drugiej firmy. Nieruchomości wolne już od śmierdzących lokatorów oddawaliśmy im w najem. W całości, wiesz... A oni robili remont i zarządzali prywatnym akademikiem. Nikt nie mógł ich kojarzyć źle, bo w społecznym odbiorze nie budowali biznesu na nieszczęściu innych. Po prostu wynajmowali kamienicę i płacili nam czynsz. Sami zarabiali oczywiście też niemało.

– Układ trochę ryzykowny, no nie? – Słuchała opowieści Piotra i nie mogła pozbyć się wrażenia, że kręci jej się w głowie.

Kiedy przechodzili przez ulicę, potknęła się o krawężnik.

– Ostrożnie. – Piotr chwycił ją pod ramię.

– Dzięki, już dobrze. – Cofnęła rękę. – Chyba nie przywykłam do tak długich spacerów, nadmiar tlenu uderzył mi do głowy. Czuję się, jakbym upiła się tym mroźnym powietrzem. A może to przez te spaliny.

– To lepiej usiądźmy, zanim mi zemdlejesz. Chodź, pokażę ci coś. – Wskazał dziennikarce kierunek, w którym powinni podążać.

Szybko doszli do kamienicy, która wyglądała na opustoszałą.

– Zapraszam cię do naszej najnowszej inwestycji. Jeszcze nieoddanej do użytku. Dopiero co pozbyliśmy się wszystkich lokatorów. – Pchnął ją delikatnie w kierunku wejścia. – Przepraszam za bałagan, w mieszkaniu na pierwszym piętrze mam krzesła. Usiądziemy sobie.

– Na czym skończyliśmy? – Z trudem unosiła nogi na tyle wysoko, by pokonywać kolejne schody.

– Na ryzyku. Powiedziałaś, że stworzyliśmy ryzykowny układ. Dlaczego?

– Grzegorz z Bartkiem inwestowali, a nie byli właścicielami... Mogłeś razem z Fabianem w każdej chwili puścić ich z torbami.

– Rzecz w tym, że nie mogłem. Zabezpieczyliśmy się na wszelkie możliwości. Sprzedaż kamienicy bez ich zgody wiązałaby się z obowiązkiem zapłaty im kary umownej, mniej więcej w wysokości poniesionych kosztów.

– Wszystko szło świetnie, aż zadarliście z... – próbowała przyspieszyć opowieść.

Otworzył drzwi do mieszkania. Było zniszczone jak reszta kamienicy. Na środku pokoju stały dwa drewniane krzesła. Anka podeszła do jednego z nich i usiadła. Piotr stał w miejscu i uważnie obserwował dziennikarkę.

– Z Królem. Ksawerym Królem – wyznał z ulgą. – Kilka dni przed sylwestrem spotkaliśmy się z podekscytowanym Grześkiem. Opowiadał, że jego ojciec jest

w posiadaniu informacji, dzięki którym będzie mógł zaszantażować właściciela kamienicy o idealnej lokalizacji dla naszego biznesu. Facet próbował sprzedać ją od dwóch lat. Chciał dużo kasy, a kamienica miała lokatorów. Król mógł zrobić facetowi szach-mat, a wtedy my wzięlibyśmy budynek za grosze.

– Ale?

– Ale ojciec Grzesia postawił warunek. Uznał, że dzięki jego kontaktom uzyskaliśmy już tak porządne zaplecze, że należy mu się, a raczej jego synowi, bonus. Chciał dla Grzesia większego udziału w zyskach.

– Większy dla niego oznaczał mniejszy dla was.

– No właśnie. Rozpoczęły się nieustające dyskusje. Najbardziej wkurzył się Fabian. W sumie miał rację. Do niczego nie przydałyby nam się te kamienice, gdyby nie kontakt do skutecznych i zaufanych czyścicieli...

\*

Łukasz od kilkunastu minut siedział w samochodzie i starał się zebrać myśli.

– Walentynki! – wyduszał z siebie kolejne słowa, po czym uderzał rękoma w kierownicę, próbując rozładować kumulujący się gniew. – Kwiaty! Kawiarnia!

Chciał inaczej zinterpretować to, co zobaczył, ale niestety nie mógł. Był tak wściekły, że zrobiło mu się gorąco. Zdjął czapkę i rzucił ją na tylne siedzenie. Upadła obok kwiatów i prezentu, który miał podarować wybrance serca.

– Ale ze mnie kretyn.

Zaplanował na dzisiejszy wieczór romantyczną kolację, rozmowę o przyszłości i drogi pierścionek, który miał się znaleźć na palcu Anki. Mieli pławić się w luksusie i szczęściu.

Zamiast tego siedział w samochodzie i marzył o wyjściu do baru. Usiadłby gdzieś w kącie i pił, aż straci poczucie czasu. Straconego czasu i zawiedzionych nadziei.

– Tak bardzo starałem się zdobyć serce Anny, a jej nawet nie było stać na szczerłość.

Sięgnął po czapkę. Chciał zrealizować swój plan. Upić się i przespać walentynki.

Nagle wewnątrz samochodu wypełniła głośna melodia wydobywająca się z telefonu komórkowego.

Błyskawicznie wyjął aparat z kieszeni.

– Halo?

– Halo, halo. No cześć, przystojniaku.

– Magda? – Rozpoznał głos kobiety.

– Przeszkadzam? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Nie, oczywiście, że nie.

Magdalena Krajewska. Poczciwa koleżanka, która zawsze była dla niego miła.



Uśmiechała się i cierpliwie czekała, aż znajdzie dla niej czas i dobre słowo.

– Masz bardzo dobre wyczucie czasu. Właśnie o tobie myślałem. – Prawdę urozmaicił małym kłamstwem.

– Tak?

– Tak.

– Rany, czy mężczyźni zawsze muszą być tak lakoniczni? Dobrze, dobrze, nie będę cię onieśmielać. Dzwonię, bo chciałam, proszę cię, życzyć ci udanych walentynek.

– Dziękuję bardzo, wzajemnie. Chociaż nie wiedziałem, że można tak przez telefon.

– A co? Czekasz na tradycyjne, papierowe wyznanie miłości?

– Jak ty mnie znasz...

– A właśnie, przy okazji... Ta twoja – Magda zrobiła w tym miejscu znaczącą pauzę – nadal węszy w sprawie śmierci syna polityka?

– Dlaczego pytasz?

– Widziałam zapowiedź jej reportażu o dopalaczach, dzwoniłam do niej, ale nie odbiera.

– Kiedy dzwoniłaś?

– Przed chwilą.

– Widocznie jest zajęta.

– Dobra, dobra, pewnie stoi przy garach i przygotowuje dla ciebie walentynkową kolację. Ja, proszę cię, znam te babskie sztuczki... Ale do rzeczy, przekaż jej, proszę, żeby się ze mną skontaktowała.

– Dlaczego?

– Co dlaczego? Dlaczego masz jej przekazać czy dlaczego ma się skontaktować?

Śmiech Magdy rozluźniał go. Dobrze mu się z nią rozmawiało. Zastanawiał się, czy nie zmienić planów. Czy zamiast wyrzucać kwiaty przeznaczone dla Anki, nie powinien podarować ich Magdzie. Czy zamiast upić się, nie powinien poobserwować, jak Magdzie na nim zależy. Flirt zamiast wódki, pomyślał, ale szybko zweryfikował swój plan: flirt przy wódce. To jest to!

– Po co ma do ciebie dzwonić? Chcesz się dowiedzieć, co zjadłbym na walentynkową kolację?

– Wczoraj byli u mnie policjanci z grupy specjalnej. Dopytywali o parę rzeczy. Chyba mam coś, co może Ankę zainteresować.

– Bardzo trudno ją zainteresować. Lepiej powiedz mi.

– Jak chcesz. Ja osobiście wolę rozmawiać z tobą. No więc słuchaj, stworzono specjalną grupę, która bada sprawy pozornie przypadkowych zgonów. Podczas imprezy, na której syn polityka wypadł z balkonu, były cztery osoby. Ten, co wyleciał, i jego trzech kolegów. Dwóch z nich nie żyje, a trzeci właśnie wyszedł ze

szpitala. Wszystko wskazuje na to, że ci chłopacy nie umarli przez przypadek...

– Jak to?

– No nie wiem. Wygląda to na morderstwa doskonałe. Albo prawie doskonałe, bo policjanci są już na tropie mordercy. Wiedzą na pewno, że ofiary dobrane zostały specjalnie, a narzędziem zbrodni były dopalacze.

– Dopalacze?

– Tak. Dobry pomysł, proszę ciebie. Substancji psychoaktywnych ciągle przybywa, my w zakładzie nie nadążamy. Nie jesteśmy w stanie przebadać każdego ciała pod kątem obecności wszystkich możliwych dopalaczy. Gdybym miała to robić, sparaliżowałyby to pracę całego zakładu. Zamiast obrabiać jednego klienta, proszę ciebie, przez kilka dni, obrabiałabym go przez tygodnie. Kolejka by rosła... Poza tym co chwilę pojawiają się nowe środki, a mnie w pewnym momencie, proszę ciebie, skończyłby się materiał genetyczny pobrany do badań. Wiesz, ja mogę znaleźć wszystko, jeśli tylko wiem, czego szukam.

– Czyli co? Przekazać Ance, że morderca zabijał za pomocą dopalaczy?

– Tak, musiał je jakoś specjalnie mieszać, aplikować dużo większe dawki... nie wiem. W każdym razie trzy ciała, które badałam, miały na pewno podwyższony poziom fenyloetyloaminy. Nie wiem, co jeszcze... ale musiało być jeszcze coś.

– Tak mówili policjanci?

– Tak, bo jeden z tej paczki trafił do szpitala. Zrobili mu dokładną toksykologię, bo podejrzewali, że morderca znowu zaatakował.

– I co?

– Nie będę przekazywać ci nazw chemicznych, bo i tak nie wiele ci powiedzą. Ale też miał podwyższony poziom fenyloetyloaminy. I jakieś inne głupoty. Mnie jednak nie daje spokoju jedna myśl. Dlatego chciałam porozmawiać z Anką.

– No?

– Morderca musi bardzo dobrze znać się, proszę ciebie, przynajmniej na praktycznym wykorzystaniu chemii. Jeśli zabił trzech gości, to potrafi dobrać śmiertelną dawkę i mieszankę dopalaczy.

– Ale czwartego nie zabił...

– Czwartego, proszę ciebie, akurat zabił. Niby nie zabił trzeciego. Rozmowa z policją uświadomiła mi jedno. Morderca każdemu podawał substancje psychoaktywne w dawce śmiertelnej. Każdemu oprócz jednego. Dlaczego? Miał chwilowy zanik pamięci? Źle wyliczył dawkę? Źle ją podał? To wszystko jest grubymi nićmi szyte. Wydaje mi się, proszę ciebie, że jeśli trujesz kogoś po raz pierwszy, to owszem, błąd jest możliwy... ale za trzecim razem... To nie był błąd, tylko celowe działanie...

– Klóciliście się nadal w sylwestra?

Anka czuła się coraz gorzej. Bolały ją mięśnie i z trudem się koncentrowała. Postanowiła jak najszybciej wyciągnąć z rozmówcy nazwisko mordercy i wrócić do domu. Z chęcią wypiłaby gorącą herbatę z cytryną i położyłaby się do łóżka. Pomyślała, że w ostatnich dniach marzyła tyle razy, że jej zmęczony organizm zastrajkował i w końcu poddał się chorobie.

– I tak, i nie. Nie nazwałbym tego kłótnią. Grzegorz rozumiał nasz punkt widzenia. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Nie mógł jednak dogadać się z ojcem. Ten mu wymyślał, że jest ciotą i daje się wykorzystywać takim cwaniakom jak Fabian. Po piwku Fabian przyznał się, że był u polityka i próbował mu wybić takie rozwiązanie z głowy. Podobno miał w ręku ważki argument. Próbował podejść starego Króla. Gdy Grzegorz to usłyszał, wkurzył się ostro. Trochę się poszarпали, ale Bartek ich rozdzielił. Potem już było wszystko normalnie.

– Normalnie? No chyba nie powiesz mi, że Grzegorz normalnie się wychylił...

– Nie wiem, niewiele pamiętam. To była impreza, zakończenie dobrego roku. Zażyliśmy odrobinę przyjemności.

– Dopalacze? Co wzięliście? Ile? Słyszałam, że wszyscy lubiliście zjazdy świadomości.

– Wszechwiedząca Anna, co? – Piotr się zaśmiał. – Bawiliśmy się z przyjemnością. Szukaliśmy jej. Właściwie nauczyliśmy się nią skutecznie zarządzać. Połączyliśmy przyjemność z odrobiną niebezpieczeństwa.

– Co wzięliście? – Ignorowała telefon wibrujący w torebce. Przed wejściem do kawiarni wyłączyła głos.

– Nazwa i tak niewiele ci powie. Odczynniki kupowaliśmy od kumpla Fabiana, tego czyścioszka od kamienic. Zawsze z jednego źródła. Eksperymentowaliśmy, szukając najbardziej zajebistych połączeń. Na sylwestra załatwiłem nowy stuff. Grzegorz tego nie wytrzymał. Wyfrunął z balkonu, a żaden z nas nie zdążył zareagować. Widziałem, że stoi przy barierce, rozpościera ręce. Nie wiedziałem, że będzie udawał pieprzonego ptaka.

\*

– Odbierz ten cholerny telefon, Anno! – Łukasz wydierał się do słuchawki. – Odbierz!

Mężczyzna krążył wokół samochodu Rogozińskiej jak rozjuszony lew.

– Halo, tu Anna Rogozińska. – Spokojny głos odtwarzał się z poczty głosowej. – Nie mogę odebrać. Jeśli masz coś pilnego, zostaw wiadomość. Może oddzwonię.

– Anno, tu Łukasz. Zadzwoń do mnie, jak tylko to odsłuchasz. Błagam cię. To

pilne! – Nagrał się po raz trzeci.

Wiedział, że powinien coś zrobić. Nie wiedział tylko co.

Nie mógł pozbyć się niepokoju, który zaatakował go podczas rozmowy z Magdą. Anna nie miała w zwyczaju odpuszczać tematów. Nie akceptowała nierozwiązanych spraw. Im coś było bardziej zagmatwane, tym chętniej się nad tym pochylała.

Może oślepiiony zazdrością, źle zinterpretował fakty. Może wcale go nie zdradzała?

Nie wpuściła go do domu, bo spieszyła się na spotkanie, na rozmowę w sprawie, o której ostatnio przestała z nim rozmawiać. Kazał jej, żeby była ostrożna. Uspiła jego czujność. Myślał, że odpuściła. Może tak właśnie miał myśleć.

Mężczyzna, którego widział w kawiarni „Nas dwoje” nie był przecież w typie Anki, a na twarzy dziennikarki malował się specyficzny grymas. Widział go, ale zignorował. Teraz obraz wrócił w większym natężeniu szczegółów. Przymknięte oczy, zaciśnięte usta. Zawsze krzywiła się w taki sposób, kiedy coś szło nie po jej myśli.

– Z kim się spotkałaś, Anno? Boże, spraw, żeby ten facet nie był mordercą.

\*

– Do rzeczy. Kto jest mordercą? – naciskała Rogozińska.

Siedziała na krześle i obserwowała Piotra. Unikał jej wzroku i konieczności udzielenia odpowiedzi. Ruszył przed siebie. Doszedł do ściany, obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i znowu zaczął iść przed siebie. Na chwilę zniknął z jej pola widzenia. Powinna się odwrócić, ale nie miała siły.

– Chcesz znać jego nazwisko?

Uznała jego pytanie za dobrą kartę.

– Tak. – Resztę odpowiedzi cisnącej się na usta zostawiła dla siebie. Ale przecież było oczywiste, że tylko dlatego się z nim spotkała.

Niespodziewanie poczuła, że silna dłoń odchyła jej głowę maksymalnie do tyłu. To musiał być Piotr. Słyszała jego przyspieszony oddech, ale nie mogła nic zrobić. Sprawnym ruchem zaaplikował jej do nosa wodnistą substancję nieznanego pochodzenia.

– Przestań! – Anka próbowała ją wydmuchać, ale bezskutecznie. Mężczyzna ścisnął drugą ręką nos Rogozińskiej i przykrył jej usta.

Brakowało jej tchu, zmobilizowała się i ostatkiem sił usiłowała odciągnąć obcą rękę ze swojej twarzy.

Po kilku chwilach ustąpił. Puścił najpierw nos. Anka momentalnie wciągnęła ogromną porcję powietrza, tak jakby właśnie wypłynęła nad powierzchnię wody.

Wtedy puścił jej usta i głowę, a sam usiadł na krześle naprzeciwko dziennikarki.

– Oszalałaś? – Anka próbowała oczyścić nos palcami. – Co to było?

– Nowy stuff. Chciałem, żebyś spróbowała. Jesteś przecież profesjonalistką. Skoro robisz materiał o dopalaczach, musisz spróbować najlepszego...

Dziennikarka chciała wyrazić oburzenie i unieść się z krzesła, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Nie były w stanie utrzymać ciężaru jej ciała.

– To bardzo fajna substancja psychodeliczna. Fenyloetyloamina. Psychodeliczne uczucie zakochania w dużym stężeniu, i to aplikowane w najlepszy sposób. Zabawne, prawda? Aplikuję ci to w walentynki. Święto zakochanych. To najlepsza pora na miłosny haj. Tak więc nie stresuj się, kobieto, tylko poczekaj chwilę. Daj się zaskoczyć. Zaufaj mi, Anno. Za chwilę poczujesz ekstazę.

– Czy to to, to to... – Rogozińska miała wrażenie, że zaraz zemdleje. – To samo co...

Czuła, że dzieje się z nią coś złego. Coś o wiele gorszego niż pierwsze objawy grypy. Chciała sięgnąć do torebki po telefon komórkowy i zadzwonić do Wiktora albo Łukasza, ale zanim trafiła ręką na oparcie krzesła, na którym wisiała torebka, Piotr uprzedził dziennikarkę i sprawnym ruchem zdjął torebkę i położył ją za swoim krzesłem.

– Poczekaj, jeszcze nie idź, chciałem dokończyć opowieść. Grzegorz wyleciał z balkonu przypadkiem. Fabian polazł do polityka i próbował go szantażować. Mówiłem mu, że z takiej gry wszyscy wyjdziemy przegrani, ale mnie nie słuchał. Myślał, że stary polityczny wyga przestraszy się groźby upublicznienia informacji, że uczestniczył w procederze wykupowania kamienic po mocno zaniżonych cenach. Polityk o śmierć Grzegorza oskarżał Fabiana. Nigdy go nie lubił. Poszli o jedną rozmowę za daleko. Fabian stracił panowanie nad sobą. Powiedział mi, że przebrała się miarka i że następnego dnia idzie na wojnę. Poczęstowałem go N-BOMe'em, kilkanaście razy silniejszym niż LSD. Wrzucił taki kartonik na działko. – Piotr pokazał Ance coś, co wyglądało na tekturowy śmieć wielkości kratki z zeszytu. – Kartonik jest nasączony fenyloetyloaminą. Dla ciebie przyrządziłem z kartoników specjalny, mocno stężony roztwór. Dostałaś go donosowo, bo założyłem, że nie będziesz skora do współpracy... O czym to ja mówiłem? Fabian zapodał sobie N-BOMe'a i zrobiło mu się lepiej. Dałem mu drugiego. Wiedziałem, że to materiał z dobrego źródła i że na początek dla dobrej zabawy i sprawdzenia wrażliwości na tę substancję wystarczy połówka kartonu. Poczęstowałem go śmiertelną dawką. Ufał mi, bo to ja zawsze wprowadzałem nowości w nasze towarzystwo. Zostawiłem go na Chwaliszewie w stanie agonalnym. Wiedziałem, że nikt mu nie pomoże. Tam każdy troszczy się tylko o siebie. Jeśli przygląda się innym, zbyt łatwo można zarobić w pysk. Wiesz, nasz biznes był świetnie przemyślany. Zabezpieczyliśmy się na każdą ewentualność. Każdy z nas spisał testament, zgodnie z którym udziały w firmie przechodziły na nas, a nie na naszych spadkobierców. Dzięki temu po śmierci Grzesia nie musielibyśmy użerać się z nowym udziałowcem, jego ojcem. Bartek otrzymał

wszystkie udziały, a po śmierci Fabiana to ja stałem się jedynym właścicielem Invest Man.

– Czyli sam... siebie... – Brzmienie własnego głosu zdziwiło Ankę. Świat docierał do niej przerażająco intensywnie, a wszystko dookoła falowało. Ściany, piec kaflowy i wykrzywiona twarz Piotra. – Też?

– Tak, musiałem uwolnić się od ewentualnych podejrzeń i zaaranżowałem sytuację tak, by podejrzewania padły na polityka. Najpierw poszedłem do niego, potem na imprezę. Pobawiłem się chwilę i wysłałem SMS-a do siebie ze świeżo kupionego numeru, po czym zniszczyłem kartę SIM. Wziąłem pół porcji fenek i poszedłem pod nasz akademik. Wiedziałem, że tam szybko mnie znajdą. Punkt z kebabem obok naszej kamienicy gwarantował duży przepływ ludzi. Byłem na dopalaczach, trochę udawałem, no wiesz, podkreśliłem efekty. Nieraz widziałem niezłe jazdy. Wiedziałem, jak się zachowywać. Wzięli mnie do szpitala i tym samym uwolnili mnie od podejrzeń.

– A Bartek...

– Bartek sikał pod siebie. Bał się i czekał na śmierć, sparaliżowany strachem. Myślałem, że weźmie się w garść i razem poprowadzimy nasz biznes. Przecież mieliśmy tyle, że nie musieliśmy się rozwijać. We dwójkę żylibyśmy sobie jak pączki w maśle, ale on się uparł, że chce się pozbyć swoich udziałów. Chciał się wycofać. Odzyskać trochę gotówki i spieprzyć za granicę. Mówił, że w Polsce nigdy nie będzie mógł spać spokojnie. Dzięki Fabianowi wiedzieliśmy, że polityk zna przebieg całego procederu. Cholerny Grzesiek wszystko opowiedział ojcu, mimo że przysięgaliśmy sobie... Nieważne. Bartek umówił się z tobą. Ubzdurał sobie, że wiesz na tyle dużo, że prędzej czy później połączysz fakty. Chciał się wybielić, by w razie jego śmierci i wyjścia na jaw naszej tajemnicy jego matka nie umarła na zawał.

– Dlaczego ja?

– Bo ciągle węszysz wokół tej sprawy, no i spotkałaś się z Bartkiem. Myślałem, że umrze, zanim dotrze na spotkanie. Zadzwoił do mnie i powiedział, że kończy z tą paranoją. Spotkaliśmy się tutaj. Najpierw dostał pigułkę gwałtu, tak jak i ty, a potem fenki do nosa, prosto z pipety. Liczyłem się z tym, że podobnie jak ty nie będzie chciał dobrowolnie wziąć porcji. Nie przed spotkaniem z tobą. Przyjęta nieświadomie pigułka gwałtu, czyli nieduża dawka kwasu gamma-hydroksymasłowego, rozluźniła go, dzięki czemu bezproblemowo mogłem mu donosowo zaaplikować przygotowany wcześniej roztwór.

– Źle się czuję, wezwij lekarza, proszę. Obiecuję, że nie wydam cię.

– Poczekaj, moja droga. Poczekaj jeszcze chwilę. Myślałem, że lubisz rozmawiać z mordercami. Poza tym nie po to przyznałem ci się do wszystkiego, by teraz wołać lekarza.

– Nie możesz mnie zabić. Policja dojdzie, że to ty...

– Nie dojdzie. Nie jestem taki głupi.

– Dojdzie.

– Wiesz, do czego dojdą? Do tego, że odbyłaś spotkanie w kawiarni „Nas dwoje” z Markiem Grzesiakiem. Marek jest dobrze znany w półświatku. Czyści kamienice na zlecenie. Rozprowadza najlepsze środki psychoaktywne wśród dilerów i znajomych. Lubi też randki w ciemno. Zawsze serwuje dziewczynom porcję ulepszaczy nastroju i ułatwaczy dojścia do sedna sprawy. Pigułka gwałtu. Wiedziałem, że aranżując wasze spotkanie, to on odwali za mnie kawałek dobrej roboty. Podczas spaceru czułaś skutki pigułki gwałtu, którą doprawił ci herbatę czy tam sok. Dzięki temu o wiele łatwiej mogłem zaaplikować ci fenyloetyloaminę. To Marek będzie podejrzany o spowodowanie śmierci. Później te głąby, policjanci, dojdą do wniosku, że Marek miał dojście do dopalaczy i miał na pieńku z naszą czwórką. Nie uregulowaliśmy ostatniej płatności... specjalnie, by pojawił się motyw. On pójdzie siedzieć, a ja zostanę z siecią prywatnych akademików i wolną głową.

\*

Łukasz w kawiarni „Nas dwoje” ustalił, że mężczyzna, z którym siedziała Anka Rogozińska, zapłacił i opuścił lokal zaraz po wyjściu kobiety. Kelnerka nie pamiętała jego twarzy, ale pokazała mu paragon, na którym oprócz cen zamówionych napojów widniała godzina wystawienia rachunku.

– Jedenasta pięćdziesiąt trzy.

Zawodny wybiegł z kawiarni i próbował usystematyzować posiadane informacje.

Jedenasta trzydzieści pięć: Anka zaparkowała samochód. Kilku minut potrzebowała, aby dojść do kawiarni. Mogła być jedenasta czterdzieści, gdy weszła do środka. Przywitała się. Dostała zamówiony sok. Zaczęli rozmawiać. Łukasz mijał witrynę „Nas dwoje” mniej więcej o jedenastej czterdzieści osiem. Jedenasta pięćdziesiąt trzy: mężczyzna, z którym się spotkała, poprosił o rachunek.

– Nie rozmawiali więcej niż kwadrans. To na pewno nie była randka.

Stał przed kawiarnią, rozglądał się bezradnie wokoło i próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, dokąd mogła się udać Anka. Jej samochód stał zaparkowany w tym samym miejscu. Musiała nadal być w centrum. Albo zmieniła lokal, albo została zaatakowana w drodze do samochodu.

Łukasz zwiedził wszystkie otwarte bramy. Nie znalazł niczego podejrzanego.

– Cholera. Spotkała się z facetem. Szybko zorientowała się, że to morderca. Wyszła. On poszedł za nią. Policja! Powinienem zadzwonić na policję!

Ta myśl wydawała się równie ważna, jak bezsensowna. Zadzwoni i co powie dyspozytorce? Że jego dziewczyna, z którą pokłócił się wczoraj, spotkała się z nieznanym mężczyzną w kawiarni, a następnie wyszła i przepadła jak kamień

w wodę? Zdarzenie miało miejsce mniej więcej półgodziny temu... nikt nie potraktuje tego zgłoszenia poważnie.

Uznał więc, że musi poradzić sobie sam.

– Piotr. Piotr. Piotr. – Przyjął założenie, że mężczyzną, z którym spotkała się Anka, był jedyny żyjący członek paczki Grzegorza Króla. Biegał po okolicznych ulicach, naiwnie wierząc, że w końcu coś nietypowego zwróci jego uwagę. – Dokąd mógł cię zaprowadzić, Aniu? Dokąd?

Kiedy zrobiło mu się gorąco, zatrzymał się i w komórce otworzył stronę z prywatnymi akademikami. W zakładce z aktualnościami odnalazł informację: „już niebawem nowa lokalizacja przy ulicy Krysiewicza”.

– To kwadrans drogi stąd!

\*

Spadała ze schodów niczym wielka nadmuchana piłka. Odbijała się od kolejnych stopni i podskakiwała do góry radośnie, by po chwili znowu zetknąć się z powierzchnią płaską i nabrać siły na lot do góry.

Kiedy wylądowała na parterze, wybuchnęła śmiechem. Sytuacja rozbawiła ją tak bardzo, że chętnie by ją powtórzyła. Czuła się jak Anna w Krainie Czarów. Otaczająca rzeczywistość była przerysowana.

Lew z rzeźbionych drzwi oddzielających klatkę schodową od ulicy nieprzyjaźnie szczyrzył kły. Wydawał z siebie głośny warkot. Nie mogła go lekceważyć. Powinna uciekać, ale ciało kategorycznie i nieprzerwanie odmawiało posłuszeństwa.

– No chodź, proszę bardzo, zjedz mnie!

Lew rzucił się w stronę kobiety, ale wpadł na ścianę. Anka się roześmiała, obserwując, jak król zwierząt staje na dwie łapy i zaczyna rozmasowywać sobie pysk.

\*

Łukasz dotarł na ulicę Krysiewicza w ekspresowym tempie. Minął sklep z artykułami erotycznymi znajdujący się na rogu i zaczął rozglądać się w poszukiwaniu kamienicy, która niebawem miała się stać prywatnym akademikiem.

Miał ułatwione zadanie. Kamienice stały tylko z jednej strony ulicy. Bardzo szybko zauważył, że w oknach jednej z nich nie ma ani jednej firanki. Budynek wyglądał na opuszczony.

– Bingo!

\*

– Aniu...



Przed jej twarzą pojawił się przerażający gnom. Miał wielkie uszy, ogromny nos i milion zmarszczek na twarzy.

– Aniu. – Pochylał się nad nią i ręką szukał tętnicy na szyi.

– Nie zabijesz mnie! – Próbowała go od siebie odpędzić. – Mam cię w dupie!

– Kochanie, to ja, Łukasz. Kochanie, co się stało?

– Łukasz?

Świetnie, gorzej być nie mogło. Tylko ona mogła mieć takiego pecha. Księżniczka całująca żabę sprawiała, że ohydny płaz zmieniał się w przystojnego księcia. On pocałowała kiedyś Łukasza, a on zamienił się gnoma.

Wiedziała, że nie powinien z nią być, że tylko tracił na tej znajomości. Był dla niej zbyt dobry.

– Kochanie, to ja. Był tu Piotr, prawda?

Kiwnęła głową. Przypomniała sobie, że przez nos do jej wnętrza dostało się coś, co zawaładnęło jej ciałem i umysłem. Włożyła więc palce wskazujące w obie dziurki od nosa, jakby chciała z niego coś wyjąć i wydusiła z siebie:

– Szpi-tal. Szyb-ko.

Zamknęła oczy. Nie chciała widzieć obrzydliwego gnoma. Nawet jeśli ją kochał, nie usprawiedliwiałoby to jego wyglądu. Chciało jej się wymiotować.

– Nie zasypiaj, Anka, zostań ze mną, Anka! – Uderzał ją w policzki.

– Zostaw... – Chciała oddać, ale nie mogła trafić w gnoma.

\*

– Nie zamykaj oczu. Nie zasypiaj – powtarzał w kółko, próbując złagodzić poczucie bezradności. – Karetka już jedzie. Nie zasypiaj.

Anna leżała przy schodach, wykręcona. Na pewno miała złamaną nogę. Nie ruszał jej, nie chciał uszkodzić jej jeszcze bardziej. Gdyby nie to, wzorowałby się na filmach sensacyjnych, podniósłby ją i zmuszał do chodzenia.

– Łu... – próbowała z siebie wydusić – ...asz.

Z minuty na minutę jej stan się pogarszał, a mężczyzna wpadał w większą panikę.

– Anka, nie możesz teraz odpuścić. Przecież ty nigdy nie odpuszczasz! Zobacz, znowu odkryłaś, kto jest mordercą. Jesteś lepsza niż policja. Musisz być przytomna, zaraz przyjadą i będą chcieli spisać twoje zeznania. – Uznał, że ostatnią deską ratunku, by zatrzymać świadomość kobiety, jest wykorzystanie wrodzonego pracoholizmu.

Nie reagowała, więc jeszcze raz sięgnął po telefon. Tym razem wybrał numer Krajewskiej.

– Magda? Ratuj!

– Boże, co się stało?

– Magda, on jej to podał. Musimy ją ratować.  
– Łukasz, powoli, kto podał, komu, co?  
– No ten Piotr. Coś dał Ance. Do nosa. Magda, ona umiera... – Łukasz nawet nie próbował powstrzymać łez.  
– Skąd wiesz?  
– Trzymam jej głowę.  
– Karetka?  
– W drodze...  
– Dobrze, niech wiozą ją na toksykologię, już dzwonię do kumpeli, która tam pracuje.  
– Magda, proszę, powiedz, że wiesz, co jej podał. Proszę, powiedz, że jeszcze nie jest za późno...  
Usłyszał sygnał nadjeżdżającej karetki, więc wyłączył komórkę.  
– Aniu. – Przejechał ręką po jej włosach. – Już jedź pomoc. Będzie dobrze. Dzisiaj są walentynki, miałaś zarezerwować dla mnie wieczór! Wyzdrowiejesz i wszystko sobie odbijemy.

\*

– Halo, tu Anna Rogozińska. Nie mogę odebrać. Jeśli masz coś pilnego, zostaw wiadomość. Może oddzwonię.  
Wiktor Braun nie planował tak pracowitych walentynek. Dochodziła szesnasta, a on wsiadał właśnie do samochodu. Miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku.  
– Cześć, Anno, to ja. Nie wygłupiaj się i odbierz. Obraziłaś się? Słyszałaś już o moim sukcesie... Dzwoniłem do ciebie wcześniej, chciałem cię o wszystkim uprzedzić. Wyjaśnić. To nie jest rozmowa na telefon – zawahał się. Nie musiał się nikomu tłumaczyć, jednak zależało mu na tym, co ta ambitna kobieta o nim myśli. – Dobra, przyznaję. Wykorzystałem ciebie. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że działałem zgodnie z zasadą: „uderz w stół, a nożyce się odezwą”.  
Zamknął oczy i rozmasował twarz, aby pozbyć się napięcia. Dzisiejszy dzień całkowicie wymknął mu się spod kontroli. Chciał jak najszybciej spotkać się z Anką i prosto w oczy opowiedzieć jej o wszystkim... Wytłumaczyć, przeprosić, podziękować. Złapać za rękę i może nawet pocałować.  
W końcu mógł się przyznać, że przeciek kontrolowany, który jej zaserwował którejś nocy, był czymś więcej, niż tylko przekazaniem pozornie zbyt szczegółowych informacji.  
Istotnie, miał na oku fabrykę, która zasypywała Polskę niezliczoną ilością dopalaczy. Mógł zamknąć ten zakład, zgarnąć sprzęt i chemika, który odpowiadał za produkcję. Jednak takie wyjście go nie satysfakcjonowało. Właściciel biznesu, niejaki

Prinke, pozostałby na wolności i tydzień później otworzyłby nową fabrykę. Wynająłby duże mieszkanie lub dom, kupiłby odczynniki chemiczne i znowu wprowadzał produkty na rynek.

Prinke miał czyste ręce, nie można było bezpośrednio powiązać go z fabryką. Nie kontaktował się z chemikiem. Nie bywał w miejscu, gdzie odbywała się produkcja.

Dzięki Ance Rogozińskiej, która z właściwym sobie impetem puściła w eter informację o zatrutych partiach dopalaczy produkowanych w największej fabryce w Wielkopolsce, Wiktor realizował swój sprytny plan.

Informację z Primo TV podchwyciły rozgłoszenie radiowe i gazety. Cała Polska rozmawiała o chemiku biorącym sprawy w swoje ręce. Wśród klientów zapanowała histeria. Dopytywali w sklepach o produkty wytwórców spoza Wielkopolski. Informacja zwrotna zwiastująca znaczny spadek obrotów musiała dotrzeć do Prinkego, który nie pohamował agresji i po raz pierwszy osobiście pojechał do fabryki, żeby rozmówić się z chemikiem. Na to czekali policjanci obserwujący biznesmena i prokurator Braun.

– Aniu. – Wiktor ponownie wybrał numer Rogozińskiej, odsłuchał powitanie na poczcie głosowej i po raz kolejny się nagrał: – To znowu ja. Chciałem ci podziękować. Osobiście. Jak ochłoniesz, to oddzwon, proszę. Myślałem, że może dzisiaj się spotkamy? Pójdziemy na kolację, jak ludzie, do lokalu? Porozmawiamy, opijemy sukces... Dobra, może innym razem. Miłych walentynek...

\*

– Wojny z dopalaczami ciąg dalszy. Łączymy się z Poznaniem.

Gwiazdka podeszła do fotela, na którym siedziała Renata Rogozińska. Przez chwilę przekręcała pysk, jakby zastanawiała się, dlaczego jej fotel jest zajęty. W końcu wskoczyła na kolana swojej pani i spojrzała w jej oczy.

– Połóż się. – Renata zachęciła psa do zajęcia wygodnego miejsca. – Zobacz, relacja z Poznania. Może będzie nasza Ania?

Wieczorne wiadomości były obowiązkowym punktem programu. Po nich Renata oglądała już tylko kolejny odcinek miłosnej telenoweli i szła spać.

Na ekranie ukazała się inna dziennikarka. Za plecami miała zaniedbany budynek mieszkalny.

– Poznańska policja może zaliczyć dzisiejszy dzień do niezwykle udanych. Dzień upłynął pod hasłem „dopalacze”. W miejscu, gdzie się właśnie znajdujemy, zatrzymano największego w Polsce wytwórcę dopalaczy. Jak udało mi się dowiedzieć, prokuratura jest w posiadaniu szeregu niezbitych dowodów. W domu, który państwo widzą, znajdowały się substancje psychoaktywne zakazane przez prawo. Poza tym w innej części miasta zatrzymano dziś Piotra P. Mężczyzna został

zaskoczony przez policję w swoim mieszkaniu. Nie spodziewał się aresztowania. Przedstawione zostaną mu zarzuty morderstwa trzech osób, między innymi syna znanego polityka, oraz usiłowania zabójstwa dziennikarki...

– Poczekaj. – Renata zdjęła z kolan Gwiazdkę. – Zaraz znajdę komórkę i zadzwonię do Ani. Dowiemy się, dlaczego na wizji pojawiła się ta młoda pinda, a nie nasza Ania.

Na ekranie telewizora ponownie pojawiło się warszawskie studio informacyjne Primo TV.

– Bezpośrednio po wiadomościach zapraszamy państwa na reportaż Anny Rogozińskiej pod tytułem: „Dopalacze czy życie”. W dniu dzisiejszym w obliczu sukcesu poznańskiej policji i prokuratury oraz w sytuacji, kiedy nasza redakcyjna koleżanka Ania Rogozińska walczy o życie w szpitalu, jej materiał nabiera dodatkowego znaczenia.

## POSŁOWIE

Drogi Czytelniku,

podczas pracy nad tą książką współpracowałam z wieloma konsultantami. Nie mogłam niestety oddać przekazanej mi wiedzy w stosunku jeden do jednego, gdyż wtedy ta książka, zamiast stanowić rozrywkę, mogłaby stać się podpowiedzią na temat tego, co z czym wymieszać, by dobrze się zabawić. Przyjęłam więc pewne założenia i uproszczenia, konieczne dla fabuły.

Podziękowania należą się konsultantom, którzy służyli pomocą oraz odpowiedziami na moje nie zawsze łatwe pytania. Dziękuję:

– panu prokuratorowi Jackowi: za rzeczowe odpowiedzi, otwarty i elastyczny umysł, za kilka wtrąceń prywatnych, dzięki którym m.in. Wiktor Braun zyskał psa, oraz za to, że potrafił znaleźć czas na to wszystko;

– panu Artur Teżykowi z Zakładu Medycyny Sądowej: za spotkania, prezentacje interesujących mnie rzeczy oraz za wprowadzenie mnie w niezrozumiały świat chemicznych przedrostków, substancji i metod pracy;

– Ryszardowi Ćwirlejowi: za przyspieszony kurs montażu materiału filmowego;

– pani Karolinie Dąbrowskiej, czyli Profesjonalnemu Przewodnikowi po Poznaniu: za wyszukanie idealnych miejsc w tym mieście, w których można podłożyć trupy, za elastyczność, przechadzkę po Chwaliszewie oraz za smaczki i inspiracje do kolejnej historii.

Nie mogę zapomnieć o fanach z Facebooka: Agnieszce Król, Magdzie Witkiewicz, Beacie Palacz, Annie Marchwińskiej, Sylwii Pokropowicz oraz Ewie Suchoń za pomoc w nazwaniu kilku postaci. Dzięki, dziewczyny!

Dziękuję też wszystkim osobom, które przyczyniły się do wydania tej książki.

Dziękuję Ci, Jacku, za milion rzeczy, za pierwsze uwagi do tekstu, za rozmowy o fabule, za krytykę, za uśmiešky i za to, że jesteś.

Na koniec chcę dodać, że osobiście bardzo lubię walentynki. Dziewięć lat temu spędziłam je osobiście, na porodówce, gdzie na świat przyszła moja wyjątkowa córka, Julka.

Joanna Opiat-Bojarska

## **SPIS TREŚCI**

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Cytat](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

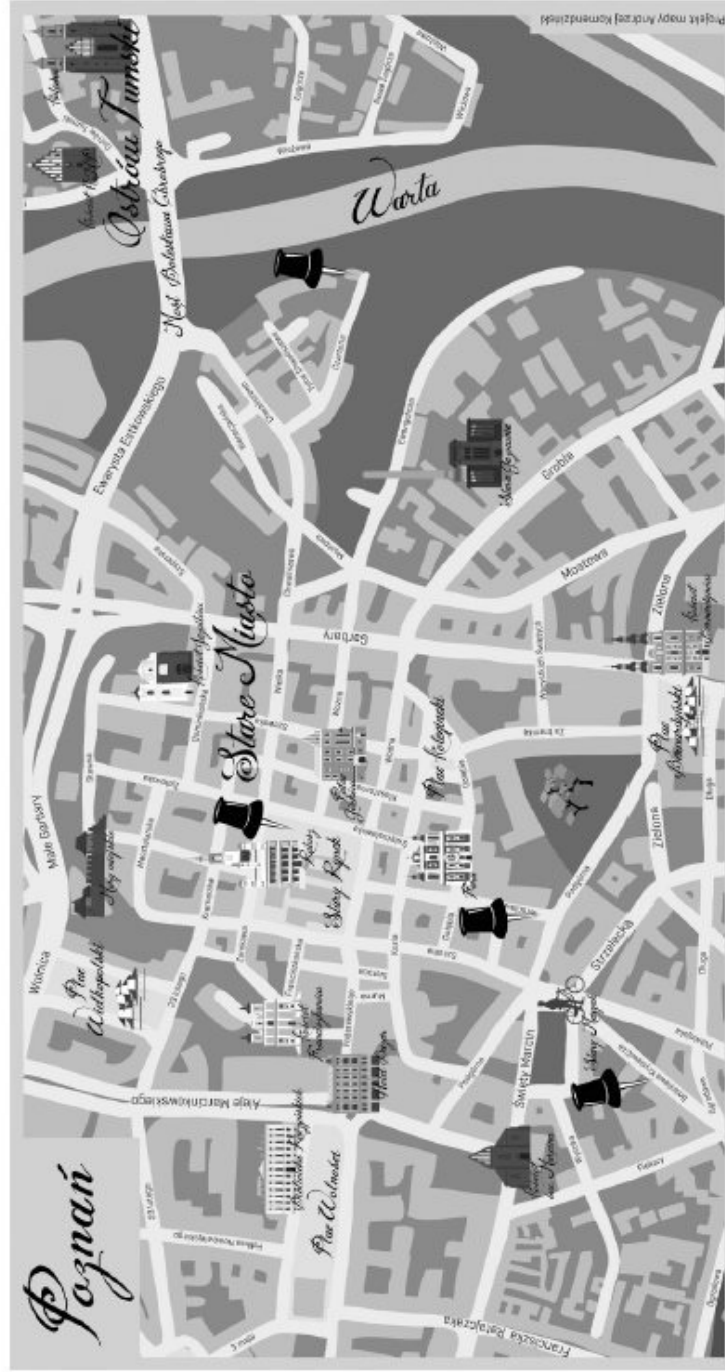
[POSŁOWIE](#)

[Zwiedzaj Poznań śladami Anny Rogozińskiej](#)

[Reklama 1](#)

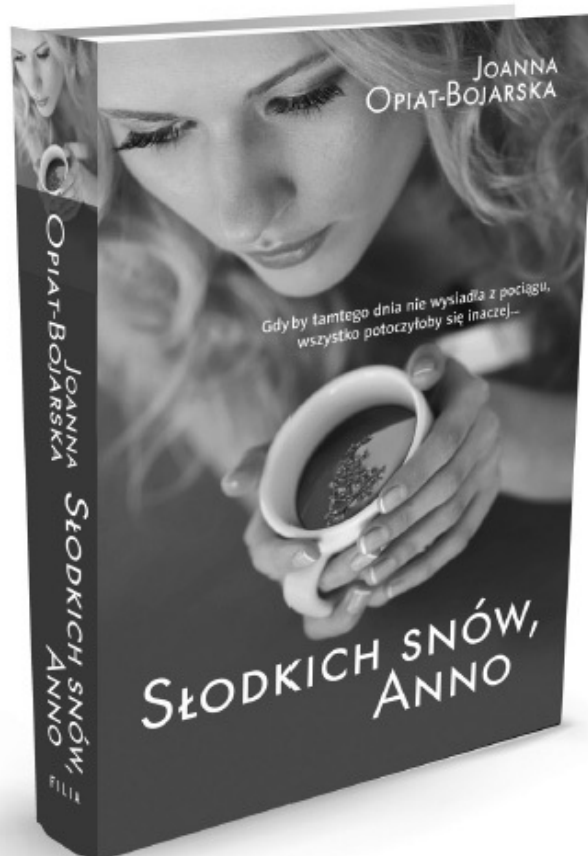
[Reklama 2](#)

[Karta redakcyjna](#)



Zwiedzaj Poznań śladami Anny Rogozińskiej  
 z Profesjonalnym Przewodnikiem po Poznaniu  
[www.profesjonalnyprzewodnik.pl](http://www.profesjonalnyprzewodnik.pl)

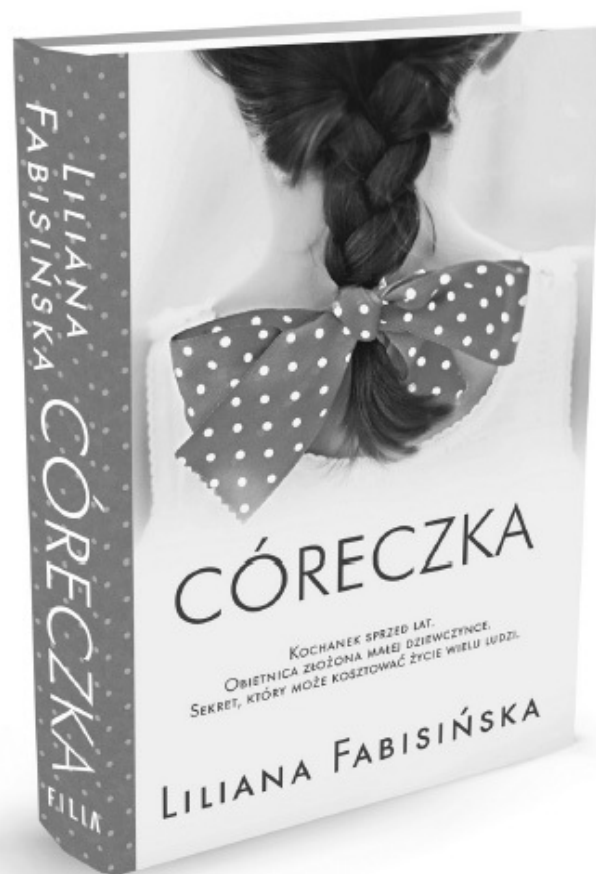
Gdyby tamtego dnia nie wysiadła z pociągu,  
wszystko potoczyłoby się inaczej...



Pierwszy tom obyczajowo-kryminalnej serii  
z dziennikarką śledczą Anną Rogozińską.

**FILIA**





KOCHANEK SPRZED LAT.  
OBIETNICA ZŁOŻONA MAŁEJ DZIEWCZYŃCE.  
SEKRET, KTÓRY MOŻE KOSZTOWAĆ ŻYCIE WIELU LUDZI.

*Córeczka* to powieść o różnych obliczach miłości,  
o sile, którą może odnaleźć w sobie kobieta w najtrudniejszej  
w życiu chwili. O przeszłości, która staje się teraźniejszością  
i o odpowiedzialności, która czasami każe  
dokonywać śmiertelnie trudnych wyborów.

**FILIA**

Copyright © by Joanna Opiat-Bojarska, 2014  
Copyright © by Wydawnictwo Termedia, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany  
w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy.  
Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania  
za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Termedia, Poznań 2015

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: © Ilona Wellmann / Trevillion Images

Redakcja: Zofia Smuga, Editio

Korekta: Kaja Rybczyńska, Editio

eISBN: 978-83-7988-428-5



Wydawnictwo Filia  
grupa Termedia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 8  
61-615 Poznań

[www.wydawnictwofilia.pl](http://www.wydawnictwofilia.pl)

Wszelkie pytania prosimy kierować na adres:  
czytelnicy@wydawnictwofilia.pl

Dołącz do nas na Facebooku!

**WSZELKIE PODOBIENSTWO DO PRAWDZIWYCH POSTACI  
I ZDARZEŃ JEST PRZYPADKOWE**

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

**DARKHART**

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

